



▶ TERRA INCOGNITA ▶

**Dionisios
Sturis
Gdziekolwiek
mnie rzucisz**

Wyspa Man i Polacy. Historia splątania

W
ab



Dionisios Sturis

Gdziekolwiek mnie rzucisz

Wyspa Man i Polacy



Spis treści

Dedykacja

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

Podziękowania

Bibliografia

Zofii i Gosławie

1.

Smród z małżowni wciąż rozchodzi się po okolicy – kwaśny, gnojowy. Wkurza, każe mrużyć oczy i marszczyć czoła. Roznosi go wiejący od morza wiatr. Można być i sto metrów od budynku, można za zakrętem, gdzie ja obecnie, można nie wiedzieć, że w tym małym porcie w Port St. Mary w ogóle jest jakaś małżownia, a i tak się wyczuje. Śmierdzi intensywnie i bez przerwy. Nie da się tego smrodu pomylić z żadnym innym.

Dokładnie tak samo śmierdziało dziewięć lat temu, gdy po raz pierwszy przyplłynąłem na wyspę, zatrudniłem się w małżowni i wyuczyłem na „czyściciela małży”. Szybko zrozumiałem, że obcowanie z drażniącym smrodem to niezapisana w kontrakcie składowa roboty, że trzeba do niego przywyknąć lub nauczyć się go ignorować.

Przez nasze ręce przechodziły wtedy tony ekskluzywnych eksportowych „Manx Queenies”, którymi zajada się cała Francja, Belgia i Holandia. Ludzie płacą tam majątek za małże z wyspy, dużo więcej niż są warte. Kupują po kilka sztuk, smażą z czosnkiem na maśle, w białym winie – jedzą wolno, jako przystawkę, z namaszczeniem. Ani nie pomyślą o smrodzie, któregośmy im zaoszczędzali.

Śmierdziało też później, gdy z różnych powodów

wielokrotnie wracałem z Polski na wyspę i jako fachura zatrudniałem się w małżowni na miesiąc, dwa, trzy. Nawet po bardzo długiej przerwie potrafiłem operować małym nożykiem jak ekspert, w dobrym tempie, jakbym to robił codziennie.



Śmierdzi i teraz – w ten mokry i zimny poniedziałek. Jest ósma rano. Przyleciałem z Warszawy, przez Liverpool, kilkanaście godzin wcześniej. Po każdym powrocie idę do małżowni się przywitać. Może znów stanę na chwilę przy stole i oprawię kilka queeniesów – nie dla funtów, ale żeby sprawdzić, czy pamiętam jak. Na pewno pamiętam.

Smród bierze się z flaków, które wypełniają kolorowe kontenery z plastiku, ustawione wzdłuż jednej ze ścian zakładu. Jeszcze chwilę temu – przed wyłowieniem i dekompozycją skalopa – sterowały całą muszlą, żyły. Każdy element był niezastąpiony. Gęba, przełyk, czarny żołądek, niby-wątroba, żółte jelita, odbyt, osierdzie, serce, różowawe skrzela, niewyraźne, cieniutkie macki, zwoje nerwowe. I maleńkie, niemal niewidoczne oczy. Setka wachlarzowo rozstawionych oczu z podwójnymi siatkówkami. Nie pozwalają widzieć, nie odróżniają kształtów, ale reagują na światło i na nagłą ciemność lub cień, który może oznaczać zbliżającego się drapieżnika – człowieka.

Dla człowieka wszystko to niepotrzebne flaki. Mokre, nieprzyjemne w dotyku i cuchnące. Rachuciachu i do kosza z tym, do kontenera, na dwór, sprzed oczu, sprzed nosa. Liczy się tylko śnieżnobiały mięsień, jak wyczyszczony ogonek

małej pieczarki, i przytroczony do niego woreczek czerwonej ikry – przez Polaków w interesie nazywany sercem.

Wypłukać to, nasączyć wodą, upchać do plastikowych pojemników po dwa kilogramy, pojemniki do kartonów, kartony na paletę, palety na tira, tira na statek i w drogę. Z małej wyspy na większą, z większej na kontynent, do sklepów i knajp, do domów, do garów, do brzuchów.

Jeśli pogoda dopisuje, jest sucho i ciepło, zwisające z muszelek flaki, a także te całkowicie od muszli oderwane, wysychają – smród paruje z kontenerów. Jeśli jest zimno i mokro – flaki gniją. Wtedy śmierdzi jeszcze bardziej.

Jak teraz, u progu zimy. Jest koniec listopada – nadspodziewanie deszczowy i wietrzny. Żałuję, że nie włożyłem czapki i rękawic. Dzień wcześniej, niedzielnym popołudniem, gdy oderwaliśmy się od płyty lotniska Johna Lennona w Liverpoolu, pilot przestrzegął, że pogoda na wyspie Man jest wyjątkowo podła, że gdyby start zaplanowany był na ledwo godzinę później, pewnie byśmy nie poleciali, że mogą być turbulencje i kłopoty przy lądowaniu. Nie przejąłem się zbytnio – nie takie loty na wyspę przeżyłem. Wiadomo, że najgorzej jest w grudniu i styczniu, listopadowe zawieruchy to najwyżej ciche preludium. Nie miną dwa

tygodnie, a nad wyspę nadciągną szkwały i sztormy, a razem z nimi niemal nieustające deszcz, grad i śnieg.

Lecieliśmy pół godziny. Małym samolotem ze śmigłami. Miałem nadzieję, że zdążę zrobić w głowie rachunek – obliczyć, który raz wracam na wyspę. Próbowałem przywoływać poprzednie wizyty, ale pogubiłem się już chwilę po starcie i zamiast liczyć, zasnąłem. Obudził mnie głos stewarda zniekształcony przez samolotowy interkom.

– Zapiąć pasy, złożyć stoliki. Za chwilę lądowanie.

Deszczowe chmury, gęste, duszące, brudne. Wyspa Man – jeszcze przed minutą jak bezludna skała, malusienka, wystająca samotnie z morza, brunatna, oblewana ze wszystkich stron spienionymi falami powiększała się z każdą sekundą, pęczniała, nabierała kształtów i kolorów, fałd i wybrzuszeń. Schodzimy coraz niżej. Silniki charczą, zagłuszają myśli. Widać dokładniej mokre ściany domów, drogi z białymi obwódkami, samochody, czerwone, piętrowe autobusy. Brzeg i plażę. Port i statki. Dęby, buki, klony i palmy. I znów, jak zawsze, to wrażenie boleśnie rozkwitające gdzieś w brzuchu, rozlewające się po nogach, rękach, zmierzające ku sercu, płucom,

gardłu, że nie dolecimy, że zamiast wylądować na krótkim pasie startowym, za chwilę znajdziemy się na dnie zimnego, ciemnogramatowego morza.

– Proszę się nie martwić – zagadnęła mnie niziutka staruszka przy odbiorze bagażu. – W najbliższych dniach pogoda ma się lekko poprawić.

Kobieta wzięła moje matematyczne skupienie za zatroskanie, może nawet strach, a mnie samego za kogoś, kto na wyspę przyjeżdża po raz pierwszy, może w interesach.

– Tak pani myśli? Wie pani, zbliża się grudzień, a ja nie pamiętam na wyspie spokojnego grudnia – odpowiedziałem, uśmiechając się.

– O, czyli pan u nas już bywał? Miłe miejsce ta nasza wyspa, prawda? Dobrze do życia, proszę mi wierzyć. Byłam właśnie w Liverpoolu, skierowali mnie na badania do tamtejszego szpitala. Trzy dni się męczyłam. Potworne miasto! Potworne! Choć i tak lepsze niż Londyn. Wie pan, gdybym musiała, pewnie przywykłabym do życia poza wyspą, ale bardzo bym tego nie chciała. Za głośno, wie pan? Za głośno.

Kobieta mówiła, ja tylko przytakiwałem – nie chciałem być nieuprzejmy, ale głowę miałem zajęętą czym innym. Siedemnasty, tak jest, osiemnasty wtedy, dziewiętnasty wtedy. Prawie się doliczyłem.

Wracam na wyspę po raz dwudziesty. Zaraz, nie, może jednak dwadzieścia jeden? Tak. Dwadzieścia jeden razy tu przy pływałem lub przylatywałem.

Odebrałem walizkę i pożegnałem się ze staruszką („Koniecznie proszę wpaść na herbatę, kiedy następnym razem będzie pan w Ramsey”).

Wsiadłem w autobus do Port St. Mary. Gdy dojechałem, było już całkiem ciemno. I cicho. Ulice błyszczały po deszczu.

Dom Sian jak zwykle otwarty – nie nauczyła się zamykać drzwi. Dawno temu zgubiła jedyny komplet kluczy. – Muszą być gdzieś tutaj, niedawno rzuciły mi się w oczy. Kiedyś w końcu je znajdę – mówiła.

W przedpokoju przyjemnie czuć kurzem, drewnem i jeszcze czymś, nigdy nie zgadłem czym. Zapaliłem światła. Na stole w kuchni leżała kartka z wiadomością. Ledwo ją dostrzegłem wśród porzrzucanych książek i gazet. Opierała się o przewróconą solniczkę: „*Hi Dionis!* Jak miło, że wracasz! Jestem w pracy, musiałam wziąć dyżur za koleżankę pielęgniarkę z ortopedii, która się rozchorowała, będę po 22. Zajrzyj do piekarnika – upiekłam twój ulubiony *apple cake* z orzechami. Powinien być jeszcze ciepły. Sian”. Włączyłem ogrzewanie i zrobiłem sobie herbatę. Ciasto, jak zwykle, pyszne.

Jedna z gazet na stole – „Isle of Man Examiner” – miała fragment tekstu zaznaczony czerwonym markerem. To moje ogłoszenie, wydrukowane przed kilkoma tygodniami.

Nazywam się [...]. W przeszłości mieszkałem na wyspie Man, w Port Erin i Port St. Mary. Kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, zamierzałem zostać jedynie trzy miesiące, by zarobić na dokończenie studiów w Polsce. Zostałem dłużej – blisko trzy lata. Głównie dlatego, że [...], ale także z powodu [...] i jeżyny – nigdzie indziej nie widziałem tyłu jeżyn późnym latem. Tak słodkich. Pracowałem w [...] i bardzo, ale to bardzo [...]. Choć niekiedy [...] mimo wszystko jednak, bardzo to miejsce [...]. W końcu wróciłem do Polski, ale bywam na wyspie regularnie. Niedługo będę po raz kolejny. Piszę książkę – o wyspie i o tutejszych Polakach, tych, którzy trafiali się dawniej, i tych obecnych. Szukam połączeń między Manxami a Polakami, wspólnego mianownika. Zbieram doświadczenia, przypadki, przemyślenia, opinie, wrażenia i wyobrażenia, głosy na tak i na nie, żale, złości i zaszłości, radości, wściekłości [...]. Można wysłać do mnie SMS, można napisać e-mail, kartkę albo list. Byłoby bardzo [...]. Będę bardzo [...] i z góry bardzo [...]. Serdecznie pozdrawiam.

Prosiłem w gazecie, by wydrukowali ogłoszenie również po polsku, ale nie zgodzili się. Uznali, że

byłoby to nie fair wobec czytelników, którzy polskiego nie znają. Zresztą z ich badań wynika, że Polacy lokalnej prasy nie czytają. Może poza darmowym „Courierem” dostarczanym do domów w każdy czwartek. Połowa tygodnika to drobne ogłoszenia: kupię, sprzedam, zatrudnię.

Akcja udała się połowicznie. Mejlów – zero. SMS-ów – zero. Kartek – zero. Listów – sześć. Przyszły na warszawski adres. Mam je teraz wszystkie ze sobą w walizce.

Zaniósłem rzeczy do pokoju na piętrze – tego, w którym zwykle się zatrzymywałem. Kiedyś należał do Ruperta, jednego z trzech synów Sian, zanim wyjechał do Australii. Okno wychodzi na wschód, widok mam na morze, na pobliską zatokę, na maszty zacumowanych łódek.

Wstałem wcześniej i poszedłem na rozpoznanie. Chciałem się upewnić, że od mojego ostatniego pobytu w Port St. Mary nie zaszły żadne znaczące zmiany.

Z domu Sian do małżowni jest nie więcej niż pięćset metrów. Idę, przyglądając się portowym chatynkom ciągnącym się w długim szeregu – małym, niskim, wąskim, z kolorowymi ścianami, niskimi oknami. Znam większość ich mieszkańców i wiem, czym się zajmują.

Choć jest po ósmej, nadal panuje półmrok –

przez ciężkie chmury i mżący deszcz. Godzinę wcześniej, kiedy fabryka zaczynała pracę, musiało być jeszcze całkiem ciemno.

Gdy jestem już blisko i dopada mnie smród, przypomina mi się Angus. Ciekawe, czy nadal pakuje flaki z mążowni na tę swoją rozklekotaną ciężarówkę. Ciekawe, czy dalej z niego taki szczerbus. Angus był jednym z pierwszych Manxów, jakich poznałem. Wysoki, chudy, choć szeroki w barach, z czarną czupryną, energiczny i głośny, stawiający wielkie kroki, jakby przed sobą miał same kałuże i starał się nie wleźć w żadną. Uśmiechał się szeroko, pomimo próchniejących zębów, zdekompletowanych, pokruszonych, czarno-brązowo-pomarańczowych. Dziewięć lat temu byliśmy sąsiadami – obaj wynajmowaliśmy pokoje w Erin House.

Powinien odbierać flaki i muszle każdego popołudnia, szczególnie w apogeum letniego lub zimowego sezonu – ale nawet wtedy nie można było na nim polegać. Bywało, że Angus zapił w niedzielę wieczorem – wtedy przed fabryką zjawiał się dopiero we wtorek. Gdy z kolei pił od piątku, przez sobotę i niedzielę, nie przyjeżdżał przed środą. Smród z niewywiezionych flaków stawał się wtedy tak dotkliwy, że ludzie mieszkający w pobliżu dzwonili ze skargami do

sanepidu.

Angus podnosił kontenery wózkiem widłowym i opróżniał je na pordezwiąłej przyczepie ciężarówki. Później wskakiwał na stertę flaków i muszli, i z hukiem zrzucał puste pudła na ziemię. Całe to czerniejące gówno ze spodu, najbardziej popsute, najbardziej cuchnące, najobrzydliwsze lądowało na wierzchu. Smród był taki, że chciało się rzygać, że nikt z pracowników małżowni nie odważyłby się wyjść na dwór nawet na chwilę, na papierosa. Z przyczepy ciekła śmierdząca, brązowo-zielona zawiesina – pożywna zupa dla piskliwych mew, które obserwowały Angusa z wysokości, niecierpliwie czekając, aż odjedzie i pozwoli im zabrać się za obiad.

Angus jechał w kierunku tymczasowego wysypiska – na skraj pola, jeśli któryś z okolicznych rolników akurat poprosił o trochę muszelek do uszczelnienia kanału drenażowego, albo na skraj urwiska – wtedy muszle i flaki spadały na kamienistą plażę. Stamtąd w czasie najbliższego przyptywu zabierała je woda.

Zanim odjeżdżał sprzed małżowni, Angus nakrywał przyczepę z flakami specjalną szmatą. Robił to szybko, a przez to niedbale, bo spieszył się na spotkanie z dyrektorką banku. Kobieta miała godzinną przerwę na lunch. Z racji pełnionej

funkcji niekiedy mogła sobie wykroić dodatkowy kwadrans. Ale czasu i tak mieli niewiele. Pani dyrektor musiała jeszcze przecież przyjść do pokoju Angusa na pierwszym piętrze w Erin House i się rozebrać, a po wszystkim nieco odetchnąć, spryskać dezodorantem, podmalować, ubrać, doprowadzić do porządku swoje blond włosy i wrócić do banku. W sobie spędzali nie więcej niż pół godziny. Dlatego Angus zawsze tak dbał, by nie spóźnić się choć o minutę. Pruł, ile się dało główną ulicą Port St. Mary, gubiąc pojedyncze muszle i sploty flaków. Później zwalniał nieco na wąskich ścieżkach między wioskami. Przez cały ten czas i wzdłuż wszystkich tych dróg nad ciężarówką kłębiło się stado biało-szarych, wiecznie nienażartych, jazgoczących mew.

Przed wejściem do małżowni widzę zacumowane przy pirsie, mocno rozhuśtane rybackie łodzie zaopatrujące firmę w towar: „Friendly shore”, „Sarah Lena”, „Bounty”. Z powodu złej pogody żadna dziś nie wypłynęła. Za bardzo by trzęsło. Bez świeżyzny we wtorek zarobek będzie marny.

Wbijam kod na metalowym zamku przy drzwiach. Klik. Kombinacja wryła mi się w pamięć.

Wnętrze małżowni również wypełnia smród.

Jest w przedsionku, w biurze, którego okna wychodzą na morze, w obu szatniach, w toaletach,

w kantynie, w magazynku, na obu salach i we wszystkich czterech chłodniach.

Prześmierdły też stoły ze stali nierdzewnej, często szorowane z użyciem chemikaliów, codziennie zmywane strumieniem lodowatej wody ze szlauchy, a nawet metalowe miski z dziurami na wykrojone małe i nożyki do wykrajania.

Najbardziej ze wszystkiego jednak cuchną robocze ubrania. Zielone, bawełniane fartuchy z długimi rękawami. Małe flaczki kleją się do łokci albo do kolan, gdzie nie sięgają gumowce. Czasami jakiś zbłąkany przyklei się do kołnierzyka, schowa pod zgięciem i schnie niezauważony – emitując smród. Jak bardzo by się człowiek nie starał i tak się pobrudzi, i tak przechytrzy go śmierdząca woda tryskająca z otwieranych mały, albo kawałek flaka, który zamiast do kubła trafia na przedramię. Nawet najbardziej doświadczone, najzręczniejsze pracownice maźowni zawsze się utytłają – nawet Shirley i Tracy.

Choć pracują przy różnych stołach, obie kobiety w tym samym momencie podnoszą głowy po moim głośnym przywitaniu. Obie z wypiekami na uśmiechniętych, pomarszczonych twarzach – albo miały pijacki weekend, albo zgrzały się przy robocie. Rzucają radosne: *oh, well, well* i *hello*.

Nie dziwią się, że mnie widzą, zdążyły się

dowiedzieć, że przyleciałem. Chętnie robią sobie przerwę, by wypić ze mną kawę. Ściągają zielone, gumowane fartuchy i wybrudzone żółte rękawiczki.

Siadamy w kantynie – one obie na tych samych miejscach, które zajmują od dwudziestu lat, odkąd jako młode matki zaczęły pracę w małżowni, ja znajduję moje dawne krzesło z czerwonego plastiku na niebezpiecznie pordzewiałych nogach. Szykując kawę, pamiętam o kolejności, którą obie kobiety preferują: najpierw idą granulki, później cukier i mleko, a dopiero na koniec wrzątek z wiszącego przy ścianie bojlera. Kawa ma parzyć – a jeśli wlać mleko na koniec, chwila moment i napój jest zimny. Proszą, żebym zamknął okno, bo przecież cuchnie tak, że nie idzie wytrzymać. Na pewno czułem po drodze. No właśnie. Flaki już tydzień czekają na wywiezienie. A Angus jakby się zapadł pod ziemię. Pewnie znowu gdzieś chleje.

Shirley i Tracy zawsze, gdy widzimy się po raz kolejny, pytają mnie o to samo. Zapytały i tym razem. Kiedy nareszcie przestanę się oszukiwać, rzucę Polskę, Warszawę i zostanę tu na stałe? Bo że wreszcie zostanę, to one nie wątpią. Tylko tracę forszę na te wieczne podróże. Zbyt często wracam – mówią. Ze zbyt wielu powodów, zbyt chętnie. Który to już raz? Dwudziesty pierwszy? A no właśnie. Za bardzo mnie – mówią – ta wyspa

uspokaja, wycisza. Za bardzo zachwyca. Czego one zupełnie nie rozumieją. Dla nas to jest jakby więzienie – mówią.

No i co to za pomysł z tą książką? Słyszały, słyszały, nie, nie z gazety. Fajnie, fajnie, ale ich zdaniem nie da się o wyspie napisać całej książki. No chyba że jakąś przyrodniczą. Bo owszem, krajobrazy są OK, mamy różne zwierzęta, ładne plaże, dużo kwiatów, wrzosa, kolcolista, co nie traci koloru nawet zimą. Nie o przyrodzie? No to o czym tu pisać? Przecież na wyspie nic się nie dzieje.

Im to już nawet do pubów nie chce się chodzić w piątki czy w soboty, bo wiecznie człowiek musi oglądać te same mordy, a i piwo coraz droższe, powyżej trzech funtów. Szczególnie zimą nie mogą sobie pozwolić na imprezowanie, bo roboty mało, na kontach debety. Widziałem, że łódki dziś znowu nie wypłynęły, że na jutro nie będzie towaru? No właśnie. No dobrze. To o czym zamierzam pisać? Bardzo je to ciekawi. O wyspie generalnie? O historii? Przecież w Polsce nikt nie ma pojęcia, że wyspa istnieje! Połowa ludzi w Anglii nigdy o niej nie słyszała i jakoś żyją – myślą Isle of Man z Isle of Wight. A co dopiero w Polsce. Po co Polakom taka wiedza? O ludziach będzie? To znaczy, o których konkretnie? Chyba co najwyżej o Bee Gees, bo wiadomo, że oni z wyspy. Nie

o nich? To o kim?

– Między innymi o was.

Obie wyprostowały się jak na komendę, zeszywniały.

– Jak to o nas? – pyta Shirley. – Zwariowałeś!

– O nas? – Tracy też nie dowierza.

– Kto by chciał o nas czytać, nawet jeśli tylko między innymi? O małżonki? O nie. Powiemy ci szczerze, my takiej książki byśmy nie przeczytały. My to wszystko mamy tu na co dzień.

– No właśnie.

Kobiety proponują napić się po jeszcze jednej kawie. Nie spieszy im się wracać do stołu. Muszą sobie przemyśleć swoją obecność w książce. Obie przedwcześnie postarzałe – młode, czterdziestokilkuletnie babcie. Zmęczone oczy, ziemista cera, zaniedbane zęby, niemodne fryzury. Skręcając papierosy, pytają, o czym jeszcze będę pisał. Mówię, że to zależy, że zobaczę, do jakich historii uda mi się dotrzeć przez najbliższych pięć tygodni. Po to przyjechałem. Będę rozmawiał z ludźmi, przepatrzę biblioteki, zaszyję się w muzeum.

– A po jakiemu to będzie napisane? Po polsku? Szkoda, że nie po angielsku. Wielka szkoda. Gdyby było po angielsku, może byśmy jednak przeczytały. Wiesz? Tak. Ja bym przeczytała. Ja też. Na pewno.

W końcu to o naszej wyspie.



2.

Tysiące lat temu, w czasach, gdy w Irlandii walczyli ze sobą giganci, jasnowłose, piękny i mocarny wojownik Finn Mac Cooil toczył zacięty bój z rudym olbrzymem ze Szkocji. Irlandczyk okazał się silniejszy i mocno poturbował przeciwnika. Chciał zadać rozstrzygający cios, ale wielki Szkot rzucił się do ucieczki, kierując się na północny wschód, w stronę morza. Pomimo krwawiących ran, biegł szybko i coraz bardziej się oddalał. Finn pędził za nim, pokonując z każdym susem setki kilometrów, obawiał się jednak, że rywal rzuci się do wody i odpłynie, dlatego zatrzymał się na chwilę i zanurzył swoją wielką dłoń w wilgotnej, brunatnej glebie. Zmieścił w niej tysiące ton żywej ziemi, razem z korzeniami, skałami, ślepymi kretami i nornicami, zającami, które nie zdążyły wyskoczyć ze swych nor, z dżdżownicami. Uformował kulę, którą z całych sił rzucił w kierunku uciekającego Szkota. Spudłował. Krater, który powstał na wyżłobionym obszarze, zamienił się w największe brytyjskie jezioro Lough Neagh. Bryła ziemi z kolei wylądowała w samym środku Morza Irlandzkiego, dając początek wyspie Man.



3.

Imię jest walijskie: Sian. Długie „SZ”. Nie zwyczajne i krótkie – jak szopa, Szczepan, szałwia. Dłuższe. Szzzzian. I „i” jakby go nie było.

Na pierwsze śniadanie po moim powrocie jemy jajka w koszulkach na toście z sosem holenderskim i szpinakiem – przyjacielska wystawność na przywitanie, od wtorku będzie owsianka. Sian cieszy się, że mnie widzi. Twierdzi, że wiedziała, że nie wytrzymam z dala od wyspy zbyt długo. Już trochę mnie zna. Upewnia się, że od ostatniego pobytu nie zapomniałem reguł współzamieszkiwania. Jedyna zasada, mówi, mam się czuć jak we własnym domu. Swobodnie. Mam się nie pytać, nie krępować, nie czaić. I żebym był cierpliwy wobec sprzętów, bo są stare, czasami nawalają, pewnie pamiętam – mikrofalówka rzezi, pralka potrafi zatrzymać się w pół prania, telewizor śnieży w byle wichurę, a prysznic w łazience na piętrze ma problem z ciśnieniem. Żywię się tym, co w lodówce, a jak widzę, że się kończy, dokupuję. Z kolacjami będziemy się umawiać, które z nas gotuje, w zależności od chęci i czasu. I ostrożnie z oknem w pokoju – zawiasy zjada rdza. Ogrzewanie – pamiętam, gdzie się włącza? Bo wcześniej przyszła zima, trzeba grzać

prawie bez przerwy. A gdyby mi ciągnęło po nogach w salonie na górze, jak będę siedział przy biurku, o, tu jest farelka, mogę sobie zabrać.

Pamiętam, pamiętam. Cały ten regulamin znam na pamięć – od lat się nie zmienia. Zdążyłem wypracować własne metody na nieprzewidywalną pralkę, na mikrofalówkę (porządnie trzasnąć drzwiczkami), na opiekacz, który zatrzymuje w sobie kromki chleba i je osmała, na poranne wietrzenie pokoju.

Na lodówce wisi szpitalny grafik Sian – mam sobie sprawdzić, gdyby mi pasowały godziny, mówi, w drodze do pracy może mnie podwozić do Douglas, do Manx Museum, biblioteki, gdzie tam będę potrzebował.



Oraz – czy widziałem, że w oknie jest tablica „FOR SALE”. Kawał tektury z czerwonymi literami. Mogłem nie zauważyć – już było ciemno, jak przyleciałem wczoraj, i jeszcze było ciemno, gdy rano wychodziłem do małżowni. No więc tak. Dom jest na sprzedaż. Ale mam się nie martwić, mogę sobie spokojnie mieszkać, szybko się nie sprzeda.

Dom Sian stoi przy głównej ulicy Port St. Mary – High Street. Nie ma ogrodu. Za domem jest morze i niewielka przystań – tymczasowy postój dla łódek, które wymagają przeglądu albo naprawy. Dzwonki przymocowane do ich masztów przyjemnie dzwonią przy byle podmuchu, niemal bezustannie. Słyszać je w każdym pokoju, w obu

łazienkach, a nawet w kuchni, której okna wychodzą na drugą stronę.

Jest ostatnim w długim szeregu domów, z których każdy reprezentuje inny styl i pochodzi z innych czasów. Przyklejone do siebie różnią się też pod względem kolorów i rozmiarów.

Obok znajduje się jedyne w miasteczku Fish&Chips, a krok dalej drukarnia Ricky'ego.

Dom Sian jest jednym z największych i najwyższych, ale też najbardziej zaniedbanych. Z braku pieniędzy. Forse na remont można by zdobyć, wynajmując pokoje przyjezdnym pracownikom. Koleżanka Sian, Rosemarie (*land lady*, właścicielka trzech domów, w których pokoje zajmują sami imigranci), od lat poleca przede wszystkim Polaków – spokojni, pracowici, lubią wypić, ale płacą i nie marudzą. Uważa, że Sian nie miałyby problemów z popytem – przecież w małżowni, z tego, co Rosemarie słyszała, od Polaków aż się roi. Na pewno woleliby mieszkać tu niż dojeżdżać z innych rejonów wyspy. Powiedzmy – mówi Rosemarie – trzy osoby po pięćdziesiąt funtów tygodniowo, to jest sześćset funtów miesięcznie, to ponad siedem tysięcy rocznie. Wystarczyłoby na remont dachu i kilka nowych okien. Ale co z kanalizacją – myślała Sian – co z dywanami, które trzeba wymienić, co z wilgocią,

ze ścianami, z których odłazi farba lub odkleja się kwietna tapeta, a które aż proszą się o odrobinę uwagi? Co z kafelkami w kuchni i łazience, co z gnijącymi powoli schodami, co z wypaczonymi drzwiami...

Poza wszystkim, chłopcy przecież zawsze mogą zechcieć wrócić do domu i pomieszkać z samotną matką. Co by miała wtedy zrobić z lokatorami?

– Uznałam – mówi Sian – że najlepiej będzie, jeśli sprzedam dom i kupię mały *cottage* z trzema sypialniami zamiast sześciu. Musiałby być w dobrym stanie, najlepiej świeżo po remoncie, żeby nie wymagał żadnych napraw i żeby był dużo tańszy w utrzymaniu.

Najlepiej też, żeby miał ogród, w którym Sian mogłaby uprawiać cukinie, sałatę i zioła, a nawet trzymać kilka kur, dla jajek. Mógłby być nawet poza Port St. Mary – w Colby, w Ballasalli, w Port Erin – byle nie w Castletown. Castletown odpada bezdyskusyjnie. Sian nie chciałaby wpadać na Helen albo Robina, albo (nie daj Boże!) na ich oboje, w supermarkecie czy na poczcie. Nie chciałaby mijać ich podczas spacerów, wymieniać się fałszywymi uprzejmościami w banku czy u rzeźnika. Przez te wszystkie lata udawało im się ograniczać kontakty – w tym także zupełnie przypadkowe spotkania – do absolutnego

minimum i tak powinno pozostać.

FOR SALE i numer telefonu biura pośrednictwa. Obiecywali, że pójdzie szybko, sprawnie i za dobrą cenę. Chętnych miała przekonać bliskość morza i widok z salonu na drugim piętrze. W pierwszym miesiącu po sporządzeniu oferty kobieta z agencji dwa razy przyprowadzała wstępnie zainteresowane małżeństwa: bogatsza klasa średnia z perspektywami dalszego społecznego awansu i planami na co najmniej trójkę potomstwa. Mężowie młodzi i schludni, ubrani w porządne spodnie i polówki, zadowoleni z życia, powoli łysiejący, z wolna tyjący w okolicach brzucha – od zbyt długiego siedzenia przy biurkach (księgowi lub prawnicy). Żony modne i szczupłutkie, w drogich sukienkach, w pełnym makijażu i w butach na wysokich obcasach. Sian patrzyła na nie z lekką zazdrością i żalem – widziała w nich samą siebie sprzed wielu lat. Może nie była w młodości tak wychudzona, ale cechowało ją to samo – rysujące się w oczach i uśmiechu – radosne i naiwne przekonanie, że już zawsze w jej życiu będzie bogato i spokojnie.

Miała dwadzieścia lat i kończyła kurs pielęgniarstwa w Londynie. Po obronie dyplomu zamierzała wrócić do rodzinnej Walii. Chciała zamieszkać

blisko matki (ojciec – lekarz – zmarł, gdy Sian kończyła liceum). Liczyła na spokojną pracę w lokalnym szpitalu, która przy odrobinie gospodarności mogłaby jej zapewnić nawet dwa urlopy rocznie na ukochanych greckich wyspach. Oraz, że trafi się ktoś porządny. Sian nie szukała bogatego męża, jak inne pielęgniarce, które tylko marzą, by usidlić zamożnego lekarza. Wystarczy, żeby był porządny – myślała. Robin sam się napatoczył. Szarmancki arystokrata, młody, dość przystojny, ze zmysłem do pieniędzy. Władczy. A do tego kruchy emocjonalnie.

– Tak go wychowano, na surowo, na chłodno – mówiła mi kiedyś Sian. – Miał rodziców, którzy nie żałowali pieniędzy na jego edukację w prywatnych szkołach z internatem, ale widywali go najwyżej kilka razy do roku. Nie chwalili, nie tulili. Nie radził sobie przez to z uczuciami. Wymyśliłam, że się nim zaopiekuję, że go naprawię.

Po paru miłych miesiącach, paru randkach, wyjściach do kina i na tańce Robin oświadczył się, a chwilę później poinformował:

– Dostałem pracę w banku. Jedziemy na wyspę Man.

– *Where?* – dopytywała Sian. – *Isle of what?*

Przez ponad dziesięć lat małżeństwa Sian prowadziła wygodne życie bogatej żony. Rodziła

kolejnych synów, urządziła piękną rezydencję tuż przy polu golfowym w Port St. Mary, wyprawiała w niej wystawne przyjęcia. Każdego ranka odwoziła synów do szkoły i odbierała ich popołudniami, gotowała dla nich zdrowe obiady, a w wolnych chwilach organizowała kolejne wczasy w tropikach i latała z nowymi przyjaciółkami na zakupy do Londynu. Sofy i fotele od Harrodsa, strzyżenie i czesanie u Vidala Sassona, sukienki i garsonki od niemodnych już dziś projektantów. Szampan podczas lunchu.

– Bankierzy, księgowi, doradcy finansowi i ich żony, w takich obracaliśmy się kręgach. – Sian lubi wspominać. – Nikomu nie brakowało pieniędzy. Mieliśmy drogie samochody, jadaliśmy w najlepszych restauracjach, zapraszaliśmy znajomych na pijackie przyjęcia. Piliśmy dużo, za dużo, prawie codziennie, często od południa. Robin importował francuskie wina. Skrzynkami. Chyba tylko cudem nie wpadłam wtedy w nałóg.

Teraz wystarczy kieliszek taniego wina do kolacji i Sian jest zawiana. Po drugim od razu idzie spać.

Najpierw był jego romans z sekretarką, długo ukrywany. Później szybki rozwód. Sian nie zamierzała tolerować zdrad i upokorzeń. Rozumiała, że czeka ją poważna zmiana, społeczna

deklasacja i powrót do pracy w zawodzie. Robin chciał wrócić: prosił, płakał, obiecywał. Kiedy pojął, że nic z tego, wszystko, co miał, przepisał na kochankę. Gdy przyszło do podziału majątku, nie było czego dzielić. Sian nie walczyła o pieniądze. Czasami żałuje, że nie była bardziej asertywna, bo szybko się okazało, że bycie samotną matką, nawet na wyspie Man, to nie przelewki. Kiedy wprowadziła się z synami do nowego domu, siedemnaście lat temu, wszystko było w dużo lepszym stanie – i meble, i sprzęty, i okna, i dach; poza nią samą. Zatrudniła się w szpitalu w Douglas, gdzie pracuje do dziś. Jej pensja i niewielkie alimenty nie wystarczały nawet na ćwierć wcześniejszych wygód i na niezbędne remonty, ani na greckie wakacje.

Obie pary dokładnie obejrzały dom Sian od piwnicy po strych. Żonom podobał się bardziej – szczególnie widok z okien, że słyhać dyndające u masztów dzwonki i szum morza w czasie przypływu. Mężów skutecznie zniechęciła skala koniecznych napraw. *Thank you, but no, thank you.* Agenci tłumaczyli Sian, żeby się nie przejmować, że będą inni chętni, że być może trzeba będzie zejść nieco z ceny, ale koniec końców sprzedamy. Cierpliwości, pani MacKenzie, mówili.

– No więc czekam. Muszę dobrze sprzedać dom i kupić *cottage* za rozsądną cenę. Powinnam na tej transakcji sporo zarobić. Będę mogła pójść na wcześniejszą emeryturę, będę mogła częściej latać do Australii, po czterdziestu latach nareszcie wrócę na Korfu.

Kończymy śniadanie. Sian rozmarzyła się na dobre. Przerywa jej dopiero wejście Barbary.

Nie wierzę! Myślę sobie – nareszcie. Nareszcie poznam Barbarę. Podczas moich wcześniejszych pobytów w domu Sian zawsze się rozmijaliśmy – przychodziła we wtorki i piątki około dziewiątej rano. Ja w tym czasie już od dwóch godzin patroszyłem małże. Nie wiedziałem, jak wygląda, ile ma lat – wiedziałem o niej co nieco z przypadkowych opowieści Sian. Barbara pomaga jej od dawna, zaczęła, gdy dzieciaki były jeszcze małe i dom każdego dnia wyglądał jak pobojuwisko. Straszyla chłopców, że jeśli nie zaczną po sobie sprzątać, matka odda ich do domu dziecka. Odkąd synowie dorośli i poszli na swoje, Sian twierdzi, że poradziłaby sobie bez Barbary.

– Nie stać mnie, by jej płacić, ale nie mam serca, by jej ostatecznie podziękować. Poza tym ona naprawdę źle sprząta. Kiedyś była w tym dobra, robota aż jej się w rękach paliła, później przestała się starać. Całkiem niedawno byłam gotowa ją

odprawić i nawet kupiłam jej z tej okazji prezent – serwis do kawy podobny do mojego, który zawsze jej się podobał. Na sześć osób, z takim wzorem we fioletowe tulipany. Pół roku szykowałam się do tej rozmowy, specjalnie wzięłam drugą zmianę w szpitalu. To był wtorek. Barbara zadzwoniła rano, uprzedzić, że jednak się nie zjawi. Jej syn zastrzelił się nad ranem w ogrodzie – z myśliwskiej broni ojca. Młody, niespełna trzydziestoletni. Miał problemy z dziewczyną i zdaje się, że z narkotykami. Barbary nie było miesiąc. Wróciła, choć mówiłam jej, żeby zapomniała o pracy, żeby może sobie gdzieś wyjechała i się mną nie martwiła. Twierdziła, że musi coś ze sobą zrobić, bo oszaleje. Sama wyglądała wtedy jak nieżywa. Nie mam serca, by ją zwolnić.

W te dni, gdy przychodziła Barbara, lubiłam wracać z małżowni i postać chwilę w drzwiach prowadzących do kuchni. Z zadziwieniem przyglądałem się efektom jej pracy. O tym, że była, świadczyło niewiele: dosunięte krzesła, wyniesione śmieci, zamieciona podłoga, umyte naczynia. Przybywało również przestrzeni na kuchennych blatach. Barbara osiągała ten efekt, przybliżając przedmioty do siebie – puszki z herbatą, doniczki z sadzonkami ziół, talerze, szklanki, papierowe torby z mąką lub cukrem. Zsuwała rzeczy

niemetodycznie, nie zważając na ich kształty i rozmiary. Potrafiła także wkładać jedne do drugich (długopisy, agrafki, ząbki czosnku oraz pudełeczko z sodą do pieczenia lądowały nagle w sosjerce) lub ustawiać je wertykalnie (na desce do krojenia chlebak, na chlebaku garnek z przykrywką położoną do góry dnem, na przykrywce wytłaczanka z jajkami). Następnego dnia siły, którymi Barbara wypełniała kuchnię, przestawały działać. Rzeczy na powrót rozsuwały się, wzajemnie odpychały, spadały z siebie, na nowo wypełniały niemal całą dostępną przestrzeń.

Do łazienki i trzech sypialni na piętrze Barbara nawet nie zaglądała. Ani do wielkiego salonu na poddaszu – jedyne go pomieszczenia, które świadczy o dawnej zamożności mieszkańców domu. Sian trzyma tam drogocenny kredens (Welsh dresser), który odziedziczyła po swojej babce. Wygląda bardzo solidnie, choć to antyk, prawie trzystuletni – na aukcji wart byłby dziś małą fortunę. O sprzedaży jednak nie ma mowy – po śmierci Sian mebel przejmie najstarszy syn Hugo. Na półkach kredensu kurzy się chińska i drezdeńska porcelana – talerze, kubki i filiżanki, a także drogocenne puzderka, kryształ. Na ścianach wiszą olejne pejzaże, z których każdy wart jest co najmniej kilkaset funtów – prezent

ślubny od arystokratycznych rodziców Robina. Zabytkowe fotele, krzesła i stoliki, perski dywan, kryształowy żyrandol. Wielkie, uchylne okna – wiecznie zasrane gołębimi kupami. Jedyne gwałtowniejsza ulewa potrafi zmyć ptasie odchody – zwykły deszcz im nie sprost. Po takiej pompie można się wtedy rozsiąść na kanapie z kubkiem herbaty i wpatrywać w niekończące się morze. Na horyzoncie po lewej widać brunatne brzegi Castletown, po prawej widok jest nieograniczony. Ciemnogranatowy bezmiar wody, przełamywany co chwila pianą z drobnych fal, jakby ktoś rzucał na morze delikatne, wykrochmalone koronki. Jest i biurko z blatem obitym zieloną skórą. Okazuje się dość niewygodne, ale użyteczne.

Sian rzadko wyprawia się do salonu – z powodu lekkiej nadwagi ma problemy z kolanami i wchodzenie po wąskich schodach bardzo ją męczy.

Pierwszy raz znalazłem się tam lata temu. Przyjaźniłem się wtedy z Alisdaiem, średnim synem Sian. W każdy wtorek jeździliśmy razem na koszykówkę do sali gimnastycznej w King William's College w Castletown, a dwa razy w tygodniu pracowaliśmy razem popołudniami, pakując ryby i owoce morza dla supermarketu, którego właścicielem, podobnie jak małżowni, był

Tim Croft. Czasami podkradaliśmy stamtąd filety świeżutkich sea bassów albo makreli, które Sian przyrządzała później na kolację. Zazwyczaj jedliśmy w przytulnej, zagraconej kuchni, ale jednego razu obaj z Alisdaiem tak potwornie śmierdzieliśmy po pracy (małże, wędzony łosoś, gotowane mięso krabów, patroszone śledzie), że Sian kazała nam wynieść się z talerzami do salonu.

– Dzień dobry, dzień dobry – mówi Sian. – *How are you, Barbra?* Wejdz, usiądź z nami. Zobacz, kto wrócił na wyspę. Chyba wcześniej się nie poznaliście.

Barbara jest szczupła i nieadekwatnie jak na swoje pięćdziesiąt dwa lata pomarszczona. Mówi cicho i wolno. Oczy ma bez przerwy smutne, bez sprzężenia z ustami rozjechanymi w niepewnym uśmiechu.

– Normalnie przychodzę we wtorki, ale jutro coś mi wypadło i nie mogę, więc przyszedłam dzisiaj. Uciekł mi autobus i szłam z Port Erin na piechotę. Strasznie zmokłam. Potworna pogoda.

Proponuję jej kawę, ale odmawia. Woli od razu wziąć się za porządki. Sian zbiera się do pracy. Ma na trzynastą. Proponuje, że mnie podwiezie do Douglas, jeśli mam potrzebę. Kusi mnie, żeby zostać i porozmawiać z Barbarą, ale mam dwie umówione rozmowy. Jeszcze będzie okazja.

4.

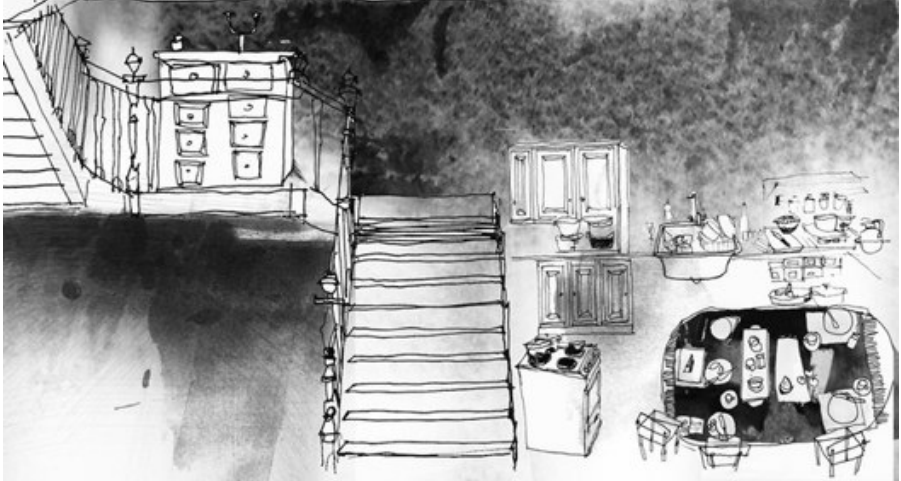
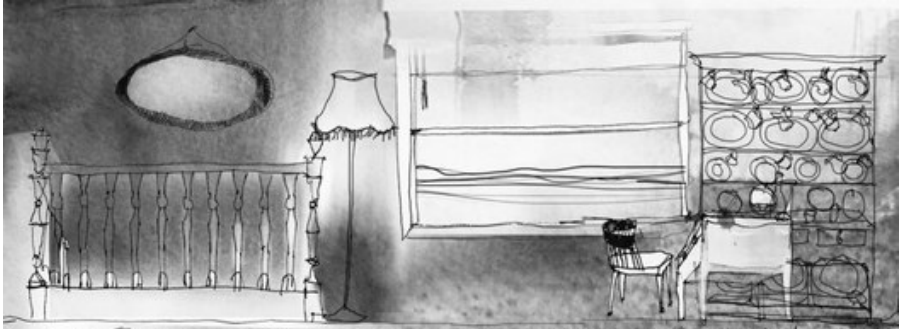
Dzisiaj to jest igraszka, choć faktycznie mocno wieje. Żałuj, że cię nie było w sobotę. Mieliśmy tu mały Armagedon. Mieszkam na wyspie ponad dziewięć lat, ale czegoś podobnego dotąd nie widziałem – mówi Matt, czyli Matthew, czyli po prostu Maciej, fotograf z Poznania. – Owszem – opowiada, szykując kawę na zapleczu zakładu – wiało przecież, grzmiało i padało nie raz. Deszcze, śniegi, grad. Ale żeby taki orkan, to nigdy.

Mówię, że widziałem filmiki w internecie tuż przed wylotem z Warszawy. Morze Irlandzkie lubi się czasami naburmuszyć, żeby jednak nadymać fale do tak niebywałych rozmiarów, ciskać je tak głęboko w ląd, kazać obłym kamieniom, by tłukły ludziom szyby w przybrzeżnych domach? Tego jeszcze nie było.

Matt też zrobił w sobotę parę zdjęć, całkiem niezłych, uważa, może mi pokazać. Nosiło go i nosiło, od jednego okna do drugiego, od samego rana miał w sobie jakiś niepokój. Gdy sztorm na dobre się rozszalał, nie wytrzymał. Ciepło się ubrał, spakował aparat, wyszedł z domu, wsiadł w samochód. Pojechał w kierunku Onchan, wzdłuż ciągnących się pod górę torów kolejowych. Jak na dłoni widać stamtąd całą stołeczną zatokę, z plażą,

promenadą i połową miasta.

Samego go ten zew zaskoczył, bo Matt już dawno temu odpuścił sobie przyrodę – znudziło go robienie zdjęć tutejszym widokom. Za ładnie tu dla niego, zbyt malowniczo, zielone łąki są zbyt zielone, za dużo tu forsycji, za dużo fuksji, dzikich żonkili przy drogach, wrzosów na wzgórzach, stromych urwisk i przyjaznych piaszczystych plaż. Za spokojnie, za miło, za dostatnio. A jak siąpi deszcz – zbyt melancholijnie.



Dlatego skupił się na ludziach. Czyli na zdjęciach paszportowych, przedszkolnych, szkolnych, ślubnych i rodzinnych. Na tym, co potrzebne. Jest w tej branży coraz bardziej rozpoznawalny, szczególnie odkąd zangielszczył sobie imię – Maciej jest jednak trudne do wymówienia. Klienci polecają sobie Matta – mówią, że jest rzetelny i utalentowany, bardziej od innych kreatywny. Do niedawna, gdy powoli rozkręcał biznes, był też od innych tańszy. Teraz ceny podniósł do rynkowych. Dorobił się też własnego eleganckiego studia – w samym centrum Douglas.

Podając kawę, Matt przeprasza, że może mi poświęcić najwyżej godzinę – po południu ma jeszcze dwie sesje: zaręczynową i biurową w którymś z banków.

Po pierwsze, to jego żona Daria przesyła pozdrowienia – czy pamiętam, że ją poznałem w 2005 roku? Wtedy nie byli jeszcze małżeństwem, jeszcze się nawet nie znali. Pewnie, że pamiętam. Dalej nosi dredy? Nie – obcięła już dawno temu. W międzyczasie była całkiem łysa, teraz ma fazę na rudy. Trochę chorowała. Dość poważnie. Długo nie było wiadomo, na co konkretnie. Ale już jest dobrze. I tyle w tym temacie, OK? OK.

A z tym spokojem to jest tak, że Matt sobie go ceni. Nawet bardzo. Mam nie myśleć, że nie. Na

zdjęciach spokój może nie wychodzi najlepiej, ale w życiu jest ważny, jeśli nie najważniejszy. Spokój na przykład, że jeśli choroba już jest, to są też dobrzy lekarze i cały system opieki, spokój, że są pieniądze na leczenie. Spokojna głowa o przyszłość. No bo czego mu w Polsce brakowało? Właśnie spokoju. I czasu. Był młody, pełen zapału. Robił zdjęcia dla „Głosu Wielkopolskiego”. Zwykła wydarzeniówka, nic nadzwyczajnego, ale żeby wyjść na swoje, musiał pracować niemal bez przerwy. Jak durny ganiał z aparatem po całym Poznaniu. W dodatku nie miał etatu, był na samozatrudnieniu, które przestało się opłacać, gdy nagle przyszedł kryzys i obniżono mu stawki o połowę. Doszedł do ściany. Mógł pracować jeszcze więcej, jeszcze ciężiej, tylko po co, co by z tego miał?

– Wychowałem się na „Magazynie Gazety Wyborczej”, na ambitnych fotoreportażach, na zdjęciach Krzysztofa Millera. Też chciałem portretować ból, cierpienie, nieszczęście, ludzkie dramaty. Chciałem, żeby moje zdjęcia objaśniały świat, żeby prowadziły do zmiany. Naczytałem się o słynnym Henrim Cartierze-Bressonie i jego teorii „decydującego momentu”. Ale jak ja niby miałem znajdować decydujący moment, kiedy gazeta zamawiała zdjęcie pozimowej dziury w jezdni?

Frustracja narastała, więc Maciek postanowił, że wyjeżdża i że robi sobie od fotografii przerwę. Na wyspę trafił przez kolegę koleżanki, który obiecał, że pomoże z jakąś pracą. Był rok 2005. Najłatwiej było się wtedy zaczepić w małżowni, do firmy sprzątajacej albo na prom. Steam Packet Company zatrudniała ludzi przez zewnętrzną angielską firmę, więc nie trzeba się było starać o *work permits* (które obowiązują na wyspie, bo nie jest ona częścią Unii Europejskiej). Matt przepracował na promach dobry rok – pływał do Liverpoolu, Heysham, czasami do Dublina. Tam i z powrotem. Sprzedawał kawę w kiosku z przekąskami albo pomagał w kuchni. Fajnie było – mówi. I fajne pieniądze. Nareszcie.

– Na „Ben-My-Chree” też pływałeś? – pytam, przypominając sobie czerwcowy poranek 2005 roku, gdy wszedłem na pokład promu w Liverpoolu. To była moja pierwsza podróż na wyspę.

– „Ben-My-Chree”, wiesz, co to znaczy w manx? Kobieta mego serca. Jasne, że pływałem. Duża łajba.

– Pamiętam, że kupiłem podczas rejsu kawę i tosta z serem. Od ciebie?

– Możliwe. Co ja się wtedy Polaków naogładałem. Kilkadziesiąt osób każdego dnia,

jakbym nie wyjechał z Poznania. Wszyscy w jedną stronę, na wyspę. Zahukani, przestraszeni. W nerwach. Oczy mieli dookoła głowy. Żeby czasem się ktoś do nich po angielsku nie odezwał. Z dziećmi małymi płynęli, z wózkami, z walizkami. Od razu szło poznać, że z Polski – tanie ubrania, szare albo czarne. Zero koloru. Zero uśmiechu. Mój menedżer szybko wyczuł potencjał i wprowadził do barowego menu polskie piwo. Szło, że hej.

Później Maciek zateśknił do zdjęć, rzucił promy i zatrudnił się w zakładzie fotograficznym w Douglas. Siedział na zapleczu i obrabiał komputerowo zamawiane fotografie.

Na czyichś urodzinach poznał Darię – dziewczynę filigranową, ale pełną energii, z grubymi, czarnymi jak smoła dreadami prawie po pas. Oboje byli wtedy w innych związkach i zanim się zeszli, minęło kolejnych kilka lat. Później był ślub i na świat przyszedł Leon – dziś trzylatek. Daria niedawno rzuciła pracę w cleanersach, gdzie szefowała innym Polakom, i założyła własną firmę sprzątającą. Matt powoli awansował i dojrzywał, żeby otworzyć własny profesjonalny zakład.

– Liczyłeś, że będą do ciebie przychodzić głównie Polacy? – pytam.

– Ani przez chwilę. Bardzo nie chciałem, żeby to miejsce dostało polską łatkę. Polacy są, oczywiście,

mile widziani, tak samo jak wszyscy inni, jak Manxowie, Anglicy, Filipińczycy. Choć ostatnio, faktycznie, coraz częściej przychodzą całe polskie rodziny. Robią sobie sesję i wysyłają zdjęcia rodzicom i dziadkom.

– A nie myślałeś, żeby obfotografować Polaków mieszkających na wyspie i zrobić wystawę?

– A po co? Nie jesteśmy londyńską Polonią z bogatymi tradycjami, z etosem, z pretensjami. Nie musimy bronić polskości, bo jej tu nic nie zagraża. Ona nawet trochę przeszkadza, gdy ludzie chcą się integrować z miejscowymi. Polonijna szufladka by nas uwierała – i mnie, i Darię. To takie tanie i przaśne, podszyte strachem – organizować swój mały świątek wokół garstki Polaków, odgradzać się, na siłę odróżniać, jeszcze starać dowodzić, że z tej polskości wypływa jakaś wartość. I tak nas tu kategoryzują, wystarczy się odezwać, akcent zdradza człowieka. Od razu jesteśmy imigracja zarobkowa, od razu Europa Wschodnia, więc jakby nie Europa w ogóle, może Polska, może Słowacja, może Rosja. Miejscowym wszystko jedno.

– To dlatego nie ma tu i nigdy nie było żadnej polskiej organizacji, żadnej gazety, nawet strony internetowej czy forum? – pytam.

– Przez chwilę działał w Douglas polski sklep,

ale wykończyła go konkurencja – supermarkety szybko wprowadziły polskie produkty i miały dużo lepsze ceny. Jest też polski take away z bigosem i schabowymi, ale mam wrażenie, że niedługo padnie. Może nie potrzebujemy się jednoczyć pod żadnym sztandarem. Nie ma polskiej restauracji, polskiej audycji w Manx Radio. I bardzo dobrze. Świetnie damy sobie radę i bez tego.

Matt nadal czyta „Duży Format”, który zastąpił „Magazyn Gazety Wyborczej”, w internecie. Choć teraz inaczej niż kiedyś. Tamte reportaże i towarzyszące im zdjęcia opisywały jego świat, jego bliższą i dalszą okolicę. Były o biedzie, bo Polska była biedna. O cierpieniu, o patologiach, które wykwitają tam, gdzie system przestał albo w ogóle nie zaczął działać. Mocno zaangażowane, obnażały chroniczną słabość państwa, której nie można już było tłumaczyć transformacją ustrojową. Minęło tyle lat, a reporterzy w Polsce nadal mają o czym pisać. Z tym że teraz opisują świat, który Mattowi wydaje się odległy, a nawet obcy.

– Na wyspie żyje się inaczej, żyje się dobrze. I nie chodzi tylko o to, że ludzie mają pieniądze. Jest bezpiecznie, nie trzeba się bać spacerów po zmroku ani włamywaczy. Samochodu nikt ci nie ukradnie, bo gdzie by go wywieźli? Urzędnicy nie tylko niczego nie utrudniają, oni wręcz wychodzą

z siebie, żeby ci pomóc, żeby ci było dobrze. Szkoły, służba zdrowia, to wszystko działa tu całkiem przyzwoicie. Kierowcy autobusów, pewnie sam wiesz, najmiłsi na świecie. No i Kościół katolicki – dzięki Bogu, w którego nie wierzę – ma tu wpływy minimalne. Lubię tę nudę. Myślę, że doświadczyłem tu jakiegoś przebudzenia. Bo ja już nie chcę być Krzysztofem Millerem. Jestem Matt Mosur, zdjęcia paszportowe, weselne i inne fotografie. I bardzo mi z tym dobrze. Naprawdę. Mam żonę i dziecko. Po co mi jeździć na wojny? Po co ryzykować? Może ja w gruncie rzeczy nigdy nie chciałem być Millerem, może to sobie wmówiłem? Bo taki był w Polsce kanon – mają być flaki na wierzchu, ma być brud, smród, ma być widać na zdjęciu, że boli. Dopiero wtedy jest dobrze, dopiero wtedy coś jest ważne. Ja już tak nie uważam. Ja się cieszę, kiedy otwieram lokalne gazety – „Manx Independent” albo „Isle of Man Examiner” i po chwili je odkładam. Zdjęcia są do bani, teksty jeszcze gorsze, ale przynajmniej jest informacja, że ukradziony rower się odnalazł – gówniarze pożyczili go sobie na chwilę, przejechali się kawałek i wrzucili w krzaki. Dostali upomnienie i więcej tego nie zrobią.

– A nie myślisz, że to lukier, że gdyby rozkroić ten tort, to wyskoczą strachy i smrody, które

znamy z Polski?

Matt próbuje sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czytał o czymś z przejęciem. O ludziach, którzy nie mieszczą się pod parasolem manxowskiej opiekuńczości. Była taka historia, przed dwoma laty, mniej więcej. Chodziło o polską rodzinę. Młode małżeństwo, oboje około trzydziestki. Urodziło im się dziecko z zespołem Downa, z białaczką i kilkunastoma innymi jeszcze schorzeniami. Ojciec taksówkarz, matka niepracująca, bo syn wymagał nieustannej opieki. Musiała z nim jechać do szpitala w Liverpoolu, gdzie mały Rafał przechodził chemioterapię. Rodzina dostawała jedynie niewielki zasiłek, pięćdziesiąt funtów. Mieszkali na wyspie zbyt krótko, by kwalifikować się do innych form wsparcia. Pomagała im jedna fundacja, której udało się nagłośnić temat w mediach. „Sprawa, która okrywa nas hańbą” – krzyczał nagłówek „Manx Independent”. Szybko rozgrzał się też internet – ludzie na forach pisali, że to niedopuszczalne, by na naszej wyspie, na naszej zamożnej i słynącej z opiekuńczości wyspie ktoś musiał tak żyć. Nieważne, że to Polacy – mieszkają tu od pięciu lat, ich dziecko urodziło się w naszym szpitalu. Nie możemy udawać, że nic się nie stało. Były też hejty, owszem, ale w mniejszości. Co na to

rząd? Jak się usprawiedliwi? Czy w tym jednym konkretnym przypadku władza nie mogłaby lekko nagiąć przepisów? Może można by dać tym ludziom większą zapomogę albo wpisać na listę oczekujących na mieszkanie socjalne, które byłoby choć trochę wygodniejsze niż klitka, którą rodzina obecnie wynajmuje? Rząd najpierw milczał, a później oświadczył, że ma związane ręce, że prawo nikogo nie może faworyzować. Pomogli czytelnicy gazety. Dzwonili do fundacji i oferowali wsparcie – mogą przelać pieniądze albo opłacać opiekunkę. Jeden pan zaoferował, żeby polska rodzina wprowadziła się za darmo do jego nowego mieszkania w Douglas, które niedawno kupił jako inwestycję na starość.

– Jasne, że ludzie mają problemy, że spotykają ich dramaty. Wyspa to nie raj – mówi Matt. – Komuś na śmierć zaćpa się dziecko, kogoś potrąci pijany kierowca, od czasu do czasu ktoś kogoś dźgnie nożem, ktoś zabije kogoś albo siebie. Ale jak już coś takiego się stanie, to wyspa będzie tym żyła całymi miesiącami. Bo to nie jest tutaj normalne, nie spowszedniało, jak w Polsce, dzięki nagłówkom brukowców, które codziennie przynoszą jakąś nową tragedię. Przecież wiesz, że system działa tu dobrze, tylko czasami zawodzi, nie odwrotnie.

I o to chodzi z tym spokojem. Zrozumiałem?

Rozumiem, ale się nie zgadzam...

– Nam jest tu po prostu bardzo dobrze. Oboje z Darią uważamy, że być może mieszkamy w możliwie najlepszym miejscu na świecie.

O powrocie do Polski nie myślą. Zamiast tego odkładają pieniądze na kupno domu. Trochę to jeszcze potrwa, bo domy na wyspie to potężna inwestycja, ale wszystko idzie w dobrym kierunku. Matt dostaje coraz więcej intratnych zleceń na śluby, wesela i na sesje dla firm. Jednak najlepszy interes robi się na przedszkolach. Jest na wyspie tradycja, że rodzice i dziadkowie przy każdej okazji kupują zdjęcia maluchów – święta jedne, drugie, początek i koniec roku, dzień taki, śmaki, przedstawienie, wycieczka. Dla fotografów to żyła złota. Ale żeby się dostać do przedszkola, trzeba się najpierw umówić z dyrekcją – bo dyrekcja pobiera określony procent od sprzedanych zdjęć. Matt oferuje procentów dziesięć, a jak jest mocne targowanie, to nawet dwanaście. Na jego warunki przystała już połowa przedszkoli na wyspie.

– Muszę się nieźle natyrać, żeby te dzieciaki do siebie przekonać. Turlam się z nimi po podłodze, rozśmieszam. Jeśli nie zdobędę ich zaufania, na zdjęciach wychodzą ze sztucznym uśmiechem i zmarszczonymi czołami. Rodzice nie chcą później takich fotografii kupować. Na każde dziecko mam

nie więcej niż pięć minut. Już to sobie obliczyłem. Nie każe im mówić „cheeeeeeeese”. Obserwuję je, rozmawiam, pytam o różne rzeczy, mam chwilę, żeby pokopać z nimi piłkę czy poukładać klocki. Wyczekuję na odpowiedni moment, dopiero wtedy robię zdjęcie.

Decydujący moment, jak u Cartiera-Bressona. Matt przyznaje, że pomimo starań, czasami się nie udaje. Trudno.

Za to, o, te zdjęcia z ostatniej soboty, z Onchan, jak szalał sztorm, proszę bardzo – mówi Maciek – mogę zobaczyć – kilka jest naprawdę udanych. Po oprawieniu zawisną na którejś ze ścian zakładu – jako reklama, a może przestroga. Czarno-białe. Fale, jak potężne morskie potwory, przewalają się przez betonowe konstrukcje chroniące promenadę, przez nasypy z wielgachnych kamieni. Nic nie jest w stanie ich zatrzymać. Natrafiając na ścianę urwiska, strzelają w górę, jak islandzkie gejzery, wysoko ponad przydrożne latarnie.

Ludzie na forum w internecie klikali, że lubią, i radzili, by Matt sprzedał zdjęcia miejscowym gazetom.

Nasze spotkanie trochę się przeciągnęło, bo obaj się rozgadaliśmy, próbując przekonać drugiego do swoich racji – bez sukcesu po żadnej ze stron. Żegnamy się jednak serdecznie. Mam wpadać, jak

będę w Douglas, chociaż na chwilę, chociaż na kawę.

Zbliżała się piętnasta. O pełnej godzinie powinienem być w Manx Museum. Musiałem biec, żeby zdążyć. Zmokłem przy tym i zmarzłem. Spóźniłem się może dwie minuty. Alan Shea już na mnie czekał w muzealnej kawiarni. Sporo przytył przez te wszystkie lata, nieładnie się postarzał, posiwiały mu gęste, proste włosy. Dwadzieścia trzy lata temu był jak młody bóg.

Gdyby Matt/Maciek był wtedy na wyspie, miałby idealny materiał na fotoreportaż o tym, jak nie działa tutejszy system, jak sobie musi człowiek sam zmianę wywalczyć.

5.

Najpotężniejszym władcą wyspy Man pozostaje Manannan Mac Lir, syn boga mórz Lira. Manannan był wspaniałym czarodziejem, człowiekiem i bogiem jednocześnie. Mieszkał na górze zwanej South Barrule. Na jej szczycie miał zbudowany z kamieni fort. Z wysokości blisko pięciuset metrów swobodnie kontrolował wydarzenia na wyspie i mógł dostrzec wrogów płynących z każdej strony. Potrafił sprawić, że jeden człowiek w oczach nieprzyjaciół wyglądał jak cała armia najlepszych żołnierzy. Umiał w środku słonecznego dnia wyczarować zdradziecką, gęstą mgłę, która w sekundę oblekała całą wyspę i chroniła ją w ten sposób przed najazdem.

Jednego razu Manannan przechadzał się po zboczach South Barrule, kiedy dostrzegł wojenne statki wikingów, cumujące w zatoce w Peel, na zachodzie wyspy. Przepoczwarzył się natychmiast w połączone ze sobą trzy nogi i z wielką prędkością sturlał się z góry. W mig pokonał dziesięć kilometrów i zatrzymał się w miejscu, w którym do morza uchodził wąski strumień. Jego błotniste brzegi porastało gęste zielone sitowie. Manannan – z powrotem pod ludzką postacią –

zerwał naręcze trawy i rozrzucił źdźbła w strumieniu, przemieniając je w niepozorne łódeczki. Gdy wypłynęły na morze, Manannan raz jeszcze użył czarów i przemienił swoją małą flotę w potężną armadę. Wikingowie wpadli w popłoch i czym prędzej odpłynęli.



W ten sposób władca wyspy Man po raz kolejny obronił swoje królestwo – i to bez pomocy miecza czy łuku i strzał.

W twierdzy na South Barrule mieściła się wielka sala balowa, w której często odbywały się prośzone przyjęcia. Przystojni muzykanci przygrywali do

tańców i gier, którym z rozkoszą oddawali się goście Manannana.

Syn Morza i władca Man miał konia imieniem Enbarr, który potrafił gnać po wodzie, tak jak zwyczajne konie potrafią gnać po lądzie. Hodował psy, które potrafiły zagryźć najstraszniejszą bestię. Miał też miecz zwany Mścicielem – każda zadana nim rana była śmiertelna. Czarodziej nosił też magiczny płaszcz, mogący zmieniać kolory według jego uznania.

Manannan rządził na wyspie Man przez wiele lat. Ludzie kochali go, bo zapewniał im spokój i dobrobyt. Jako daniny żądał jedynie, by każdy z mieszkańców wyspy raz do roku – w dniu letniego przesilenia – ofiarował mu pęk świeżego sitowia.

Na wyspie Man panowało w tym czasie wielkie szczęście i dostatek, nie udałooby się znaleźć choć jednego człowieka, który byłby stary, zmęczony lub smutny.



6.

Proszę, usiądźcie sobie panowie. Jedna minutka i jestem z powrotem – mówi pracownik Manx Museum i znika w ciemnym magazynie. Na drzwiach napis: artefakty, wiek XX.

Ja siadam, ale widzę, że Alan nie zamierza, więc wstaję. Pytam, czy wszystko w porządku, bo wygląda, jakby się denerwował. Trzęsą mu się ręce. Chwilę wcześniej, przy herbacie i ciście w muzealnej kawiarni, opowiadał o całej sprawie swobodnie, bez emocji. Dziwiło go, a może się tylko krygował, że po przeszło dwudziestu latach jego historia może kogokolwiek zainteresować. I to w dodatku w Polsce.

– Tak, tak. Nie, nie, wszystko dobrze. Uhm. – Uśmiecha się na siłę. – Ostatni raz widziałem ten kostium dobre dziesięć lat temu, jak przyjechała francuska telewizja i robiła ze mną wywiad. Wtedy nie bardzo się wzruszyłem, ale dzisiaj czuję, że mnie bierze, mam lekki ścisk w żołądku. Człowiek na starość głupieje. A może to dlatego, że nie zjadłem śniadania?

Alan ma pięćdziesiąt lat i siwą, nieposkromioną czuprynę. Jest wysoki, duży brzuch stara się ukryć pod luźną zimową kurtką. Nosi okulary. Ma głos i śmiech nałogowego palacza. Palił już

w Liverpoolu, skąd przyjechał na wyspę jako osiemnastolatek (szcuple, przystojny, z wiecznymi cieniami wokół dużych oczu, z zalotnym, powłóczystym spojrzeniem) – za miłością swojego życia Stephenem. Do dzisiaj są razem. Niedawno, jako trzecia homoseksualna para na wyspie, zawarli związek partnerski. Urządzili z tej okazji huczne wesele. Przyjechały obie rodziny – obie bardzo katolickie, ale też serdeczne. Był wynajęty hotel, tańce, wielki tort, zawstydzające przemowy świadków, sesja fotograficzna na plaży w Douglas. Stephen miał w butonierce czerwoną różę, Alan żółtą.

– Było bajecznie! – wspomina, zabawnie przeciągając każdą sylabę.

Tynwald, miejscowy parlament, przyjął odpowiednie prawo, kopiując gotowe rozwiązania brytyjskie. Obyło się bez większych problemów, bez zamieszania, bez burzy medialnej i szczególnie intensywnej debaty publicznej. Ot, przegłosowano i już.

Zupełnie inaczej rzeczy się miały ćwierć wieku temu, gdy Alan rozpoczynał żmudną walkę o legalizację kontaktów homoseksualnych, za które, jak się dowiedział ku własnemu przerażeniu, groziło na wyspie dożywocie. Przeprowadzając się z Liverpoolu do Douglas, był przekonany, że wyspa

poszła za przykładem Anglii i Irlandii, które przestały karać gejów więzieniem jeszcze w latach sześćdziesiątych.

Jako konserwatywny skansen – nie poszła i nie zamierzała. Chodziło o ustawę, w myśl której akty homoseksualne między dwoma dorosłymi mężczyznami na wyspie są całkowicie zakazane i podlegają surowym karom. Co ciekawe, zakaz nie dotyczył lesbijek – nie ma o nich w ustawie ani słowa.

– Lata osiemdziesiąte i początek dziewięćdziesiątych były dla nas okropne. Na wyspie panowała straszna atmosfera, zatechła. Geje siedzieli w szafach. Nie mieliśmy się gdzie spotykać, nie mieliśmy żadnej organizacji, która zaważczałaby o nasze prawa.

Alan dobrze pamięta, jak policjanci wparowali do jego domu i zrobili kipisz. Porozrzucali książki, pootwierali szafki, puszkę z herbatą, zajrzeli nawet do zamrażalnika. Bez nakazu, bez powodu, powołując się na ustawę o zwalczaniu terroryzmu. Kogo konkretnie szukali, czego – do dziś nie wiadomo. Alan i Stephen nie byli jedyni – na innych gejów policja również się uwzięła.

– Jeśli mieli wobec kogoś podejrzenia, zabierali na komisariat i przesłuchiwali. Chcieli wiedzieć, gdzie „pederaści” się spotykają, kim są, nazwiska,

dawać nazwiska! Pieprzone cioty!

Jednego razu policjanci z Douglas aresztowali dwudziestu jeden mężczyzn w publicznej toalecie. Wszystkich oskarżono o dopuszczenie się czynów nierządnych. Jeszcze przed dniem procesu dwóch zatrzymanych popełniło samobójstwo, trzeci strzelił sobie w łeb już po złożeniu zeznań w sądzie.

– Wiemy o co najmniej sześciu przypadkach z tamtego okresu – mówi Alan – kiedy geje odbierali sobie życie. Obawiali się, że policjanci ujawnią ich orientację, że powiadomią ich pracodawców, a co ważniejsze – rodziny, w niektórych przypadkach także żony i dzieci.

Po samobójstwie dobrego znajomego Alan uznał, że musi coś zrobić. Cokolwiek, żeby zaprotestować. Jako jedyny publicznie wyoutowany gej na wyspie rozpoczął długą i kosztowną (na wielu poziomach) kampanię przeciwko homofobii Manxów. Miał ciche wsparcie swoich kolegów i kilku lesbijek, ale to on był twarzą całej awantury. Razem założyli nieformalną organizację Ellan Vannin Gay Group.

W pierwszej kolejności Alan wysłał list do rządu w Londynie z zapytaniem, dlaczego wyspa Man nadal nie przeprowadziła dekryminalizacji aktów homoseksualnych, choć zobowiązuje ją do tego Europejska Konwencja Praw Człowieka, której Wielka Brytania jest stroną. Biuro premiera Johna

Majora odpisało, że niedopatrzenie należy możliwie najszybciej uregulować i jeśli nie zrobią tego władze w Douglas, odpowiednią ustawę przyjmie w ich imieniu parlament brytyjski.

Dokładnie na taką odpowiedź Alan liczył.

Podobne interwencje większego sąsiada i patrona zdarzały się już w przeszłości i zawsze były ewidentnym policzkiem dla lokalnych władz, które na każdym kroku buńczucznie podkreślają niby to rosnącą samorządność wyspy – to my decydujemy o naszych wewnętrznych sprawach, my i tylko my, Londynowi nic do tego, „wolność, Tomku, w swoim domku”, zaklinają rzeczywistość, najczęściej jednak nieskutecznie.

Poniżenia nie dało się uniknąć na przykład w sprawie... chłosty, którą na wyspie stosowano jako karę i technikę wychowawczą od niepamiętnych czasów. Za drobniejsze przewinienia skazywano na nią chłopców i młodych mężczyzn. Gołe pośladki publicznie traktowano gałązkami leszczyny. Gapię mieli się gapić, przestraszać i w głębi własnych sumień zobowiązywać, że nigdy przenigdy nie popełnią podobnego czynu.

Kiedy w 1972 roku sąd w Castletown orzekł baty wobec szesnastolatka, podniosło się larum. Po przegranej apelacji i wykonaniu kary obrońcy

skazanego oddali sprawę do Trybunału w Strasburgu, który potępił tradycyjną manxowską praktykę. Wyspa stała się pośmiewiskiem – w Londynie mówiono, że trzeba zrobić porządek w „skansenie średniowiecza”, i grożono konsekwencjami. Koniec końców to Tynwald postanowił wyrugować kontrowersyjne przepisy – przy olbrzymiej presji z Downing Street.

Po liście Alana wysłanym do rządu w Londynie zanosilo się na poważniejszą batalię, szczególnie że właśnie zbliżały się wybory parlamentarne (jesień 1991 roku) i ruszała kampania. Posłowie i kandydaci do House of Keys (niższej izby Tynwaldu) podzielili się na dwa obozy – realistów, którzy przekonywali, że homofobiczne prawo trzeba znieść jak najszybciej, skoro w przeciwnym wypadku i tak zrobi to Londyn, oraz na twardegłowych tradycjonalistów, którzy stali na stanowisku: nie będzie Anglik pluł nam w twarz i dzieci nam spedalał. Niech nas straszą, my się nie boimy, a zasady swoje mamy i będziemy ich bronić. Kłótnie na forum obu izb Tynwaldu były długie i zażarte. Politycy biegali do Manx Radio i do lokalnych gazet, deklarowali własne poglądy na sprawę, czym rozgrzewali emocje słuchaczy i czytelników. Po kilku miesiącach debata zakończyła się odrzuceniem projektu. Uznano, że

sprawą zajmie się nowy parlament wyłoniony w listopadowych wyborach.

Ale wyborcy nie odpuszczali – podczas kampanii nie interesowało ich praktycznie nic poza tym, czy wyspa otworzy się na „gnijącą nowoczesność”, czy „umacniając sodomitów, miejscowe władze uchylą furtkę dla wszelkiego rodzaju zaburzeń, bestialstwa i pedofilii. Dla bezbożnictwa, a nawet więcej – dla obrazy Boga”. Oni widzą, co się dzieje z Anglią i resztą Europy, oni nie są ani ślepi, ani głupi, oni nie dopuszczają, by na ich ziemi miał miejsce podobny upadek moralny. Jak się komuś nie podobają tutejsze zasady, won.

Alan nie zamierzał nigdzie wyjeżdżać. Postanowił za to, że sam wystartuje w wyborach i zagra bigotom na nosie. Na zwycięstwo nie liczył, ale uznał, że sama próba będzie ważna, bo dzięki niej dostanie platformę do mówienia o realnych problemach otwarcie, nie półgębkiem, jak pozostali. Sam będzie mógł takie rozmowy inicjować.

Wcześniej jednak szykował inny happening. O pomoc poprosił aktywistów z angielskiej grupy „OutRage”, walczącej o równouprawnienie gejów. Organizacja powstała zaledwie rok wcześniej, ale miała już na koncie kilka głośnych eventów, między innymi protest, podczas którego

kilkanaście gejowskich par z Londynu całowało się publicznie – przy kamerach, mikrofonach i wściekłych policjantach. Działacze przyjechali na wyspę na kilka dni przed planowaną akcją Alana.

Mijają może dwie minuty, z magazynu wyłania się pracownik muzeum. Niesie spore, szare pudło. Alan siada na krześle. Ręce trzyma w kieszeniach kurtki. Trzy, dwa, jeden, wieko *off*.

Przez długi czas po tym, jak w końcu udało się obalić hańbiące prawo, Alan nie mógł znaleźć pracy. Ludzie zbyt dobrze go kojarzyli, za bardzo rzucał się w oczy. Niektórych nawet przecież miał czelność odwiedzić w ich domach. Puk, puk, startuję w wyborach, chciałbym państwu wręczyć mój polityczny manifest. Oczywiście, że go nie wpuścili do środka. Nie po tym, co zrobił w Tynwald Day, i nie po tym, co wygadywał – tak otwarcie, bezczelnie, bezwstydnie. Porównywać wyspę do nazistowskich Niemiec? Wyciągać obozy koncentracyjne? To niedorzeczne! Czy on nie wie, że wielu Manxów dzielnie walczyło przeciwko Hitlerowi? Że w tej walce ginęli!? Nie obchodzi ich, co nawypisywał w swoim manifeście. *No, thank you* i trzaskali drzwiami! Bywało jednak, że wyborcy okazywali wobec Alana swoistą troskę – jak jedna

kobieta, która zadzwoniła i poradziła, żeby poszedł się zbadać do... weterynarza. Ktoś inny przysłał list z pogroźkami – „...jeśli nie zrezygnujesz ze startu w wyborach i nie zamkniesz gęby, marny twój los, sodomito. Zginiesz!”. Musiała interweniować policja i Alan na kilka tygodni dostał obstawę.

Gejowskie sprawy powoli jednak wietrzały ludziom z głów, szczególnie gdy się okazało, że koniec świata nie nastąpił, a Bóg, którego gniewu tak się obawiano, nie zesłał na wyspę za karę żadnej plagi.

Alan cieszył się, że atmosfera stygnie, ale martwił się brakiem pracy. Poszukiwania zajęły mu dobry rok. W końcu zatrudnił się w sklepie – jako kasjer i wykładacz towaru. Wielkiego wyboru nie miał, poza tym uznał, że swoje w sferze publicznej to on już odbębnił. Według wszelkich standardów osiągnął wiele. Nie chce się więcej mocować, woli spokojnie sobie żyć u boku Stephena.

Do dziś pracuje w jednym z supermarketów w Douglas. W tym, który mieści się tuż obok dawnych polskich delikatesów. Początkowo były one prawdziwym hitem – właścicielki, dwie młode Polki, nie nadążały z zamawianiem towaru. Alan dobrze ten czas pamięta. Ludzie brali co popadnie. Polskie wafelki, herbatniki, kisiel, soki przecierowe i inne słowiańskie smaki, zapachy, konsystencje.

Nawet polska mąka tortowa schodziła na pniu. Na ścianie w sklepie zawisła korkowa tablica, na której można było umieścić ogłoszenie, że poszukuję, sprzedam, kupię, zamienię, zatrudnię. Dom Polonii w wersji mini.

Kiedy szefowie Alana zorientowali się, że obok codziennie ustawiają się kolejki i że ludzie wychodzą z pełnymi siatami, poszli na przeszpiegi. Wkrótce również zaczęli sprowadzać gołąbki w słoikach, ogórki kiszzone, zupki w proszku i ptasie mleczko. Polską wędlinę i żółty ser. Majonez i musztardę. I to po cenach, z którymi właścicielki delikatesów nie były w stanie konkurować. Zamknęły sklep po paru miesiącach – nadal mając w zeszycie kilkadziesiąt zamówień na twaróg.

Supermarket Alana przejął całą polską klientelę i teraz ponad połowa asortymentu to polonika. Dziś najlepiej idą polskie kiełbasy, piwo oraz czekolady, a także serki wiejskie i chrupki kukurydziane. Alan mówi, że często, gdy chodzi z maszynką do przeceniania, to cedzi Polakom przez zęby, że niech odłożą to, co mają w koszyku, niech zaczekają trzy minuty, będzie taniej.

Mówi, że jego „gejdar” nadal jest czynny i wychwytuje potencjalne polskie lesbijki i gejów. Niektórzy faceci są bardzo przyjemni, mili, choć

nie za przystojni i wszyscy, jak jeden mąż, ostrzyżeni na krótko, z wygolonymi karkami. Taka w Polsce moda? Sympatyczni ci Polacy, ale cisi, nie bardzo rozmowni. Nawet jak Alan daje im cynk, że będzie przecena, to ledwo się uśmiechną. Jego zdaniem Polonia jest dość zamknięta. A przecież mogliby się otworzyć, niedługo są wybory – mogą głosować albo nawet sami kandydować. Niech sami powalczą o własne interesy. On już o nic i z niczym walczyć nie chce. Ewentualnie z Putinem. Z tym cholernym Putinem. Czy widziałem, co on wyrabia w tej Rosji? To światowy homofob numer jeden. Król homofobów.

Alan i Stephen mają paczkę znajomych, może ze trzydzieści osób. Spotykają się po domach, zapraszają na imprezy, wspólnie spędzają święta. Lesbijki i geje ze starej radykalnej szkoły. Myślą, żeby pojechać do Moskwy i urządzić demonstrację. Ich zdaniem to, co dzisiaj robi angielskie i manxowskie środowisko młodych aktywistów LGBT, jest takie wygładzone, takie spokojne – tu rozwieszają tęczę, tam cykną sobie zdjęcie z uśmiechniętym politykiem, pokażą się na paradzie w Londynie. Brudną robotę już za nich odwalono. Alan uważa, że najtrudniejsza ze wszystkiego, co zrobił dla sprawy, była właśnie ta akcja w Tynwald Day.

Tynwald Day to najważniejsze święto państwowe na wyspie Man. Obchodzone 5 lipca. Kto żyw już rano jedzie do St John's, niedaleko Peel, żeby zająć możliwie dobre miejsca. Najlepsze i tak zarezerwowane są dla specjalnych gości, którzy przybywają ostatni. Deputowani do parlamentu, członkowie rządu z premierem, samorządowcy, biskup Kościoła anglikańskiego, delegacje ze Szkocji, Walii, Irlandii Północnej, Irlandii, a czasami także z Norwegii i Islandii. Całej imprezie przewodzi Gubernator Porucznik – wysłany z Londynu stały przedstawiciel królowej na wyspie. No, chyba że akurat z wizytą wpadnie sama Elżbieta II albo jej córka, księżniczka Anna, lub jeszcze inny przedstawiciel Windsorów. Sędziowie (deemsterzy) zakładają peruki i czarne togi. W szkarłacie występuje urzędnik niosący miecz – nie byle jaki. Sword of State – pochodzący z XV, a może nawet XIII wieku; długi na siedemdziesiąt cztery centymetry, z widniejącym na głowicy triskelionem. Najpierw jest nabożeństwo w kaplicy Świętego Jana Chrzciciela, później procesja z flagami i proporcami. Włodarze idą w kierunku sztucznie usypanego kopca – Tynwald Hill, gdzie zasiądą w fotelach i wysłuchają promulgacji wszystkich przyjętych w danym roku ustaw. Po angielsku i manxowsku.

Ta część jest zawsze najdłuższa i najnudniejsza, dlatego ludzie powoli się rozłazą. Spacerują między straganami, na których można kupić słonawy bonnag – tradycyjne manxowskie ciasto, albo manxowskie ciemne piwo czy tradycyjnego wędzonego śledzia. Można też dostać manxowski miód, lokalnie wyrabiane mydełka lub świece. Co kto chce.

Chór stoi z boku i się rozgrzewa. Tancerki z zespołu ludowego zakładają czepki i przewiązują długie spódnice odświętymi, wyszywanymi fartuszkami. Niektóre przytyły od ostatniego razu i ledwo dopinają kubraki. Gdzie człowiek nie spojrzy, widzi czerwone flagi z trzema nogami. Największa powiewa na maszcie wetkniętym w środek kopca.

Deemsterzy kończą odczytywanie nowych ustaw. Można przejść do następnego punktu programu. Będą śpiewy, tańce, fajerwerki, gry i zabawy. Ale najpierw petycje.

Jedną z nich wręczy Alan.

Oprócz aktywistów „OutRage” do Douglas przyjechała także ekipa BBC, zaznajomiona z całym planem. Stacja już wcześniej relacjonowała wydarzenia na małej wyspie, całą tę absurdalną, przestarzałą kłótnię o wsadzanie gejów za kraty.

Dziennikarka i kamerzyści przysłuchiwali się długiej naradzie w domu Alana na dzień przed Tynwald Day – fragmenty rozmów wykorzystają później w godzinnym programie.

Wszyscy mają na sobie luźne, wybielone dzinsy z wysokim stanem i białe podkoszulki z nadrukiem „queer and proud” – nazajutrz wystąpią w tym samym stroju. Siedzą na brązowych sofach wokół stolika kawowego, palą papierosy i planują. O której pojedą do St John’s, gdzie się ustawią, co będą skandować, kto trzyma który transparent, co zrobią, jeśli nastąpi atak. Werbalny – można trochę odpyskować. Fizyczny – nie wdawać się w bójkę, wołać policję. Ryzyka większego nie ma, bo na miejscu będą policjanci w mundurach i mnóstwo tajniaków. Jest szansa, że przyłączą się do nich jacyś miejscowi geje poza Alanem i Stephenem?

- Najmniejszej!
- Ani jeden się nie pokaże?
- *No chance.*
- OK. Lesbijki?
- Zapomnij!

Ustalają, że po wszystkim Alan będzie udzielał wywiadów, a oni zaczną rozdawać ulotki i rozmawiać z ludźmi. Ku ich zaskoczeniu ten punkt uda się nadspodziewanie dobrze, pomimo pewnego

brzuchacza w kapeluszu, który będzie się rwał, by wyłuszczyć swoją teorię demokracji: „To nie jest demokracja, gdy mniejszość dyktuje warunki większości. Jest was mało, sodomitów, musicie się podporządkować woli reszty społeczeństwa”. Przerwą mu dwie młode dziewczyny, pogonią go i będą za niego przepraszać, przekonując, że nie wszyscy mieszkańcy wyspy to podobne buraki. Kilka osób podejdzie i powie „dobra robota”, „gratulujemy”, „trzeba naszą wyspę na siłę katapultować do nowoczesności”.

Wręczanie petycji przedstawicielom władz podczas Tynwald Day to stara tradycja. Każdego roku robi to kilka, kilkanaście osób. Musi w nich chodzić o krzywdę w sprawie, której nie mogą rozstrzygnąć żadne rządowe instancje, bądź szerzej – żadne państwowe instytucje. W petycji wnosi się o powołanie specjalnej komisji parlamentarnej, która zbada przypadek i podejmie dalsze kroki.

Władze wyspy zachęcają do składania petycji, ale w specjalnym poradniku jak to robić, uczulają, by pamiętać, że procedura nie przebiega szybko (może trwać nawet pięć lat, czyli całą parlamentarną kadencję), nie przynosi żadnych natychmiastowych rozwiązań, w początkowej fazie odbywa się z całkowitym pominięciem osoby

składającej.

Formalnie krzywda, jakiej doświadczał Alan i jaką opisał w petycji, wynikała z faktu, że obowiązująca na wyspie ustawa, zakazująca kontaktów homoseksualnych, narusza jego prawo do prywatności i do prowadzenia normalnego życia rodzinnego, a także naraża go na dyskryminację płciową – bo dlaczego lesbijki mogą uprawiać seks, a geje nie mogą? To stoi w sprzeczności z artykułem 14 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Dlatego, dowodził dalej Alan, należy w trybie natychmiastowym znieść dyskryminującą ustawę, a tym samym zalegalizować seks dorosłych mężczyzn oraz powołać sąd, który będzie się zajmował przypadkami łamania praw człowieka na wyspie, który będzie stał na straży postanowień konwencji i który będzie mógł zasądzać finansowe rekompensaty za doznane krzywdy.

Alan do dziś nie wie, co oficjalnie zdecydowano w sprawie jego petycji. Czy uznano, że nadaje się do rozpatrzenia, czy od razu poszła na przemiał. W każdym razie jej treść znacząco się zdezaktualizowała w niecały rok po tym, jak dokument został złożony.

Piąty lipca 1991 roku, Tynwald Day. Słońce

świeciło od samego rana. Było ciepło, prawie gorąco. Wszyscy, którzy mogli, przybyli do St John's ubrani w krótki rękawek, w krótkich spodenkach lub spódnicach. Tylko oficjele pocili się pod ciężkimi perukami i sięgającymi kostek togami.

Alan za to cały się trząsał. Kiedy wkładał swój kostium, miał drgawki na nogach i rękach. Nie z gorąca, z nerwów. Stephen i koledzy z „OutRage” dodawali mu otuchy – bez nich, twierdzi, pewnie by tego nie zrobił.

Bawełniana piżama kosztowała niecałe dwadzieścia funtów. Zwykłe spodnie i góra z wywiniętym kołnierzykiem, na guziki. Alan kupił ją tydzień wcześniej w Marks & Spencer's w Douglas. Przyniósł do domu, rozpakował i pomalował w pionowe paski, czarno-szare. W okolicy serca doszył różowy trójkąt z wyspiarskim triskelionem, a poniżej jeszcze pasek jasnego materiału z numerem telefonu do rządowego sekretariatu: 626262.

Kiedy nadeszła odpowiednia pora, Alan stanął w szeregu razem z innymi ludźmi składającymi petycje. Oni w garniturach i garsonkach, on w obozowym pasiaku.

Szli trasą wcześniejszej procesji – kilkadziesiąt metrów. Wszystko się zgadzało, nawet to, co nie

było zamierzone – jego krótko ostrzyżone włosy, jego szczupłość, sińce pod oczami, mogące oznaczać chorobę lub osłabienie, różowy trójkąt i naszyty numer.

Jedna siwa staruszka na widok Alana uniosła łaskę, która pomagała jej w chodzeniu i wymachiwała nią, krzycząc: hańba! Musiała znać awanturnika z radia, ze zdjęć w gazetach, wiedziała, że potrafi wygadywać rzeczy niedopuszczalne. Tak się przebrać, kto to widział?! Toż to – poza wszystkim – brak szacunku dla więźniów Auschwitz. Przez chwilę buczano i gwizdano – szczególnie w momencie, gdy Alan przekazywał pismo urzędnikowi.

Pewien poziom zawieruchy utrzymywał się przez kolejne pół godziny – faceci z „OutRage” odpowiadali na pytania i oskarżenia grupki kościelnych aktywistów, którzy mówili o grzechu pederastii, o HIV, o AIDS i innych chorobach, za które odpowiadają sodomici. Później zjawił się brzuchacz od teorii demokracji i dziewczyny, które go przegoniły. Alan, zanim przebrał się na powrót w dżinsy i T-shirt, udzielił kilku wywiadów. Chwilę potem obie zwaśnione strony oraz zgromadzoną większość, której cała sprawa zupełnie nie zajmowała, pogodził i uciszył chór metodystów, odśpiewując najpierw *God, Save The Queen*,

a później miejscowy hymn zaczynający się od słów: „*O land of our birth, o gem of God's earth, o Island so strong and so fair...*”.

Po upalnym lecie przyszła szara, mokra jesień. Kampania wyborcza nadal koncentrowała się na kwestii legalizacji gejowskiego seksu. Alan do oporu tłumaczył w radiowych debatach, co to jest równość wobec prawa, że gej nie równa się pedofil, że równa się za to obywatel. Po prowokacji z petycją był bardziej rozpoznawalny i kłuł ludzi w oczy, jednak na ulicy specjalnie mu nie dokuczano. Raczej omijano szerokim łukiem.

W listopadowych wyborach przepadł – zdobył pięćdziesiąt cztery głosy, o kilkaset za mało, by myśleć o mandacie. Do parlamentu za to dostało się więcej realistów niż twardogłowych. Dzięki nim debata w sprawie dekryminalizacji aktów homoseksualnych zyskała na racjonalności, a sama ustawa, o którą dopominał się coraz bardziej poirytowany Londyn, przeszła już w marcu następnego roku (1992).

Alan nigdy więcej nie włożył kostiumu, w którym wystąpił podczas Tynwald Day – najpierw trzymał go na strychu, a po kilku latach zdeponował w Manx Museum. Żałuje, że strój nie jest

elementem stałej ekspozycji, że z wolna butwieje i kruszeje starannie poskładany w szarym pudle, w zamkniętym magazynie. Co prawda zawsze można się umówić i poprosić o pokazanie. Nie robią problemów.

Alan nigdy też po 1991 roku nie wziął udziału w Tynwald Day. Przez St John's nawet nie przejeżdża. Znajomi namawiają go, by wspólnie wybrać się tam w dwudziestą piątą rocznicę. To już niedługo.

Po wyjściu z Manx Museum pędzę do polskiego take away. Maciek podał mi adres – centrum miasta, dwa kroki od promenady. Zobaczę kolorowy szyld – po polsku: „sól i pieprz”.

– Nazwali się „sól i pieprz”? – nie dowierzam. – Może chociaż jakiś dopisek mają po angielsku? „Sól i pieprz”?

– Nie pytaj...

Zdążam w ostatniej chwili. Robuniu już chciał zamykać. Dobrze, że go mamunia przekonała.

– W ogóle nie było dzisiaj klientów, to mówię, zamykamy, nie mamunia? Co będziemy siedzieć?

– A ja mówię, posiedzmy jeszcze chwilę, Robuniu, a nuż ktoś przyjdzie. Ludzie z prac wracają. I proszę bardzo – nie miałam racji?

– Miała mamunia, miała.

Oboje w białych fartuchach i czepkach – jak z innej garmażeryjnej epoki. Robuniu po czterdziestce, bez przednich zębów. Papuśny, grubaśny, miły. Gdy wchodziłem, od razu się zerwał z barowego stołka. Mamunia – późna sześćdziesiątka, niska, krępa, z serdecznym uśmiechem. Opiera się o metalowy blat.

– Pan nowy, bo chyba nie znamy. Pierwszy raz u nas, prawda? – pyta Robuniu.

– Tak, pierwszy. Ja spoza Douglas, dlatego.

– A skąd pan? Może nam pan rozrzuci trochę flejersów w bloku? – Mamunia jakby się lekko ożywiła. Wyjęła z szuflady plik kolorowych ulotek i wręczyła mi je, zanim zdążyłem zareagować. – Wie pan, cienko przedziemy.

– Bardzo cienko, jak mam być szczery.

– Przyjechałam pomóc dziecku, już trzeci miesiąc będzie, ale niedługo chyba wrócę do Polski, bo co mam tu siedzieć po próznicy, jak biznes się nie kręci.

– Ech, da mamunia spokój. – Robuniu macha ręką.

– Nie kręci się, choć jedzenie mamy naprawdę dobre i ludziom smakuje. Świeże, żadnej chemii nie używamy. Gotuję tak, jak w Polsce całe życie gotowałam. Niech pan sam spróbuje. Robuniu, obsłuż pana.

– Dwie porcje ruskich pierogów poproszę.

– Dobrze pan trafił, dzisiaj rano kleiłam. Ser polski, specjalnie sprowadzany. I co jeszcze? Mamy barszczyk, schabowe, krokieciki. Może bigos na kwaśnej kapuście? Wszystko świeże. Przyda nam się trochę reklamy. Może u siebie w pracy pan też rozrzuci, co?

Dziękuję za inne smakołyki, ale Robuniu, na rozkaz mamuni, pakuje mi jeszcze do siatki parę

kroketów z brokułem i żółtym serem i nuggetsy z kurczaka, z mięsa, co je sami mielili. Na zachętę. Żeby wrócił.

– Do widzenia, do widzenia. Niech pan pamięta o flejersach.

8.

„Ben-My-Chree”. Duża łajba – mówił Maciek. – „Kobieta mego serca”.

Wracam autobusem do Port St. Mary. Siedzę na górze, nad kierownicą, przy wielkiej półokrągłej szybie. Widoki marne, bo już dawno po zmroku. Deszcz siąpi nieprzerwanie. Z nadmiaru wrażeń usypiam, ale budzę się co chwila, gdy dach autobusu zahacza o gałęzie – szybki, głośny dźwięk kolizji, naprężania, łamania.

„Ben-My-Chree”. Trzy godziny płynie z Liverpoolu do Douglas. Mieści ponad sześćset osób i blisko trzysta samochodów. Zabiera też zwierzęta, głównie psy i koty, dla których urządzono specjalne kabiny.

Choć tamten czerwcowy poranek był słoneczny i ciepły, bez deszczu i wiatru, nie mogliśmy wyjść na pokład. Zabraniał tego rozciągnięty wzdłuż drzwi plastikowy łańcuch. Morze za plastikowym oknem – spokojne, niemrawe, gładkie.

Gnieździłiśmy się w niewygodnych fotelach. Damian, Kuba i ja – niedługo później miała do nas dołączyć reszta bandy. My we trzech, jak zwiadowcy, jechaliśmy przecierać szlak, jak odkrywcy, upewnić się, że wyspa Man naprawdę

istnieje, że ten prom jednak dokądś dopływa. Jeszcze tego samego dnia zadzwoniliśmy z czerwonej, ulicznej budki w Port Erin z potwierdzeniem: istnieje.

Płynęliśmy – przestraszeni i podnieceni. W naszych kieszeniach bezużyteczne licencjaty z politologii i administracji publicznej, dopiero co obronione. W naszych portfelach po pięćdziesiąt z trudem uciętanych funtów. W naszych głowach angielski na poziomie średnim udawanym. I blade pojęcie o tym, co nas może czekać.

Do Kuby tydzień wcześniej zadzwonił kolega: jest taka wyspa – tu i tu, jest robota – taka a taka, za tyle a tyle, chcecie? Wszystko wam załatwię. Przyjedziecie na gotowe.

W roku 2005 Polska pustoszała, bo nareszcie można było bez problemów jeździć do Wielkiej Brytanii za pracą. Żadnych wiz, zaproszeń, pozwoleń. Funt kosztował prawie sześć złotych, a stawka minimalna na Wyspach wynosiła ponad pięć funtów na godzinę. Po przeliczeniu zawrót głowy. Ludzie jechali w ciemno, gdzie bądź, bo w kraju trwała straszna bieda, bezrobocie od kilku lat szybowało rekordowo wysoko. Brytyjskie hotele, puby, kawiarnie, restauracyjne zmywaki, fabryki, firmy sprzątające, rzeźnie, wielkie gospodarstwa, markety i supermarkety, piekarnie

– wszędzie tam jakby tylko na nas czekano. *Welcome, welcome, Polish people. Do you have friends, co nie boją się pracy? Niech też przyjadą! Everybody!*

My nawet nie musieliśmy szukać – praca w małżowni czekała na nas. Dyrektor Bruno prosił, byśmy przyjechali tak szybko, jak możemy, bo przy dobrej, słonecznej pogodzie i po kilku mizernych sezonach z rzędu, na wyspie trwały akurat „małżowe żniwa dekady”. Czyściciele potrzebni od zaraz.

Na „Ben-My-Chree” z każdej strony osaczały nas small talki pasażerów, tubalne śmiechy nieogolonych brzuchaczy, udających się na papierosa, wrzaski i płacze dzieciaków oraz jedwabisty głos prezenterki BBC, która spoglądała na nas z czterech telewizorów wiszących w rogach pomieszczenia. Nic z tego nie rozumieliśmy – z tego języka, z tych zachowań. Nasze oczy pochłaniały obrazy – inne od znanych nam ubrania, inne fryzury, inne karnacje, inne gesty, inne kości policzkowe i szczęki. Wzrokowa bulimia. Także dźwięki napierały na nas z coraz większą intensywnością, a my – bezbronni, jak nam się zdawało – niewidoczni, zapadaliśmy się coraz bardziej we wgłębienia skórzanych siedzeń, maleliśmy w naszej namacalnej obcości, w naszej

kłopotliwej polskości, środkowoeuropejskości, w naszym nieskończonym unijnym entuzjazmie. Musieliśmy wyglądać żałośnie, jak obciachowy młodszy kuzyn, który przyjeżdża z prowincji i którego trzeba zabrać na imprezę.

Poza tym zdążyliśmy prześmierdnąć odorem przypalanych jajek i bekonu serwowanych na śniadanie oraz niemal upiliśmy się powietrzem pełnym piwnych wyziewów.

To była niedziela, co – jak później zrozumieliśmy – w pełni wyjaśniało, skąd na pokładzie tak liczne pijackie mordy, intensywnie parujące i zmęczone.

Raz na jakiś czas Manxowie lubią wyprawić się z Douglas „across” – na drugi brzeg morza. Łapią prom z wyspy w sobotę wczesnym rankiem. Zaspani, potargani, niektórzy nadal nietrzeźwi po piątkowym oucie. Kawa za kawą – kupowane w saloniku Manannan (może sprzedawał im ją Maciek?). Na dziesiątą są na miejscu. Zbiegają na ląd i wsiadają w autobus jadący do centrum Liverpoolu. Sklepy z ciuchami akurat się otwierają, jest gdzie wydać zaoszczędzone pieniądze. Galerie handlowe porażają wielkością i tłumami, mnogością asortymentu. Jest z czego wybierać, nareszcie można kupić coś „innego”, czego nie ma, być może, nikt na wyspie, czego nie można dostać w jednej z kilku działających tam biedasieciówek.

Do popołudnia Manxowie zdążą zapełnić walizkę i wypić na dobry początek po dwa szybkie browary w którymś z pubów. Będą przy okazji wdychać wielkomiejskość, szarobrunatną i spalinową, ale żywą, szybką, podniecającą. Będą się bezgłośnie zachwycać: kolumnami neoklasycychnych budynków, wysokością modernistycznych konstrukcji, szerokością trotuarów, rozległością portu, nawet szerokością i wartkością rzeczno estuarium. Przypomni im się wtedy ich własna Sulby, marniutka w porównaniu z Mersey, bardziej podobna potokowi, gdy wlewa się z wolna do morza w okolicach Ramsey. Ech, na ich małej wyspie wszystko jest niższe, skromniejsze, mniej imponujące, bardziej zwyczajne, praktyczne, bez krzty fantazji, służebne. Wszystko jest w sam raz, jak należy, jak powinno, a nie jak mogłoby.

Później następuje odwrót do tanich hoteli, gdzie można zostawić zakupy, wziąć prysznic, uciąć sobie krótką drzemkę, przebrać się, wypić kolejne piwo albo drinka dla kurażu. Bo za chwilę wymarsz na imprezę, na wędrownie dichy po klubach wielkiego Liverpoolu. Parę szybkich browarów albo wódek z sokiem, pijackie tańce, krótki, konkretny bajer, szybki „shag” w kiblu albo za rogiem – bez nadmiernego spoufalania się, bez

imion, bez telefonów. Później – w środku nocy – coś do jedzenia: tłuste frytki z brązowym sosem i startym serem albo tradycyjne fish and chips. Powrót do hotelu, a rano biegiem na statek. Z walizkami, z torbami, z tłustymi włosami. Ciągłe nawaleni, zaczynają dzień zimnym guinnessem i *full English breakfast*.

My we trzech między nimi. Oprócz nas na promie byli też inni Polacy. Równie jak my zagubieni. Wyłapywaliśmy ich wzrokiem: Polak, Polak i ten też, ta Polka i tamta, polskie dzieci. Po ubiorze poznać, po twarzach, po fryzurach, po zakłopotaniu, po nerwowości. W grupkach, jak nasza – po troje, po czworo. Szeptali do siebie, jakby się bali, że ich ktoś podsłucha, jakby się wstydzili, że mówią po polsku, jakby to było karalne. Nie witaliśmy się z nimi ani oni z nami. Schodząc na ląd, z walizkami, z plecakami, udawaliśmy, że się nie widzimy, że się nie słyszymy, że nie rozumiemy wspólnego języka.

Minęło ponad dziewięć lat. Gdzie dzisiaj są ci ludzie? Wrócili do Polski po roku, dwóch czy może zostali na wyspie? Poukładali sobie życie? Nauczyli się języka? Nabrali większej pewności? Gdzie pracują? Jak ich dzieci radzą sobie w miejscowych szkołach?

Żałuję dziś, bo kiedy „Ben-My-Chree” dopływał

do Douglas w tamto ciepłe, czerwcowe przedpołudnie, powinienem był biegać między Polakami z notesem, zapisywać nazwiska, mejle, telefony. Dzwoniłbym teraz: dzień dobry, dziewięć lat temu tym samym promem przyплыliśmy na wyspę Man. Pamięta pani? Może spotkamy się na herbatę, opowie mi pani swoją historię? Jak się państwu dzisiaj powodzi na wyspie? Opowiedzcie. Stracona szansa. Nic mnie ci ludzie wtedy nie obchodzili. Spieszyliśmy się z Damianem i Kubą, musieliśmy biec na przystanek, bo o 11.16 odjeżdżał nasz autobus do Port St. Mary. Numer 1 – czerwony, piętrowy, jak ten, którym wracam w tej chwili. Wlecze się dobrą godzinę, choć to ledwo dwadzieścia kilometrów. Jedzie przez lotnisko w Castletown i wszystkie możliwe wioski w okolicy. Każdy z nas zajął podwójny fotel, obok umieścił walizkę. Całą drogę nosy przy szybach. Ej, ale! Widzicie? Ej, patrzcie tam. Ej, morze! Ej, jakie domy! Ej, palmy! Palmy? Gdzie?

Wysiedliśmy na ostatnim przystanku. Jeśli skręcić w prawo, po trzystu metrach dochodzi się do małżowni, jeśli w lewo, po dwustu do domu Sian.

9.

Ciumpol płynął co prawda „Ben-My-Chree” z Liverpoolu do Douglas, ale dokładnie rok wcześniej, w 2004. Minęliśmy się. Był jednym z pierwszych Polaków, którzy znaleźli się na wyspie. Z tak zwanej nowej imigracji. On i Ewelina – jego była partnerka, matka jego córki.

Jego komórkę dostaję od kolegi. Z Grześkiem, czyli Gregiem, poznaliśmy się podczas mojej ostatniej wizyty. Okazało się, że obaj kończyliśmy politologię na tej samej warszawskiej uczelni. On się bronił z międzynarodowego terroryzmu, ja – z dependencji Korony brytyjskiej na przykładzie wyspy Man. Mieliśmy wspólnych znajomych i wspólną pasję – bieganie. Grzesiek pracuje w Tesco – rozwozi ludziom zakupy zamówione przez internet. Jest też ratownikiem w straży przybrzeżnej. Pochodzi z Sosnowca, jego narzeczona Julka z Poznania. Wynajmują przytulne mieszkanie w Castletown, ale myślą o kupnie domu. Kilka już nawet obejrzeni. Najlepiej byłoby na południu, żeby Julka miała blisko do pracy – z wykształcenia jest geolożką i pracuje w fabryce sztucznych diamentów, w specjalnej strefie ekonomicznej obok lotniska. Nastawia hodowlę, dogląda, czy ciśnienie jest takie jak

powinno, czy temperatura nie za wysoka, czy minerały rosną i przybierają pożądane kształty, opisane w zamówieniu. Szczegółów nie zdradza – jak, po co, za ile, dla kogo. Nie może, podpisała klauzulę. Przysięgam, że nie jestem szpiegiem chińskiego producenta, ona i tak nie powie.

Na pierwszy wspólny trening umówiliśmy się z Grześkiem już na wtorek rano. Zjawia się punktualnie – parkuje samochód przed domem Sian. Biegniemy pomimo zimnego deszczu i wiatru – okutani w specjalne kurtki, czapki, rękawiczki. Utrzymujemy tempo, które pozwala na prowadzenie sapiącej rozmowy. Mówię, że szukam polskich kryminalistów na wyspie.



- Najlepiej morderców.
- Kogo? – Grzesiek nie dosłyszał.
- Morderców, bandziorów, złodziei. Chociaż jednego. Może znasz? Może coś słyssałeś? Kogoś, kto siedział w miejscowym więzieniu, w Jurby, wiesz, tam, gdzie zabrali wszystkim fajki i wprowadzili całkowity zakaz palenia. To jedyne takie więzienie w Europie, a może i na świecie.
- Znam paru samobójców. To znaczy widziałem, na dyżurach w straży. Paru nawet uratowaliśmy.
- O jednym z nich, stojącym na skraju urwiska, planującym skok, Grzesiek opowie mi następnym razem.
- Było paru Polaków w Jurby, słyssało się od

czasu do czasu. Kilku deportowali, inni sami wyjechali – w Anglii łatwiej o anonimowość. No i był Ciumpol, tylko że z niego żaden kryminalista. Za niezapłaconą grzywnę go posadzili. Miał chłopak pecha.

– Ale siedział?

– Siedział. Krótko, chyba niecały miesiąc.

– A pali papierosy?

– Palił, jak go zamykali w Jurby. Może rzucił?

Grzesiek przypomina sobie, że faktycznie, o tym zakazie palenia było dosyć głośno. Czy to dobrze, czy źle? Czy humanitarnie? Że wyspa Man w awangardzie! W żadnym więzieniu na świecie nikt dotąd nie wymagał, by osadzeni rzucali palenie. W Jurby tymczasem wymaga się tego również od strażników i całego personelu. Mogą palić przed pracą albo po. Choć najlepiej, by nie robili tego w ogóle i świecili przykładem. Na terenie więzienia nie ma palarni, jest za to wiele czujników dymu.

W jednych gazetach pisali – bardzo dobrze, nie dawać więźniom papierosów. Za karę. Za niewinność nie siedzą. Trują się, a później trzeba ich leczyć z podatków ludzi pracujących, jak im się rozwinie rak. W innych z kolei, że karą jest już samo więzienie, że zakazywanie palenia to rodzaj tortury, mogący prowadzić do zaburzeń

psychicznych.

Brytyjskie media też zainteresowały się sprawą, gdy wizytę w Jurby złożyła księżniczka Anna. Dla władz więzienia to był PR-owy strzał w dziesiątkę. Bo skoro nawet córka królowej Elżbiety II odwiedza zakład, w którym stosuje się tyleż nowatorskie, co kontrowersyjne techniki, i nie zgłasza później żadnych zastrzeżeń, to chyba nie ma się czym przejmować.

Ciumpol zgadza się na rozmowę. Akurat jutro ma wolne w pracy. Chętnie pogada. Proponuję nowo otwartą hippisowsko-hipsterską piekarnio-kawiarnię Noa Bakehouse, niedaleko pętli i zakładu fotograficznego Matta Mosura. Zna? Zna. Będzie o szesnastej.

Nie, nie spotkał dotąd nikogo z brytyjskiej rodziny królewskiej. Dlaczego o to pytam? Bez powodu. No to do jutra. *See you!*

Jej Wysokość księżniczka Anna, chce czy nie, często wraca na wyspę Man. Ma tu mnóstwo królewskich powinności, którymi obarczyła ją – zajęta czym innym – matka Elżbieta II.

Wszystko przez inną Wysokość – Charlotte Murray, księżną Atholl, która blisko dwieście pięćdziesiąt lat temu sprzedała prawa do wyspy

Koronie brytyjskiej. Od tego czasu władcy z pałacu Buckingham dziedziczą tytuł Lord of Mann (wyjątkiem była królowa Wiktorja, która przeczując, być może, przyszłą feministyczną walkę o równościowe nazewnictwo, wolała, by określać ją mianem Lady of Mann). Księżna Atholl, której przodkowie władali wyspą od stuleci (w formie lenna darowanego za lojalność przez angielskiego króla Henryka IV), zarobiła na transakcji zawrotne siedemdziesiąt tysięcy funtów (dziś byłoby to ponad pięć milionów) oraz przyjemną dożywotnią pensyjkę. Londyn zyskał dużo więcej – możliwość ujarzżenia przemysłowego procederu, który od dawna kwitł na wyspie w najlepsze. Kolejni angielscy premierzy – poczynając od pierwszego w historii Roberta Walpole’a – szukali sposobu, by przejąć pełną kontrolę nad wyspą i zatrzymać nielegalny handel, który powodował olbrzymie straty z tytułu nieuiszczanych podatków. Zysk w całości przypadał manxowskim przemysłnikom, którzy na towarach importowych dorabiali się fortun. Porzucali tradycyjne zajęcia, jak praca w polu czy łowienie ryb, wsiadali na statki i wyprawiali się na zakupy do Francji, Hiszpanii, Portugalii, Norwegii czy Szwecji. Tam zapełniali swoje łajby tytoniem, herbatą lub alkoholami i wracali do Douglas.

Płacili niewielkie cło, po czym transportowali cenne dobra do portów szkockich i angielskich – już bez kolosalnych opłat, jakie na import z zagranicy nałożyła Korona. Wyspa – niebędąca „zagranicą” – bogaciła się, ale też pogrążała w alkoholizmie z powodu nagłej dostępności taniego wina i wyrobów spirytusowych.

Więc kiedy księżna Charlotte zrzekła się rodzinnego lenna w 1765 roku, rząd w Londynie w trybie ekspresowym uchwalił i przeprowadził przez parlament ustawy: o zakupie wyspy (Revestment Act) i o przemyśle (Smuggling Act). Dzięki nim urzędnicy Korony zyskali prawo do kontrolowania manxowskich statków i karania przemytników, a brytyjscy władcy otrzymali dodatkowy tytuł i kilka nowych obowiązków.

Stałym reprezentantem rodziny królewskiej na wyspie jest gubernator porucznik. W przeszłości tę funkcję powierzano zasłużonym dyplomatom, z bogatymi karierami w brytyjskich koloniach w Azji i Afryce. Praca na małej, spokojnej wyspie była dla nich przygrywką do wygodnych emerytur. Niektórzy z nich traktowali jednak sprawę nazbyt serio i próbowali wprowadzać rządy niemal dyktatorskie (dysponując w zasadzie pełnią uprawnień sądowniczych i wykonawczych). Lokalni włodarze wcale nie zamierzali rezygnować

z resztek niepodległości. Przeciąganie liny między kolejnymi gubernatorami a członkami Tynwaldu trwało cały dziewiętnasty i dwudziesty wiek. Wyspiarze powoli odzyskiwali dawne prerogatywy – znów mogli ustanawiać własne cła i podatki, swobodnie dzielić budżetowe wpływy i nadwyżki. Londyn z kolei, za odpowiednią opłatą, nadal gwarantował wyspie bezpieczeństwo, zachował też prawo do akceptowania lub odrzucania uchwalanych na wyspie ustaw. Nie sprzeciwiał się, gdy mały sąsiad odzyskiwał coraz więcej samorządności i coraz bardziej się demokratyzował, gdy w wyborach do izby niższej Tynwaldu – House of Keys – pozwolono głosować kobietom (jako pierwszym na świecie!) oraz gdy, koniec końców, większość uprawnień gubernatora przejął rząd i stojący na jego czele pierwszy minister.

Dziś namiestnik Korony pełni funkcje niemal wyłącznie reprezentacyjne. Zajmuje imponującą rezydencję w Onchan, z ośmioma sypialniami i dwunastohektarowym ogrodem. Zarabia blisko sto tysięcy funtów rocznie – robiąc raczej niewiele. Jednym z jego nielicznych obowiązków jest podejmowanie członków rodziny królewskiej, gdy ci wybiorą się na wyspę z wizytą.

Księżniczka Anna robi to od ponad czterdziestu

lat. Wraca regularnie, o czym z dużym wyprzedzeniem i podekscytowaniem informują wszystkie lokalne gazety. Jej Wysokość, będąc na miejscu, rozdaje powściągliwe uśmiechy, ze zrozumieniem kiwa głową, gdy farmerzy narzekają na zeszłoroczny śnieg, który zniszczył uprawy truskawek, ściska dłonie notabli, otwierając kolejne oddziały szpitala, hospicjum czy wyremontowane kościoły, nadaje imiona łodziom i pomaga sadzić drzewa. Ćwierć wieku temu, dla przykładu, zasadziła przy szkole w Kirk Michael na zachodzie wyspy jarzab pospolity. Dziś drzewo jest rozłożyste i wysokie na co najmniej osiem metrów, co roku pięknie kwitnie i owocuje.

Podczas ostatniej wizyty kalendarz Jej Wysokości był bardzo napięty. Udało się zrealizować wszystkie punkty programu, choć problemy pojawiły się już na samym początku. Z powodu gęstej, marznącej mgły wylot z Londynu opóźnił się o ponad dwie godziny. W Douglas drżano z niepewności – czy do wizyty w ogóle dojdzie?

– *God, help us!*

Pogoda na wyspie także nie dopisywała – od samego rana wiało i lało jak z cebra, i nie przestało, gdy samolot w końcu wylądował.

– *Thank God!*

Nie wiedzieć czemu księżniczka nie miała na głowie kapelusza, który w panujących warunkach byłby – zdaniem komentatorów – nie tylko odpowiedni, ale też przydatny. Chwilę po tym, jak wyłoniła się z pokładu, w powietrze strzeliły parasole dżentelmenów: który z nas, panowie, pierwszy, ten lepszy. I lecą na złamanie karku, z udawaną gracją. Ale Jej Wysokość zaskakuje oficjalną delegację... własnym parasolem – czarnym, klasycznym, z drewnianą rączką. Sama niesie i sama uruchamia, zanim pierwsze krople deszczu spadną na jej wysoko upięte włosy i poły ciemnozielonego płaszcza. Panowie stygną w sekundowym bezruchu, mokną.

– Witamy Jej Królewską Mość, witamy!

Pierwszy punkt – wizyta w ministerstwie rolnictwa, gdzie przygotowano dla niej wystawę lokalnych płodów rolnych. Księżniczka zamienia po kilka słów z farmerami i pszczelarzami. Degustuje manxowski miód i tradycyjny lemon cheese – słodką miksturę z jajek, masła, cukru i soku z cytryny. Pół godziny później jest już w drodze do Peel, by ocenić postępy w remoncie katedry. Gubernator nie odstępuje jej na krok. W Santon królewska córka otwiera nowe centrum jezdzieckie, a na koniec dnia jedzie do... Jurby.

Stare więzienie w centrum Douglas (przy

Victoria Road) zamknięto kilka lat temu. Sypiący się budynek wyburzono. W Jurby jest ładniej, czystiej, nowocześniej. I zdrowiej. Księżniczka spędza w środku nie więcej niż pół godziny. Rozmawia z naczelnikiem i kilkoma skazanymi – co jej mówią? Nie wiadomo. Może przypadkiem trafiła na niepalących albo tych, co właśnie w więzieniu rzucili.

Ciumpol minął się z księżniczką Anną. Wyszedł na wolność kilka miesięcy przed jej wizytą. Choć gdyby chciał ją zobaczyć, umówiłby się tego dnia na widzenie. Nadal ma za kratami w Jurby paru dobrych kumpli, których od czasu do czasu odwiedza.

Za to zakazu papierosów doświadczył, oj tak. Boleśnie. Wytrzymał dwadzieścia osiem długich dni i dwadzieścia osiem długich nocy bez jednego porządnego szluga. Nie, żeby to było najgorsze, co go dotąd w życiu spotkało, ale mogło być znośniej. Najgorsza, bez dwóch zdań, była heroina.

– Heroina to jest diabeł – Ciumpol cedzi te słowa przez szaroczarne kikuty zębów. To przez heroinę rozpadła mu się rodzina. Ewelina, gdy jej powiedział, że ma problem, spakowała walizki i zabrała się z małą Niną do Polski. Między nimi od dawna się psuło, choć wcześniej byli parą

kochającą się, zgodną, do pozazdrozczenia. Razem od szczeniaka. Ona z dobrego bogatego domu, on z dobrego, ale biedniejszego, z mieszkania na osiedlu. *Bad boy* i podszyte rebeliantką grzeczne dziewczę. Razem studiowali na różnych humanistycznych kierunkach, razem palili trawę, razem imprezowali. Razem za lepszą pracę przyjechali na wyspę. Równe dziesięć lat temu, jako jedni z pierwszych biało-czerwonych.

Ewelina mówiła po angielsku, Ciumpol ani be, ani me. Kiedy poszedł starać się o pracę w rzeźni, wykuł na pamięć kilka zdań. Co ma powiedzieć najpierw, a co odpowiedzieć, gdy usłyszysz to albo to. Robotę dostał, dobrze płacili, ale długo nie wytrzymał.

– Na początku oddychałem tylko przez usta i zakładałem pięć par rękawiczek, tak się brzydziłem tego mięsa. Później mogłem pracować i gołymi rękoma.

Patrzę na te ręce, dosyć zniszczone, na krótkie od obgryzania paznokcie, gdy Ciumpol podnosi filiżankę z kawą. Na przydługie, lekko kręcone włosy i starą bliznę między nosem a wargą. Upija łyk i mówi dalej.

– Człowiek przywyka, owszem, do wszystkiego, ale psychicznie to był dramat. Siedemset owieczek i sto pięćdziesiąt krów dziennie. Umiesz to sobie

wyobrazić? Dobrze mnie tam traktowali, nie powiem, nawet myśleli, że mam *fluent English*. Jak przychodzili nowi Polacy bez językowej kompetencji, szefostwo prosiło, żebym wypełniał za nich wszystkie papiery – dodatkowo mi za to płacili. Ja mówiłem OK, OK i niosłem do domu Ewelinie. Ona wieczorem wypełniała, ja rano odnosiłem. Problem był w tym, że przez cztery miesiące nie mogłem patrzeć na mięso, głupiej piersi z kurczaka nie mogłem w siebie wmusić, durnego burgera.

Więc Ciumpol się zwalnia i idzie pracować w kuchni – do hotelu, gdzie Ewelina była szefową kelnerek. Początkowo obiera ziemniaki, myje gary i poleruje sztućce, ale szybko rozwija skrzydła, bo pod nieobecność cukiernika serwuje gościom smaczne ciasta i torty. Smykałkę wyniósł jeszcze z domu, z podpatrywania piekącej matki. Mijają miesiące. Z angielskim Ciumpol radzi sobie coraz lepiej, więc przyjmuje ofertę menedżera, który widzi w chłopaku potencjał i chce mu opłacić kurs gotowania w college’u. Prościzna. Zalicza wszystkie egzaminy i dostaje papier, który uprawnia go do pracy w nowym zawodzie. Sukces.

Powodzenie zawodowe przenosi się na życie towarzyskie. Są pieniądze, można się bawić – wypić, wciągnąć, zapalić. Skombinować używki –

bajka. To, że wyspa jest mała i odizolowana, nie utrudnia sprawy. Narkotyki przemycają handlarze z Liverpoolu, którzy liczą, że gdy będą schodzić z promu na ląd, strażnicy akurat ich nie skontrolują. Zamieszani w proceder bywają też miejscowi rybacy, którzy niby to wyprawiają się na swych łódkach po ryby, małże lub kraby, a wracają znad szkockich brzegów z ecstazy i kokainą.

– Urodziła nam się córeczka, Nina. Zdrowa i śliczna. To był kolejny powód do imprezowania. Głównie dla mnie. Ochrzciliśmy małą w katolickim kościele, a ksiądz nie chciał wziąć za usługę ani funta. Nalegaliśmy, ale się uparł, że nie weźmie. W Polsce nie do pomyślenia, co nie? Momentami żyliśmy sobie w miarę spokojnie. Potrafiłem się usatkwować na tydzień, dwa, później znów szedłem w cug – piłem, paliłem. Ewelina traciła cierpliwość. Coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie, coraz częściej kłóciliśmy.

Dzisiaj Ciumpol już nie pamięta albo może nie chce powiedzieć, od czego się zaczęło, jak się wplątał w to heroinowe towarzystwo, w ten najgorszy z możliwych element.

– Początkowo było super, człowiek ma fazę jak stąd do Krakowa. Ale szybko zacząłem kumać, że jest problem. Problem, z którym sam sobie nie

poradzę.

Powiedział w domu, że wsiąka w heroinę, trochę ze szczerości, bo nie chciał Eweliny oszukiwać, czekać, aż kto inny go wsypie, a trochę z nadzieją, że mu pomoże.

– Chciała, naprawdę chciała, ale nie była w stanie. Nikt wtedy nie był. Ona zresztą miała na głowie małe dziecko. Wyjazd z wyspy to był dla nich ratunek – dla mnie bolesny kopniak, ale rozumowałem, że im szybciej sięgnę dna, tym szybciej się podniosę.

Ewelina i Nina wróciły do Polski, a Ciumpol rozpoczął spadanie. Chudnie i słabnie, zęby mu czernieją, miękną, dziurawieją, szczególnie te na przedzie. Trochę wstyd pokazywać się ludziom. Traci jedną pracę, idzie na zasiłek, traci drugą, znów na benefity. Na przeżycie wystarcza, a jak zabraknie, są koledzy, którzy solidarnie pomogą. I tak się toczy dzień za dniem.

Jeden kumpel zaprasza na wódkę. Posiedzą, pogadają, po polsku się poużalają. No chodź! Idzie i pije, mimo że wódki od dawna stara się unikać.

– Po spirytach zawsze wyskoczę z czymś głupim. Zawsze!

Wypili po butelce wódki na głowę, doprawili piwem. Jest środek nocy, gdy opuszcza mieszkanie kolegi. Kompletnie zrobiony. Z torby przewieszanej

przez ramię Ciumpol wyjmuje grube mazaki – przywiezione dawno temu z Polski. Nadają się na każdą powierzchnię i są trudno zmywalne. Gotowy? Start! Maraton fantazyjnego graffiti rozpoczyna jeszcze na klatce. Kolorowe bohomyzy ciągną się nieprzerwanie po ścianach wszystkich mijanych budynków, po samochodach, po chodnikach. Chłopak jest jak w transie, chce zabazgrać całe to miasto, całą tę spokojną, czystą, niemrawą wyspę.

– Malowidła bez żadnej głębszej treści – kreski, kółka, zygzaki, wzory, które jako gówniarz malowałem na murach osiedla. Okazało się, że tkwią w mojej głowie do dziś.

Graffiti kończy się na starym mercedesie sąsiada, a dokładniej na bagażniku auta.

Sąsiad o poranku spieszy się do pracy, wybiega z domu i drętwieje. Dzwoni po policję, która szybko wykrywa sprawcę.

– Pukają do drzwi, otwieram ledwo żywy, na megakacu. Nawet nie musieli mnie o nic pytać, wystarczy, że spojrzeli na moje ręce, całe umazane, jak u dziecka po lekcji plastyki.

Ciumpol początkowo zaprzeczał, bo naprawdę nie pamiętał, co działo się zaledwie kilka godzin wcześniej. W drodze na posterunek musiał sobie to wszystko dopiero opowiedzieć, obrazy wracały do

niego powoli.

– Sędzia szczerze się uśmieła, czytając policyjny raport. Mnie też cała ta sytuacja nawet bawiła. Ale kiedy usłyszałem wyrok, pobladłem. Śmiechy, chichy, ale ma to być – słyszę w sędzie – przestroga dla innych. Dostałem grzywnę w wysokości czterech tysięcy funtów i dwieście godzin prac społecznych.

To było dno i początek odbicia. Nagłe otrzeźwienie. Ciumpol wrócił do pracy, by jak najszybciej spłacić karę. Prosi o rozłożenie jej na dogodne raty. *No problem*. Ma stałe zlecenie na koncie, z którego co miesiąc schodzi po dwadzieścia funtów. Odstawia narkotyki i zapisuje się na terapię. Chodzi na spotkania grupowe i na zabiegi z akupunktury. Nawiazuje dobry kontakt z panią psycholog ze szpitala w Douglas. Jest naprawdę ciężko, więc postanawiają rozpocząć leczenie substytucyjne.

– Do tej pory jestem na subutexie, ale mam już coraz mniejszą dawkę.

Ciumpol wygląda, jakby faktycznie wygrzebywał się na prostą. Schludnie ubrany, spokojny, mówi składnie i do rzeczy. Dzisiaj ma wolne, jutro idzie na drugą zmianę. Pracuje w pubie w Crosby – już od roku. Jest szefem kuchni, pod sobą ma trzech innych kucharzy. Nie

wszystkim się podoba, że Polak zarządza garnkami, nie wszystkim, że ćpun. Przeczuwał, że może się znaleźć anonimowy przyjaciel, który uprzejmie doniesie o jego narkotykowej przeszłości (teraźniejszości). Dlatego na wstępie sam przyznał się do wszystkiego szefowi. Nie było problemu, bo właściciel knajpy to stary policjant – niejedno widział, niejedno rozumie. Zaufał mu, dał wolną rękę co do menu. Żyją w zgodzie i zadowoleniu, bo biznes całkiem nieźle się kręci (najlepiej idą ryby i mięso, ale dobrze sprzedaje się też... tradycyjny krupnik. Miejscowi nazywają go Manx broth).

Na początku Ciumpol dostawał nawet wolne poniedziałki, żeby mógł odpracowywać zasądzone prace społeczne. Jeździł na przykład z jednym facetem po wyspie do ludzi, którzy chcieli pozbyć się starych mebli albo sprzętów. Ładowali to na pakę i wywozili. Rzeczy trafiały do „charity shopów” lub do potrzebujących rodzin. Później było pole golfowe – zbieranie piłek, zmiatanie piasku, koszenie trawy. Następnie plaża i sprzątanie psich gówień, a na koniec park – przycinanie drzew i zbieranie papierków. Trochę mu to zajęło, ale odrobił co do godziny. Z grzywną, okazało się, był większy problem.

– Wyleciało mi z głowy, żeby pójść do banku i przedłużyć zlecenie na koncie. Kasa przestała

spływać, o czym nie miałem pojęcia. Byłem wtedy na ostrym odwyku. Tymczasem dwa razy się przeprowadzałem, upomnienia przychodziły na stary adres. Byłem przekonany, że już dawno jestem na zero, a tu klops. Wytropili mnie po numerze ubezpieczenia. Policjanci zadzwonili do drzwi, otwieram i słyszę, że jestem aresztowany, bo się ukrywam i uchylam od spłacenia pozostałych ośmiuset czterdziestu funtów. Ośmiuset czterdziestu z czterech tysięcy. Ani się nie ukrywam, ani nie uchylam, panie władzo. Naprawdę, wynikło nieporozumienie. *Misunderstanding*, mówię, ale nie było rozmowy.

Ciumpol dostał dwadzieścia osiem dni więzienia. Bo osobodoba kosztuje w Jurby trzydzieści funtów. Trzydzieści razy dwadzieścia osiem równa się osiemset czterdzieści.

– Na początek cię przeszukują. Do każdej dziury zajrzą. Serio. Do każdej. Każą siadać na specjalnym krześle i prześwietlają. Dostyc upadające doświadczenie. Niby chcą w ten sposób zahamować przemyt – głównie prochów i tytoniu. Bo odkąd zakazali palenia, tytoń jest w pierdłu na wagę złota. Czasami uda się komuś przeszmyglować małe zawiniątko, to później albo pali sam, albo sprzedaje desperatom. Jeden mały skręt, niechby z najńędniejszego tytoniu, kosztuje

pięćdziesiąt funtów, a czasami więcej. Jak cię nie stać, a mnie nie było, musisz sobie radzić inaczej.

O tym, jak inaczej radzą sobie więźniowie w Jurby, przez dobrych kilka tygodni rozpisywały się lokalne gazety. Temat był tak gorący, że podchwyciły go na chwilę również brytyjskie dzienniki. Najpierw pojawił się miażdżący raport szefa więziennictwa z Londynu, który przyjechał na wyspę z niezapowiedzianą wizytacją. Okazało się, że przez trzy lata od uruchomienia jednostki miejscowe władze (a wśród nich minister spraw wewnętrznych Juan Watterson) przymykały oko na praktyczne konsekwencje zakazu palenia, ciągle wychwalając założenia teoretyczne nowatorskiego rozwiązania. Ignorowały fakt, że więźniowie tytoniu może i nie palą, co nie oznacza jednak, że nie palą w ogóle. I że są od tego zdrowsi.

– Nadal pan myśli, panie ministrze, że wprowadzenie zakazu było dobrym rozwiązaniem?
– Na wywiad z Wattersonem umówiłem się zaraz po spotkaniu z Ciumpolem. Znamy się z dawnych czasów, z rozmów przy piwie w pubach Port Erin. Juan jest ledwie kilka lat starszy ode mnie, ale dokonania ma imponujące. Dostał się do Tynwaldu jako dwudziestosześcioletek, pięć lat później został najmłodszym w historii członkiem rządu wyspy.

Najbardziej jednak zasłynął czym innym.

W grudniu 2011 roku, na kilka dni przed Bożym Narodzeniem, minister apelował publicznie o alkoholową wstrzemięźliwość między świętami a Nowym Rokiem. Nie żeby nie pić w ogóle, ale żeby nie przesadzać, żeby zachować umiar. I żeby, broń Boże, nie jeździć pod wpływem. Człowiek powinien wiedzieć, jak ma się zachować... Kilka godzin później minister Watterson wytoczył się z klubu w centrum Douglas i z wielkim trudem doczłapał na przystanek autobusowy. Kierowca sprzedał mu bilet, choć czuł, że nie powinien. Schlany minister wgramolił się na piętro autobusu i zasnął w drodze do domu w Port St. Mary. Gdy dojechali na miejsce, kierowca nie mógł go dobudzić. Próbował i próbował, bezskutecznie. A że w rozkładzie miał jeszcze kurs powrotny do Douglas, dał za wygraną i zabrał chrapiącego, nawalonego pasażera na kolejną przejażdżkę. I to był błąd – trzeba go było za fraki wyciągnąć albo wykopać, toby może jedynie siebie obrzygał, a nie siebie, trzy fotele w autobusie, okno i podłogę... Ministerialny paw spektakularny. Watterson już dwa dni później, kiedy porządnie wytrzeźwiał, kajał się i publicznie przeproszał. Zapewniał, że pokrył wszelkie koszty, które wynikły z jego „nagłej niedyspozycji”.

Spotykamy się w jego biurze, w siedzibie ministerstwa przy jednej z głównych ulic Douglas. W budynku jest biednie, szaro i ciemno – jak w smutnej firmie, skąd nagle trzeba było zwolnić połowę pracowników.

– Nawet więcej niż połowę. W zeszłym roku pracowało tu dwadzieścia siedem osób, teraz zostało dziewięć. Wszędzie musieliśmy ciąć, i w policji, i w straży pożarnej – mówi Watterson, siadając za biurkiem.

Budżetowe oszczędności nie są skutkiem kryzysu gospodarczego, bo kryzys ledwo o wyspę zahaczył (bezrobocie nie przekracza trzech procent, a wzrost gospodarczy jest nieprzerwanie na plusie od prawie trzydziestu lat). Chodzi o to, że Londyn nagle się doliczył, że przez całe dekady błędnie kalkulował kwotę, jaką przekazywał wyspie z tytułu wpływów z podatku VAT. Przekazywał dużo za dużo – gdy się zorientował, zatrzymał przelewy i zarządził zawarcie nowej umowy. Wyspa straciła w ten sposób ponad dwieście milionów funtów i teraz na różne sposoby próbuje załatać powstałą dziurę.

Mimo cięć, jakie musiał zarządzić, minister jest dobrej myśli. Trzeba zakasać rękawy i pracować ciężiej. Nie ma wyjścia. Jedyna niepewność dotyczy zwolnień w policji. Watterson ma nadzieję,

że nie przełożą się one na wzrost przestępczości.

– Wyspa jest jednym z najbezpieczniejszych miejsc na świecie. We wszystkich policyjnych statystykach na głowę bijemy Anglię, Walię, Szkocję i Irlandię Północną. Ostatnie lata były pod tym względem wyjątkowe. W roku 2012 zanotowaliśmy dwa tysiące sześćset piętnaście przestępstw, w 2013 już o ponad czterysta mniej.



Dopytuję, czy te liczby zawierają występki popełniane przez Polaków i Polki. Tak, zawierają. Policja nie prowadzi osobnych katalogów

z podziałem na narodowość. Ale z tego co minister zdążył się zorientować przed naszym spotkaniem, polscy imigranci, którzy większą grupą przebywają na wyspie od mniej więcej dekady, w niczym nie odbiegają od pozostałych mieszkańców, nie stwarzają ani mniej, ani więcej problemów.

– Jest trochę przypadków przemocy domowej, jest prowadzenie samochodu bez ważnego ubezpieczenia, są bójki i drobne rozróbki, szczególnie po alkoholu. Bo nie oszukujmy się, tak jak my wszyscy, wy też lubicie sobie wypić. Nie było, jak dotąd, żadnego morderstwa, napadów rabunkowych, poważniejszych kradzieży.

– A wracając do zakazu palenia. Czy to dobre rozwiązanie?

– Bardzo dobre. Wprowadziliśmy zakaz jako pierwsi w Europie i wygląda na to, że inni idą teraz w nasze ślady. Wyspy Normandzkie, a nawet Anglia i Walia myślą o tym samym. Chodzi o zdrowie ludzi. Musimy dbać o zdrowie więźniów, ale także strażników.

– Więźniowie w Jurby mówią, że takiej troski nie potrzebują, dlatego zorganizowali strajk głodowy.

– Jaki tam głodowy. Ominęli raptem jeden posiłek, a zjedli trzy kolejne tego dnia. Gazety niepotrzebnie o tym pisały, najwyraźniej szukały

taniej sensacji.

– Na e-papierosy też się pan nie zgadza.

– Za mało o nich wiemy, nie ma konkretnych badań, które dowiodłyby, że nie są szkodliwe. Na razie więc nasi więźniowie muszą się zadowolić plastrami z nikotyną.

– Wie minister, że one są wykorzystywane zupełnie inaczej, niż powinny?

– Były, owszem, na skutek naszego niedopatrzenia, ale wdrożyliśmy odpowiednie rozwiązania, które zapobiegną podobnym działaniom w przyszłości.

Tak, Ciumpol też miał przygodę z plastrami i mówi, że cały proces jest bajecznie prosty.

– Gdy cię zamykają, przekonujesz, że palisz jak smok, żeby dostać najsilniejsze plastry. Dają jeden na dzień. Rozrywasz, wyciągasz to sreberko, które jest nasączone nikotyną i zalewasz je wrzątkiem. Woda po chwili robi się żółta. Wrzucasz do środka skórkę od banana, którą najpierw dokładnie odzieras z miąższu. Ona sobie namaka i schnie. Jak wyschnie na wiór, delikatnie kruszysz. I gotowe. Skórka od jabłka również się nada, albo liściasta herbata.

– Czytałem, że niektórzy nasączali nawet włosy łonowe.

– O tej technice nie słyszałem.
– W co zawijaliście ten „tytoń”?
– Bibulek nie ma, ale jest Biblia. W każdej celi. Kartki z Biblii świetnie się sprawdzają.

– Jak to podpalić?
– Jak jest w ścianie kontakt i czajnik na stanie, to o iskrę nietrudno.

Ciumpol ze swoich plastrów produkował trzy, maksymalnie cztery pseudopapierosy dziennie. Mówi, że to straszne ścierwo, ale przynosi człowiekowi choć trochę spokoju, jakąś minimalną ulgę. Szczególnie, gdy się jest na granicy, gdy człowieka korci, by wrócić do prochów. Ciumpol był blisko, bo kiedy go zamykali, nadal brał subutex, a więzienna lekarka próbowała w niego wmusić dodatkowo metadon. Dostał do wypicia dziesięć mililitrów, choć błagał, by nie kazali mu pić.

– Gdy doszedłem do celi, ścięło mnie z nóg. Potrzebowałem kilku godzin, by otrzeźwieć. Jeszcze tego samego dnia zadzwoniłem po moją panią psycholog. Przyjechała do Jurby i wytłumaczyła całą sytuację. Dzięki niej zostałem przy tabletkach, które za kilka tygodni, mam nadzieję, na zawsze odstawię.

Nie – mówi minister Watterson. – Nie ma się co

wdawać w rozważania o ludzkiej wolności w kontekście papierosów. Więźniowie swą wolność utracili, łamiąc prawo. Koniec kropka.

Watterson twierdzi, że w Jurby wdrożono rekomendacje z niepochebnego raportu i teraz więzienie działa wzorowo. Zniesienie zakazu palenia nie było brane pod uwagę ani przez chwilę. Po prostu należało spowodować, że będzie on lepiej egzekwowany. I już. Rozdawnictwo plastrów jest skuteczniej kontrolowane. Nie ma możliwości, by osadzeni kitali po kilkadziesiąt sztuk na zapas (rekordzista dysponował pięćdziesięcioma). Gdy dostaje się nowy, trzeba oddać zużyty. Za prawidłowe wykorzystanie plastrów odpowiadają strażnicy i pielęgniarce. Banany, jabłka i inne owoce są obierane w więziennej kuchni. Z cel zabrano torebki z herbatą i czajniki. Zostawiono Biblię.

Kiedy Noe zwoływał zwierzęta do arki, jeden kot nic sobie z tego nie robił. Był głodny, bo od trzech dni nie mógł znaleźć niczego do zjedzenia. Marzył, że udaje mu się upolować choćby chudą mysz. Kot był szybki i sprytny, dlatego zazwyczaj potrzebował jedynie chwili, by dopaść polnego gryzonia, tym razem jednak szło mu dużo gorzej. Mijały godziny, a myszy ani śladu. Kot się wściekł i za punkt honoru przyjął, że nie zrezygnuje, póki czegoś nie złowi i się nie naje.

Tymczasem inne zwierzęta zdążyły już schronić się w arce. Na ziemię z wolna spadały pierwsze krople deszczu: wielkie, roztrzaskujące się z hukiem. Zapowiadały nadciągający kataklizm. Noe zorientował się, że brakuje już tylko kota. Krzyknął:

– Zamykamy! Kto jest w środku, ten jest w środku, kto na zewnątrz, niech tam zostanie. Wrota arki poruszały się powoli, skrzypiały niewyrobione zawiasy. Ulewa wzmagająca się z każdą sekundą, a z nią potężna wichura. Kot desperacko walczył o życie, o to, żeby nie utonąć. Jakimś cudem udało mu się dopłynąć do arki. Uratował się, ale zabrakło mu może pół sekundy, by wejść do środka w całości. Jego ogon był jeszcze

na zewnątrz, gdy wrota zamknęły się z przeszywającym łomotem. Kot Manx pisnął z bólu i żalu po stracie.



Spośród listów, które przysły w odpowiedzi na moje ogłoszenie w gazecie, najciekawszy był ten od Dorothy Greenwood. Autorzy pozostałych pisali o Polakach, że potrafią ciężko pracować, co się chwali, i że nie stwarzają problemów.

Mieszkanka Douglas wspominała polskiego kucharza, który przed wieloma laty pracował w hotelu jej rodziców. Zwykle spokojny i sympatyczny, jednego dnia chwycił ponoć rzeźnicki nóż i groził, że wszystkich zabije. Przyjechała policja i zabrała mężczyznę na obserwację psychiatryczną. Później przepadł.

Z kolei staruszek z Port Erin podzielił się w liście swoją młodzieńczą fascynacją – jako młody chłopak obserwował polskich pilotów służących w siłach RAF-u, gdy ci ćwiczyli na plaży w Port Erin starty i lądowania. Pisze, że siadał po turecku na górnej promenadzie i przez kilka godzin patrzył, jak się rozpędzają, jak dźwigają maszynę w powietrze, jak zataczają na niebie niekształtne figury i jak schodzą coraz niżej. Koła samolotów orzące mokry piasek. W Port Erin nie było wtedy tylu domów, ile jest dzisiaj – dziś takie manewry nie byłyby możliwe. Ludzie z całego miasteczka zbiegali się oglądać wyczyny lotników. Gospodynie

z domów przy plaży częstowały ich kanapkami i herbatą albo zimnym sokiem owocowym.

Możliwe, że jednym z nich był Stanisław, o którym pisze Dorothy Greenwood. Czytam jej list po raz kolejny.

*Kirkway, Onchan
Isle of Man*

*Dear Dionis,
piszesz, że interesuje cię „polski wątek” – historie o Polakach, którzy kiedyś mieszkali lub przebywali na naszej małej wyspie, z którymi my miejscowi mieliśmy do czynienia.*

Moja historia być może nie nadaje się do Twojej książki, może uznasz, że jest mało interesująca albo zbyt sentymentalna – mimo to uznałam, że Ci ją opowiem.

Podczas II wojny światowej, kiedy miałam siedemnaście lat i mieszkałam w Onchan, poznałam polskiego lotnika, który razem z innymi stacjonował w Jurby. Nazywał się Stanisław Słowinski. Był wysoki i przystojny, miał ciemne włosy. Ja też byłam wysoka, szczupła i bardzo atrakcyjna – dziś, kiedy zbliżam się do dziewięćdziesiątki, nie zawracam sobie głowy fałszywą skromnością. Byłam bardzo atrakcyjna i już. Spotykaliśmy się podczas weekendów. Stanisław –

w randze porucznika – przyjeżdżał do Douglas razem z kilkoma kolegami w sobotnie popołudnia. Zatrzymywali się w jednym z hoteli na promenadzie. Przychodziła do nich rehabilitantka, która wykonywała przepisane przez lekarza zabiegi – głównie masaż ramion. Wieczorami wychodzili na miasto. Spotykaliśmy się na tańcach w Palais de Dance lub w Villa Marina. Czasami udawało nam się też we dwójkę wyskoczyć na drinka do któregoś z pubów. To były piękne czasy, bardzo romantyczne.

Po kilku miesiącach Stanisław musiał opuścić wyspę – wezwano go do Anglii. Bardzo za nim tęskniłam. Przesłał mi jeszcze kartkę na święta 1944 roku. Nigdy więcej się nie widzieliśmy. Nie wiem, co się z nim stało, choć zawsze miałam nadzieję, że jeszcze kiedyś go zobaczę, że być może wróci na wyspę. Do mnie.

Mam do Stanisława wielki sentyment. Kochałam go.

Trudno uwierzyć, że wszystko to działo się tak dawno temu.

Serdecznie pozdrawiam

Dorothy Greenwood

PS Przesyłam Ci również kserokopię nekrologu Paula Lebedzińskiego, którego ojciec pochodził z Polski. Paul był poetą i mieszkał w Ramsey. Zmarł blisko dwadzieścia lat temu, ale tu, na północy wyspy, ludzie

ciągle go pamiętają. Poniżej jeden z jego wierszy.

Pożegnanie

Kochana, mało czasu mi zostało,
Lecz nim odejdę, musisz wiedzieć,
Że byłeś światłem mego życia.
Twój spokój wlewał ciszę w serce,
Koił mą duszę, dawał siłę,
By przetrwać te wszystkie trudne dni;
U kresu kocham tylko ciebie.
W poszarpanej linii brzegowej,
Co biegnie wokół naszej wyspy,
Widzę sylwetkę ciebie – śpiącej,
Twój obraz czyni śmierć mą słodką.
Na wieczne czasy i jeden dzień
Zasnę sam sześć stóp pod ziemią
I stracę ciebie; ale nie płacz,
Gdyż każdy musi kiedyś odejść,
A wokół wiosna – świat się budzi,
Żonkile tańczą na ulicach;
Zasiej ziarno nowej miłości,
Na nowo ułóż sobie życie,
To nasz ostatni pocałunek,
Nie kładź kwiatów na moim grobie,
Niech kwitną dla nowej miłości.
Zapomnij, mało czasu mi zostało.
(1978)

PPS Pamiętam, że mieliśmy tu też pewną krawcową – moja mama szyła u niej sukienki. Nazywała się Rosa Roberts, miała elegancki butik w Douglas – jej córka, zdaje się, wyszła za Polaka. To było świeżo po wojnie.

Ta krawcowa co rusz jeździła do Polski, a gdy wracała, to opowiadała. Bawiły mnie jej relacje z podróży, które publikowały miejscowe gazety – pełne naiwnych, głupiutkich spostrzeżeń na temat egzotycznego kraju. Zawsze jednak czekałam na nie i czytałam z jakimś dziwnym podnieceniem. Zastanawiałam się, jak jej opowieści skomentowałyby Stanisław – zgodziłby się, nie zgodził, wyśmiałby, rozwinął, uzupełnił, wytłumaczył, dodał kontekst. Byłam zła, że ona, zwykła krawcowa, wie o Polsce więcej niż ja (ja pamiętałam bardzo niewiele), że może sobie tam jeździć, zwiedzać, chodzić po restauracjach, że może jakimś cudem spotka tam Stanisława albo może minie go gdzieś na ulicy i nie pozna. Ja bym poznała.

Jeśli Cię to interesuje, musisz sobie poprzeglądać stare gazety, bo ja nie zachowałam kopii. To będzie w dziennikach – kiedyś wychodziło ich aż sześć, i to dobrych, dziś nie ma żadnego. W Manx Radio mówili niedawno, że wszystkie gazety, które ukazywały się na wyspie od końca XVIII wieku, przeniesiono do internetu. Nie wiem, co to znaczy, nie używam komputera, ale ponoć przeniesiono. I wszystko można

teraz łatwo sprawdzić.

Odpisuję, że właśnie takich historii jak jej i Stanisława szukam i że od kilku dni znowu jestem na wyspie. Byłoby ekstra, jeśli Dorothy zechciałaby się ze mną zobaczyć. Chciałbym dowiedzieć się więcej o niej i o Stanisławie oraz o tych trudnych czasach, gdy dopadła ich miłość.

Wysyłam list na poczcie w Port St. Mary, załączając adres Sian i numer miejscowej komórki.

Dorothy oddzwania już następnego dnia. Chętnie się spotka i porozmawia. Razem z córką Susan zapraszają mnie do siebie na herbatę. Pasuje mi czwartek, wczesne popołudnie? Pasuje.

12.

Sian mówiła, że jesteś w połowie Grekiem. To prawda?

Barbara akurat ma przerwę, kiedy zbiegam do kuchni na śniadanie.

Pije herbatę i ogląda „Jeremy Kyle Show” (historia o siostrach – jedna zabija chomika drugiej, bo jest zazdrosna o swojego narzeczonego).

– Prawda.

– Kiedyś często jeździliśmy z mężem do Grecji. Nawet zaczęłam uczyć się greckiego – *kalimera, kalispera, ewharisto*. Mam kurs na płycie, ale dawno już go nie słuchałam. Zdarzyła mi się pewna przykrość i nie miałam głowy... – Barbara milknie na chwilę. – Mój mąż za to od jakiegoś czasu źle znosi upały, dlatego teraz jeździmy na wakacje do Kornwalii. Nie, żeby mi się Kornwalia nie podobała. Podoba, podoba. Ale to nie to samo. Mówię mu, że moglibyśmy się wyprawić na którąś z wysp wczesną wiosną albo jesienią, kiedy jest chłodniej, bo mnie jest wszystko jedno. Ale Richard się uparł. Trudno, może kiedyś polecimy obie z Sian, bo ona też ma słabość do Grecji.

Rozglądam się dyskretnie – kuchnia już oporzędzona, podłoga zamieciona, rzeczy

pozsuwane, blaty chwilowo przestronniejsze.

– Ale to niejedyna słabość Sian – mówi dalej Barbara. – Nie zrozum mnie źle – znamy się już i przyjaźnimy od lat. Uwielbiam ją. Pomagałam jej, odkąd się tu wprowadziła. Ale rozejrzyj się. Widziałeś gdzieś tyle gratów? Niezła z niej zbieraczka. O, na przykład, jeszcze dwa lata temu w kuchni stał tylko jeden duży stół, a teraz proszę, dwa, i ten drugi cały zastawiony. Chaos. Gdybym tylko mogła, gdyby Sian dała mi wolną rękę... A tak, robię, co mogę. Ledwo porządkuję. Albo te książki kucharskie – po co człowiekowi tyle książek z przepisami, albo te magazyny kulinarne, dwie wielgachne sterty.

Książki i czasopisma to akurat wiem po co. Kiedy Sian wraca z pracy, lubi pooglądać programy o gotowaniu. Ma wykupiony specjalny pakiet kanałów. Ogląda uważnie, z szacunkiem dla gotujących, nawet jeśli są nimi średniej klasy aktorki, podstarzałe modelki lub prezenterzy pogody. Jeśli gotuje uznana sława, Sian, nie podnosząc się z fotela, rzuca okiem na wielki drewniany regał i sięga po książkę, którą sława wcześniej napisała i wydała, odszukuje przepis i sprawdza, czy sława aby czegoś czasem nie modyfikuje. Sławy rzadko urozmaicają swoje przepisy. Sian ma teorię, że podczas kręcenia

programu co chwila zerkają do własnych książek – co przed emisją zostaje wycięte i widzom się wydaje, że tamci wszystko znają na pamięć, że gotują z głowy.



– Chociaż raz by zerknęli, sprawdzili, ile tego czy tamtego. Nie. Zawsze udają.

Regały są dwa. Każdy na sześć półek. Z ciemnego drewna. Oddziela je od siebie okaflowany, nieużywany kominek oraz wiklinowy stojak na wino. Na obwolutach i grzbietach książek drukowanymi literami: kuchnia włoska, kuchnia hiszpańska, grecka, francuska, polska (prezent ode

mnie), portugalska, meksykańska, indyjska, najlepsze ciasta, najlepsze zupy, potrawy z grilla, uwędzić rybę, owoce morza, kuchnia wegetariańska, wegańska, najlepsze desery, dania w kwadrans, dania w godzinę.

Sian planuje również napisać książkę kucharską – gdy nareszcie przejdzie na emeryturę, za dwa, trzy lata. Znalazłyby się w niej najlepsze przepisy jej przyjaciół. Zbiera je od lat. Z moich propozycji wybrałaby ciasto z jeżynami oraz zupę szczawiową z jajkiem. I, oczywiście, ruskie pierogi.

To było przy którymś z moich kolejnych powrotów na wyspę. Może przy piętnastym, może przy szesnastym. Kiedy chwilę wcześniej umarła moja mama. Zofia. Nie znałem lepszego azylu. Był koniec sierpnia – ciepły, niemal bezdeszczowy i bezwietrzny. Długie, jasne wieczory – idealne do biegania, do samotnych spacerów, do wypraw na wczesne jeżyny.

W tygodniu znów pracowałem w małżowni. Nie wiedziałem, jak długo zostanę – miesiąc, pół roku, rok. Shirley, Tracy i pozostałe kobiety w fabryce rozumiały, że muszą mi dać trochę czasu i nie liczyły na dawne żarty przy stole. Były miłe, obchodziły się ze mną delikatnie. Shirley nawet chciała podarować mi jeden ze swoich nożyków, że niby sama ma aż cztery, a potrzebuje przecież

jednego. Zapomniała, że jestem leworęczny i muszę mieć ostrze wygięte w przeciwną stronę. Nie wiem, kto im powiedział, może Sian, gdy spotkały się przypadkiem na zakupach. Znały moją mamę tylko z widzenia. Pamiętały ją ze starych zdjęć, które przywiozłem dawno temu po powrocie z wesela mojej siostry, oraz z tego, że gdy Zofia przyjechała do mnie kiedyś w odwiedzin, nie była w stanie wejść do małżowni. Zatkąła usta ręką, zrobiła dwa kroki w przód, po czym odwróciła się na pięcie i wybiegła na zewnątrz. Rybie smrody zawsze tak na nią działały.

– Dokończ, co masz dokończyć, ja sobie tu na ciebie zaczekam – powiedziała, gdy za nią pobiegłem.

Shirley i Tracy akurat wyszły na zewnątrz na krótką przerwę. Poprosiły nieznaną kobietę o ogień, bo nie mogły znaleźć zapalniczki. Gdy moja mama chwilę później oddalała się w kierunku pirsu, machały do niej z odpalonymi papierosami między palcami i krzyczały po polsku: „dzień dobry”, „dziękuję”, „jeden, dwa, trzy, cztery”, „na zdrowie”.

Na pomysł wpadła Sian. Niby ot tak, choć dziś podejrzewam, że wymyśliła to całe pieczenie z myślą o mnie, by chociaż minimalnie ulżyć mi

w żałobie.

– No bo co sobotę jest ten ryneček, tu niedaleko, w porcie, prawda? – spytała jednej niedzieli przy śniadaniu. – Wczoraj byłam. Można kupić świeże warzywa, mięso, ryby, można się napić kawy. Są też kwiaty i rękodzieło. Brakuje tylko stoiska z ciastami. A my przecież oboje lubimy piec. Tak? No tak. I pieczemy dużo. To skoro i tak mamy piec, to lepiej piec, sprzedawać i zarabiać niż jedynie piec i się objadać. Tak? No tak.

Nazwaliśmy się „deliciously different”. Pyszne – wiadomo. A different, bo na wyspie chyba nikt przed nami nie upiekł ciasta z rabarbarem albo z jeżynami, czy włoskiego placka z mielonymi orzechami laskowymi zamiast mąki. Nie interesowały nas tradycyjne serniki, jabłeczники, ciasta marchewkowe. Mieliśmy się wyróżniać, przyciągać klientów nietypowymi smakami.

Siedząc w kuchni jeszcze tego samego wieczora, pijąc wino, wszystko sobie rozpisaliśmy – tyle a tyle mąki, tyle a tyle jajek, dziesięć kostek masła, pięć kilogramów brązowego cukru na start. Sian upierała się, że musimy zainwestować w lepszy olejek waniliowy – bo ten najtańszy ponoć do niczego się nie nadaje. Kręciła też nosem w sprawie ceny. Uważała, że funt siedemdziesiąt

pięć za kawałek to za dużo. Ja twierdziłem, że w sam raz – ciut taniej niż w kawiarniach, wystarczająco drogo, żebyśmy wyszli na swoje. Przecież ludzie, którzy przychodzą na taki kiermasz, mają pieniądze. Dla nich im coś jest droższe, tym lepsze. Taniego nie kupią, bo pomyślą, że może jajka nie były ekologiczne, albo będą się bać, że inni mogliby ich uznać za ubogich. Wahaliśmy się też – dzielić ciasto na osiem czy dziewięć kawałków. Stało na ośmiu – żeby nas nie brano za chciwych. Zresztą nie zamierzaliśmy zbić na naszych kejksach fortuny – Sian chciała doskładać trochę funtów na Australię, bo kilka tygodni wcześniej okazało się, że Rupert (najmłodszy syn) z narzeczoną zostają tam na dobre i zapraszają najbliższych na wesele; mnie z kolei zależało na nowych butach, koszulce i spodenkach do biegania.

Dostaliśmy stanowisko z namiotem między rzeźnikiem z Castletown a starą wdową z Colby, która sprzedawała czekoladę domowej roboty. Oboje z Sian mieliśmy podejrzenia, że kobieta jest oszustką. Była niesympatyczna, wścibska, krytykowała nasze ciasta jako zbyt ekstrawaganckie i zagadywała naszych klientów. Jednego razu Sian stała za nią w kolejce w Shoprite i widziała, jak ta wyjmuje z koszyka

piętnaście tabliczek najtańszej czekolady. A klientom na kiermaszu opowiada bajki, że do produkcji swoich wyrobów używa najlepszego kakao z Ghany, które przywozi jej siostrzeniec, jeżdżący tam w interesach.

We środy Sian jeździła po zakupy, a ja z miską i reklamówką chodziłem na jeżyny. Najładniejsze akurat rosły na zboczach klifów niedaleko Cregneash i w pobliskim wąwozie. Nie mogłem pojąć, że nikt inny ich nie zrywa, że ludzie zbiorowo je ignorują. A one, głupie, dojrzewały tak pięknie po nic.

We czwartki zaczęliśmy pieczenie. Ja zaraz po małżowni, Sian wieczorami, gdy wracała z drugiej zmiany w szpitalu. Już upieczone ciasta kładliśmy na ozdobnych paterach, które zniosłem z salonu, i przykrywaliśmy plastikowymi kloszami, żeby zachowały świeżość. Cały dom pachniał cudowną mieszanką pieczonego rabarbaru, jeżyn, orzechów, jabłek, cynamonu, czekolady i masła. Musieliśmy otwierać wszystkie okna i drzwi, żeby wypuścić nadmiar ciepła.

W piątkowe wieczory, gdy ostatnie ciasto wyjechało z piekarnika, Sian zabierała się za posypki i polewy. Ja podliczałem rachunki i sprawdzałem nasze zapasy, szykowałem noże i papierowe tacki. Otwieraliśmy do tego butelkę

schłodzonego białego wina. Cin cin, żeby się
sprzedało.

Zofia dopiero od niedawna mogła mieć czegoś dwie pary albo więcej. Dwie pary spodni, cztery pary butów, dwie zimowe kurtki. Wcześniej miała wszystkiego jedną parę albo w ogóle. Każda dodatkowa sztuka stanowiłaby rozrzutność, na którą nie było jej stać. Dyżurna biała bluzka na wszystkie okazje, jedna czarna spódnica po kostki, z rozporkiem do kolan, kozaki na niewielkim obcasie. O czymś nowym mogła pomyśleć dopiero po zdarciu, zniszczeniu, spraniu, schodzeniu. Bo zawsze najpierw były rachunki do zapłacenia – woda, światło, gaz, bo czynsz przede wszystkim, bo kredyt, bo rata w lombardzie. I ciuchy dla trójki dzieci. Samotna matka i jej *mission impossible* – kupno trzech par zimowych butów i ciepłych kurtek, najlepiej takich, które wytrzymają dłużej niż sezon, i to w momencie, gdy przed chwilą był wrzesień, gdy się nie wyszło jeszcze z długów zaciągniętych na szkolne wyprawki.

Miała na przykład jedną jedyną torebkę na ramię. Do pracy i do kościoła, na zakupy i wywiadówkę. Trzymała w niej pusty zazwyczaj portfel, mały, zgrabny grzebień, chusteczki higieniczne, czerwoną szminkę, zapalki i papierosy. W torbie pomiędzy rzeczami

potrzebnymi tułały się też przypadkowe guziki, nie wiadomo od czego, skrawki papieru z dawno nieaktualnym numerem, nazwiskiem albo adresem, wypisane długopisy. Materiałowa podszewka cała była w dziurach (wpadał za nią bilon i chlebowe okruchy – to były czasy, kiedy kupowało się chleb na bochenki; zwyczajny, pszenny, oprószony mąką; czasy, kiedy nie było plastikowych reklamówek, więc kobiety nosiły zakupy w torebkach lub wiklinowych koszach). Zofia zamek w torebce wymieniała trzykrotnie, a rozdarty pasek z konieczności wiązała na duży supeł.

Zawsze chciała mieć kapelusz. Słomkowy, na lato, na skwarne popołudnia i chłodne poranki. Z czerwoną wstążką, bo w czerwonym było jej najlepiej. Dla pań na emeryturze, poważnych i eleganckich, świeżo upieczonych babć, które noszą do kapelusza kolorowe sukienki na guziki, czerwone korale i skórkowe sandały. Zawsze też chciała kupić sobie garnitur i klasyczny prochowiec.

W Port St. Mary przy głównej ulicy, upchnięty w pawilonie między fryzjerem a gabinetem kosmetycznym dla psów i kotów, jest taki komis z ciuchami – bardziej komis niż lumpeks, niż polski

lumpeks z holenderskimi ubraniami na wagę, pięć złotych za kilogram. U drzwi na sznurku wisi mały dzwonek, podłogę wyściela tłumiąca kroki niebieska, kwietna wykładzina. W oknach kolorowe zasłony.

Ludzie sami przynoszą to, w czym nie będą już chodzić, lub to, w czym w ogóle nie chodzili, nie oderwali nawet metek – bo zmieniła się moda, przytyli, schudli, bo przestało im się podobać, bo w sklepowej przymierzalni mieli kłamliwe lustro i nazbyt sprzyjające oświetlenie, bo potrzebowali pieniędzy. Wyprane, wyprasowane, pachnące. Wyjmują z reklamówek i mówią: to za dychę, to za piąta, ta sukienka za osiem, bo wcale niechodzona, spodnie za piętnaście. Zysk ze sprzedaży dzielony jest na pół: cztery funty z koszuli dla nich, cztery dla staruszki z burzą siwych, nalakierowanych loków – właścicielki interesu. Dużo tanich, porządnych, niezniszczonych ubrań.

Czasami Zofia wracała z komisju z pełnymi torbami. Zadowolona, uśmiechnięta.



– Zobacz, te rybaczki, pięć funtów, całkiem nowe – chwaliła się. – Bluzka, będę mieć po domu, za funta. Szal, zobaczcie, piękny, prawda? Kurtka, na wiosnę, jak za darmo, cztery funty. I jeszcze te spodnie, eleganckie, na kant.

Patrzyła na cenne zdobycze i wiedziała, że w drodze powrotnej nie zmieści wszystkiego do walizki, z którą niecały rok wcześniej przyleciała na wyspę Man. Przyjeżdżała przecież, by opiekować się wnukiem, nie na zakupy. Część ciuchów będzie musiała wysłać do Chojnowa pocztą.

Miała jasne, niesforne, niezbyt gęste włosy i piękne, raczej smutne oczy – szczególnie jedno, dwukolorowe, szaro-piwnie. Lekko haczykowany nos. Prawie nigdy się nie malowała. Źle się czuła ze skorupą na twarzy, uczuła ją każdy tusz do rzęs, każdy puder. Rzadko, jedynie przy ważniejszych okazjach, zdarzała się czerwona pomadka, mocno wyostrzająca delikatne kontury ust. Zofia była dość wysoka. Miała długie, zgrabne nogi, udekorowane cieniutką siatką żyłaków – nad lewym kolaniem i na obu łydkach.

Czasami wracała do domu w Port Erin z pustymi rękoma. Nie znajdowała niczego wartego kupienia. Wszystko stare i niemodne, przebrane albo same duże rozmiary.

– Jutro będzie dostawa – mówiła.

– A skąd wiesz, że jutro? – pytałem.

– Właścicielka mi powiedziała. Dzwoniły stałe klientki, żeby się zapowiedzieć, że zrobiły porządki w szafach, że jutro wpadną po pracy.

– Po jakimu ci powiedziała, chyba nie po polsku? – Już nie rób ze mnie takiej głupiej. Wiem, co powiedziała. Nie wierzysz? Zaczekaj do jutra. Kochany, nie doceniasz swojej matki.

Jutro akurat wypadła dzień, kiedy oboje, Ula z Mariuszem – zięciem Zofii – mieli wolne i mogli zająć się Szymkiem. Przyjechali na wyspę półtora

roku wcześniej, z ledwo raczkującym dzieckiem. Zaliczyli krótkie epizody w małżowni, na sprzątaniu w hotelu, w Tesco. Mieli wyrozumiałych szefów, ale nie zawsze udawało się tak dopasować grafik, żeby pracowali na zmianę – a przecież jedno z nich zawsze musiało być z małym. Wynajęli niańkę – młodą Węgierkę po burzliwym rozwodzie, z dwuletnią córeczką. Zostawiali Szymka u niej, ale chłopiec potrafił wyć przez cały czas do ich powrotu. Nie chciał jeść ani bawić się z córką Agniesz Jasmin. Nic tylko ryczał. To samo było w żłobku, do którego go zapisali. Prowadzili go tam z nadzieją, że przywyknie, a im nie pękna w tym czasie serca. Po trzech próbach zrezygnowali i wykręcili numer do Chojnowa.

– Mamuś, pomożesz? – spytała Ula.

Zofia od razu się zgodziła, jakby tylko czekała na telefon z tą konkretną prośbą. Poznała wyspę Man już kilka lat wcześniej, gdy przyjechała do mnie w odwiedzin. Najpierw dzwoniłem do niej z czerwonej budki i opowiadałem, jak jest pięknie, jak magicznie, jak spokojnie, że koniecznie musi przyjechać, bo czegoś takiego jeszcze nie widziała, będzie zachwycona. Była. Przez te dwa krótkie tygodnie zjechaliśmy wyspę wzdłuż i wszerz, przy suchej, słonecznej pogodzie. Chodziliśmy na spacer, próbując identyfikować miejscowe kwiaty

i krzewy – to mamy w Polsce, to też, palm nie mamy, ta fuksja tylko w ogrodach. W gorące dni wylegiwaliśmy się na plaży, a nawet moczyliśmy stopy w wiecznie lodowatej wodzie. Odwiedzaliśmy puby w Port Erin, jedliśmy chińszczyznę i fish and chips. To były pierwsze wyjazdowe wakacje Zofii od dwudziestu lat. I to jakie! Większość jej znajomych w Chojnowie nawet by nie wiedziała, gdzie na mapie szukać tej wyspy – nigdy tam nie pojedą, nie polecą, nie popłyną, nie zobaczą tego wszystkiego, co ona oglądała. Jak im będzie tłumaczyć, to sobie w głowie dla świętego spokoju ułożą, że Anglia – bo Anglia z czymś tam się jeszcze kojarzy: angielski słyhać spod lektora na filmach, Londyn, królowa Elżbieta któraś tam, młody książę i jego megalomani, Tamiza, Churchill, parę innych może jeszcze skojarzeń. A taka wyspa – nic, pustka, czarna dziura.

Zofia żałowała, że musi wracać do Polski, która nagle, w porównaniu, wydała się tak szara. Od niedawna była na skromnej emeryturze. Odpoczywała. Czytała książki, oglądała filmy i telenowele. Pielęgnowała kwiatki doniczkowe i nawet się wzięła za mały, sąsiedzki ogródek pod balkonem. Plewiła, podlewała. Koleżanki wpadały na kawę parzochę albo ona wpadała. Dawała dyskretne rady, gdy urodził się Szymon, a później

tęskniła, gdy została sama, bo cała trójka jej dzieci wyjechała się dorabiać. Telefony, a później rozmowy na skajpie to nie to samo. To nic. Samotność ją przytłaczała. Nie pomagały książki, koleżanki, ogródek. Po prośbie Uli w mig zgodziła się przyjechać. Klucze do mieszkania i pieczę nad kwiatkami powierzyła pani Basi, sąsiadce spod szóstki. Spakowała się i w drogę.

Były obawy, czy bez znajomości angielskiego Zofia poradzi sobie na lotnisku w Liverpoolu, czy będzie wiedziała, jak wsiąść w samolot na wyspę. Będzie, będzie, niech się przestaną niepotrzebnie zamartwiać, niech dadzą spokój. Nie urodziła się wczoraj.



Ula z Mariuszem i małym Szymonem przenieśli się akurat z Douglas i zatrudnili w Shoprite – jedynym większym supermarkecie w Port Erin. Ula

usiadła przy kasie, a Mariusz został magazynierem i wykładał towar na półki. Wynajęliśmy wszyscy, razem z bratem, który także dojechał na wyspę w międzyczasie, przyjemny, spory bungalow blisko pola golfowego i blisko sklepu.

Zofii bardzo spodobał się nowy dom – zanim przyleciała na wyspę, widziała zdjęcia w internecie. Podobało jej się też to, że cała rodzina znów była pod jednym dachem. Zofia dostała własny pokój, do którego wchodziło się z kuchni i z którego tylnymi drzwiami wychodziło się do małego, wiecznie zielonego ogrodu. Jak się chciało, można było na bosaka. W ładne dni Zofia chodziła tam z Szymonem – on gubił w żywopłocie kolejne resoraki, przewracając się co krok w wielkiej pielusze, ona rozwieszała pranie, rwała chwasty, podlewała herbaciane róże, zrywała poziomki z krzaków owocujących cały rok. Później gotowała obiad – porządny, dla pięciorga dorosłych i dla dziecka – zupa, drugie i surówka.

Z zawodu była kucharką. Kucharką i kelnerką – taki to był kiedyś łączony profil w bolesławieckiej zawodówce. Pracowała, odkąd skończyła osiemnaście lat. Na trzy zmiany, pracujące niedziele, liczne nadgodziny. W Chojnowie działało wtedy osiem restauracji, trzy bary mleczne i dwie pijalnie. Nie siedziało się w domach. Ludzie

chodzili na dansingi, na obiady, na kolacje, na piwo. Wszędzie pełno, wszędzie ścisk. Pijackie burdy. Ktoś musiał im gotować, ktoś musiał podawać. Z tego wszystkiego ostała się do dziś jedna speluna – Zagłoba i jeden bar mleczny. Doszła jedna pizzeria. Wszystko inne pada po kilku miesiącach. Nie ma się gdzie napić kawy. Zniknęły z Chojnowa kelnerki. Zniknął Dolzamet i Renifer, zniknęła Papiernia i kino.

Po rozwodzie Zofia dostała pracę w kuchni ostatniego dużego zakładu w okolicy. Od siódmej do piętnastej – gotowało się śniadania i obiady dla kilku setek pracowników. Gdyby nie to, co udawało jej się stamtąd zakosić, nie wyżywiłaby rodziny – czasy były parszywe, transformacyjne, balcerowiczowskie, najgorsze, w jakich przyszło jej żyć. To wtedy musiała wiązać na supeł rozerwany pasek torebki. Kiedy miała tak zwane wolne, dorabiała – gotowała ludziom na chrzciny, komunie, pogrzeby i na wesela. Razem z najlepszą przyjaciółką Stasią i dwiema innymi koleżankami do pomocy potrafiły przygotować jedzenie na sto osób, na dwieście, na trzysta. Trzysta schabowych, ileś tam mielonych, czterysta placków na krokiety. Usmaż to wszystko, zamieszaj rosół, odcedź makaron, ugnieć ziemniaki, dopraw surówkę, ukrój ciasta, nakryj stoły, umyj gary. Zaczynało się

w piątek po pracy, kończyło w niedzielę wieczorem. Za trzysta złotych, za dwieście pięćdziesiąt. Żeby przetrwać. A w poniedziałek znów na siódmą do zakładu.

Obiad dla pięciu osób nie robił na Zofii wrażenia. Gdy gotowała, Szymek ucinał sobie drzemkę. Później oglądała któryś z polskich seriali, czytała książkę albo rozwiązywała krzyżówki. Czekala, aż wszyscy wrócą do domu. Odgrzewała na raty jedzenie, pytała, jak minął dzień. Zdawała relacje z wybryków Szymona i chętnie słuchała pracowych opowieści.

W te dni, kiedy oboje, Ula z Mariuszem, mieli wolne, lubili porządniej się wyspać, a później jechali do Douglas na zakupy. Mieli już wtedy własny samochód, kupiony za kilkaset funtów, z kierownicą po prawej stronie. Mieli też sporo oszczędności – więcej niż potrzebowali, by spłacić kredyt hipoteczny w Polsce. Mogli sobie pozwolić na małe ekstrawagancje. Zawsze pytali Zofię, czy chce jechać z nimi, ale zazwyczaj nie chciała. Miała własne plany.

Wstawiała wcześniej, po cichu wypijała czarną kawę, jadła małe śniadanie i wychodziła, gdy wszyscy jeszcze spaliśmy. Poza sąsiadem, który już plewił w ogródku za niskim żywopłotem i który machał do niej na dzień dobry protezą dłoni

w czarnej, skórzanej rękawiczce (siwy, szczupły mężczyzna był kiedyś rybakiem – miał łódkę, którą wyprawiał się po kraby i homary. Raz zdarzył się wypadek i maszyna zwijająca grube liny urzęnęła mu prawą dłoń. Gdy wydobrzeał, sprzedał pechową łajbę i przeszedł na emeryturę. Z dawnych przyzwyczajień zostało mu już tylko wczesne wstawanie).

Zofia szła na długi, samotny, cichy spacer. Gdzie nogi poniosą. Na przykład na Bradda Head – wzdłuż niezbyt stromego klifu na obrzeżach Port Erin. Wąską ścieżką między trawami, między jeżynowymi krzakami, między tymi żółtymi kwiatami, których łodygi mają pełno kolców, między łąkami i pastwiskami, wśród śniadaniowych mewich przekomarzań i króliczych nagłych czmychnień, by stojąc przy urwisku, móc poprzyglądać się brzegom Irlandii – dalekiej i niewyraźnej.

Na końcu klifu znajduje się kamienna wieża, którą widać na wszystkich pocztówkach z wyspy i rewersie pięćdziesięciopensówki – Millner's Tower. Krętymi schodami Zofia wchodziła na balkon – zielonkawy, gęsto porośnięty glonami i porostami, które gwarantują przyjemny komfort przy opieraniu się o balustradę – jakby ktoś rozwiesił na niej miękki dywan. Potrafiła tam stać

i pół godziny. Przy bezwietrznej pogodzie, bezchmurnym niebie i bezfalistym morzu widok z balkonu zachwycił ją i onieśmielał.

William Millner był bogatym przedsiębiorcą z Liverpoolu, właścicielem firmy produkującej sejfy. W drugiej połowie XIX wieku opuścił Anglię i osiadł w Port Erin – za sprawą zmiany otoczenia i przemiany w filantropa chciał uspokoić sumienie po tragedii, której pośrednio zawinił, a która kosztowała życie małego chłopca. Dziecko zginęło w czasie ulicznego festynu, podczas prezentacji najnowszego modelu sejfu, który miał być niezniszczalny, ognio- i kuloodporny. Nie był – wybuch prochu rozwalił sejf i zabił chłopaka. Millner przeniósł się na wyspę i większość swojego majątku przeznaczył na cele charytatywne. Miejscowi mówili o nim „ojciec chrzestny”. Pomagał ubogim rybakom, sfinansował budowę falochronu, a za pieniądze zostawione w testamencie kazał postawić kościół Świętej Katarzyny. Wieża na Bradda Head miała być prezentem-niespodzianką – dla niego, od mieszkańców Port Erin. Gdy jednak po wiosce rozniosło się, że budowla powstaje, Millner uparł się, żeby opłacić resztę prac i materiałów.

Po opuszczeniu Millner's Tower, w drodze powrotnej z Bradda Head, Zofia mijала stary basen

(Traie Meanagh). Powstał ponad sto lat temu – zupełnie niezwykły, bo na zboczu klifu, tuż przy zejściu do morza. W przeszłości był jedną z głównych atrakcji Port Erin, gdy miasteczko żyło z angielskich turystów. Otwarte kąpielisko przyciągało tłumy jeszcze w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku. Później zaczęło marnieć. Dziś popękane betonowe dno zarasta glonami i morską trawą, zieleni się, kwitnie. Wstępu strzegą pordzewiałe barierki, a tabliczki krzyczą: nie zbliżać się! Lokalne władze chciały basen wyburzyć, bo straszy i psuje panoramę, ale mieszkańcom ruina podoba się jako znak czasu, więc protestują. Do debaty włączył się rząd centralny, który dał zgodę na rozebranie basenu i zastąpienie go ekskluzywnym hotelem z przystanią dla jachtów. Inwestycja da pracę czterdziestu ośmiu osobom.

Krętymi ścieżkami gęsto porośniętymi fuksją Zofia schodziła na plażę – piękną, długą, szeroką, piaszczystą. Woda potrafi się tu cofać nawet kilkaset metrów od brzegu, odsłaniając lśniące dno, gładkie, wypolerowane, śliskie. Bywa, że na odpływ nie zdążą się załapać wielkie brązowe meduzy, całe ich gromady. W utrapieniu czekają wtedy, aż morze powróci, w strachu przed biegającymi psami i dzieciakami, wścibskimi

dorosłymi, którzy lubią w ich wnętrzach pogrzebać patykiem, skoczyć raz, drugi, trzeci, posłuchać, jak rozpląszczają się ich grube cielska.

Plaża kończy się przy niewielkim porcie – dziś praktycznie nieużywanym. Czasami zacumuje w nim prywatny jacht albo rybacki kuter przymuszony psującą się pogodą. W porcie marnieje ceglany budynek, niegdyś dzierzawiony przez uniwersytet w Liverpoolu, który prowadził tu wydział biologii morskiej.

Za budynkiem zaczyna się wąska ścieżka – jedna z najbardziej malowniczych na całej wyspie. Dróżka najpierw wije się kilkadziesiąt metrów pod górę, później zakręca i ciągnie się wzdłuż wysokiego brzegu – ma pewnie ze trzy kilometry i prowadzi do punktu widokowego znanego jako Sound, który wyznacza południowy przylądek. Wąska i płytka cieśnina oddziela go od małej, niezamieszkałej wyspy Calf of Man. Latem wycieczkowe łódki z Port St. Mary lub Port Erin dowożą tam ciekawskich turystów lub zapalonych ornitologów. Można obejrzeć cztery latarnie morskie, można spróbować dojrzeć rzadkiego burzyka północnego – z różowymi nóżkami, białym brzuchem i czarnym wierzchem. Lub inne gatunki ptaków. Calf of Man to ptasi rezerwat – z jedną osobą na państwowym etacie.

Ogłoszenie o wakacie pojawia się w „Isle of Man Examiner” co roku na początku stycznia. Praca jest okresowa, od marca do listopada. Pieniądze niewielkie, a obowiązków huk: obserwowanie ptaków, obrączkowanie co poniektórych, spisywanie raportów, które gatunki kiedy przyleciały, kiedy odleciały, liczenie motyli i fok, czyszczenie niewielkiego stawu, karczowanie ostu, naprawianie ogrodzeń i ścieżek, sadzenie drzew, reperacja siodeł, oprowadzanie nielicznych wycieczek. Mało kto wraca do pracy po pierwszym sezonie.

Zofia chodziła na Sound wielokrotnie. Cichą drogą, wśród suchych traw po kolana i setek maleńkich owczych bobków. Mijała lęgowiska ptaków, kretowiska i królicze nory. Przechodziła przez drewniane ogrodzenia na granicach pastwisk. W końcu siadała na jednej z ławek z widokiem na cieśninę i czekała na foki, delfiny albo rekiny – wielkie, żywiące się planktonem żarłacze. Czasami zwierzęta się pojawiały, czasami nie – jak im się chciało. Na odległym horyzoncie mijały się bez szmeru potężne kontenerowce.

O czym myślała, tak sobie siedząc i wpatrując się w tę ciemną wodę, w te fale, w te maleńkie, niedostępne, kamieniste plaże? O czym – z rękami w kieszeniach ciepłej kurtki, noga na nogę? Był

marzec albo kwiecień, albo maj, albo może koniec lutego. Za rok, dwa Zofia miała wrócić do Chojnowa – gdy Ula z Mariuszem zdecydują, że już dość. Nigdy nie planowali zostawać na wyspie na stałe. Czy myślała, jak to będzie po powrocie? Jak podzielić oszczędności? Może zrobić w końcu ten od dawna odkładany remont? Najpierw wymienić okna, później zająć się kuchnią, z Uli pokoju zrobić sypialnię, wyrzucić wszystkie niepotrzebne meble, zostawić tylko szafę i regały na książki. Kupić sobie rower. Będzie mogła popołudniami odbierać Szymka z przedszkola.

A może nie chciała wracać i nie chciała myśleć o powrocie do pustego mieszkania, za dużego dla niej samej? Może już wtedy tęskniła za wyspą? W Polsce nad morze jeździła raz na dwadzieścia lat, tu miała je prawie za oknem, codziennie. Przypływy, odpływy, wodorosty, meduzy i muszelki, zachody słońca i nad wodą poranna mgła.

Miała sześćdziesiąt lat, właśnie rzuciła palenie, dużo jadła, a mimo to chudła – była przekonana, że to od tych długich spacerów (mówię ci, Reniu – krzyczała do siostry przez telefon – nie palę, a chudnę). Czuła się dobrze, nic jej nie dolegało oprócz tego ramienia, które odzywało się co kilka dni. – Starość nie radość, żartowała. Myślała, że to

zaczyna się reumatyzm, bo dobrze pamiętała, jak niegdyś nękał jej mamę.

Może właśnie o niej myślała, o swojej mamie, która przecież nigdy nie widziała ani morza, ani fok, ani Irlandii. Jedynie rzekę za domem na podchojnowskiej wsi, zimną młynówkę z gór.

Pamiętam pogrzeb babci, która zmarła kilkanaście lat temu, niedługo po Wielkanocy, w niecałe trzy lata po dziadku. Również na raka. Bracia Zofii szli obok niej, w pierwszym rzędzie za trumną, która jechała na niskim, przystrojonym na czarno wózkowym katafalku. Z domu na ten mały, przykościelny cmentarz w Osetnicy. Dwóch z nich trzymało Zofię – zapłakaną, bez sił. Przyjechały jakieś nieznane praciotki z dalekiej Sądecczyzny, kuzynki babci, i przywiozły dzieciom mleczne czekolady. Po dwie każdemu. Dzięki temu całą chmarą kuzynostwa szliśmy na samym końcu pochodu, głośno mlaskając, i nikt nie musiał się nami zajmować. Ciotki intonowały kolejne pieśni, które niosły się głośno wśród pól kwitnącego rzepaku.

Albo o jeszcze czymś innym myślała. O swoich tajemnicach, na pewno je miała. Niewyjawionych, niewypowiedzianych grzeszkach, zatajonych romansach, wstydliwych marzeniach.

Gdy wiatr się wzmagął i zaczął wyciskać łzy

z jej oczu za okularami albo gdy przychodził niespodziewany deszcz, gdy słońce wznosiło się coraz wyżej i grzało coraz mocniej lub gdy zaczynała marznąć, Zofia ruszała dalej. Drogą do Port St. Mary. Kierunek komis. Kolejna godzina marszu. Z górki, pod górkę, z górki, pod górkę. Szosą bez chodnika, wzdłuż intensywnie zielonych pastwisk, na których leniły się zarośnięte owce. Gdzieś po bokach małe, pobielane domki ze słomianymi dachami. Tradycyjne manxowskie chaty. Ich właściciele pracujący w ogródkach. Z niektórych dobiegało przyjazne pozdrowienie – odpowiadała z uśmiechem. Szła sobie, nie spiesząc się, nie męcząc. Im bliżej miasteczka, tym domów było więcej, tym one same większe, nowocześniejsze, tym mniej słomianych dachów, mniej ogrodzeń z żywopłotu, tym więcej samochodów, autobusowych przystanków i piętrowych czerwonych autobusów.

Z ostatniego wzgórza przed finałowym zejściem do wioski Zofia znowu widziała morze, statki w małym porcie, ciasno upakowane jeden obok drugiego, rybackie kutry, małe jachty. Widok był spektakularny. Wszystko miało kształt jak na dłoni, widział aż nazbyt wyraźnie. To wzgórze musiało się ukształtować pod jakimś niezwykłym kątem wobec zabudowań lub to wioska wyrosła

zupełnie nadzwyczajnie nachylona. Nie tyle się na nią spoglądało, ile raczej zaglądało się w jej wnętrze, z góry, jak we wnętrze mrowiska lub akwarium. Nie jak do lodówki czy piekarnika, ale jak do garnka z ziemniakami tuż po odcedzeniu, chcąc sprawdzić, czy wylaliśmy całą wodę. Jak okiem kamery z helikoptera. Ludzie i samochody, dachy szkół, domów, sklepów, małżowni – może akurat miałem wtedy przerwę śniadaniową i wyszedłem z kawą na falochrony, pogapić się na morze lub położyć na murku, rozprostować plecy, zmęczone niewygodnym siedzeniem przy zbyt wysokim stole. W zielonym kombinezonie i żółtych gumowcach. Może Zofia widziała mnie z wysokości?

Ta bluzka za duża, ta za mała, ta w sam raz. Sporo nowych, zupełnie nienoszonych rzeczy. Same okazje. Właścicielka komisju zaproponowała herbatę z mlekiem. Zofia wypła ją z wielkim trudem, z grzeczności. Bez cytryny, bez cukru, za to z mlekiem. Pewnie uznała trunek za dość ohydny. W nagrodę, że tak często przychodzi, staruszka podarowała jej też śliczny, fioletowy szalik. Na kalendarzu wiszącym na ścianie zakreśliła dni, w których spodziewa się nowych dostaw. 12, 19, 28. Ma umowę z komisjami z innych miasteczek i czasami się wymieniają. Zofia pokiwała głową, że

rozumie, podziękowała po polsku i powiedziała, że na pewno będzie. *Good bye*, do widzenia.

Drzewo przy Moście Wrózek. Na kartkach życzenia i prośby do stworzeń, które według Manxów wyglądają jak mali ludzie – nie rosną powyżej dziewięćdziesięciu centymetrów; jeżdżą konno i świetnie polują; uchodzą za złośliwe i mściwe.



Wróciła do domu z dwiema torbami i poprosiła

Ułę o szklanę zimnej wody. Opowiadała Szymkowi o delfinach, które widziała z Sound. Przyjemnie zmęczona, zaczynała chwalić się zakupami. Wyciągała jedną rzecz po drugiej, obracała w wyprostowanych rękach, z uśmiechem na ustach zdradzała cenę, która za każdym razem okazywała się niewiarygodnie niska, po czym składała ciuchy na wysoką kupkę.

Ramię bolało Zofię nie na reumatyzm, a na raka. Przerzuty z nerek do kości.

Szary prochowiec z paskiem, nowusieńki, idealnie dopasowany, o którym zawsze marzyła, dostanie się jej przyjaciółce, pani Stasi. Dwie pary ciemnoniebieskich džinsów, których Zofia nie zdążyła założyć, trafią do szaf jej sióstr. Fioletowy szalik weźmie sobie Ula, a kolorowy, wełniany golf i puchowy bezrękawnik mama Mariusza.



14.

W dawnych czasach ryby żyjące w Morzu Irlandzkim zebrały się, by wyłonić spośród siebie króla. Brakowało im wodza, który mówiłby, co robić w trudnych sytuacjach. Spotkanie odbyło się w okolicach wysepki Calf of Man. Przybyły najdzielniejsze ryby, a wśród nich drapieżny kurek w szkarłatnym płaszczu, żarłoczna mątwą zwana Brudną Peggy, jowialny żarłacz olbrzymi, niepozorny śledź czy wąłusz srebrzysty, który nieskutecznie próbował zetrzeć z siebie czarną plamkę – znamię, jakie wypalił na jego skórze sam diabeł. Każda ryba marzyła, by dostąpić królewskiego zaszczytu, ale największe szanse miała śliczna, zielonkawo-niebieskawa makreła atlantycka. Faworytka wiedziała, na co się zanosí, dlatego postanowiła dodatkowo się upiększyć przed kongresem elekcyjnym. Kazała sobie dorysować różowe i złote paski, a grzbiet pokolorować mieszanką kolorów nieba i wody. Kiedy się zjawiała w miejscu spotkania, inne ryby początkowo jej nie poznały. Później zaś uznały ją za oszustkę i stwierdziły, że nie chcą mieć z nią do czynienia. Kompletnie spóźniona przybyła ostropłetwa flądra. Nie pozwolono jej zagłosować, więc odpłynęła obrażona. Koniec końców

zwyciężył pospolity śledź. Śledź został królem morza, a za swe królestwo obrał wody wokół wyspy Man.

– Chociaż wódka pozostaje popularnym alkoholem, w Polsce brak jest pijaństwa – mówi Rosa Roberts, znana krawcowa z Douglas, specjalizująca się w sukniach wieczorowych, zakietach i płaszczach. Wysoka, szczupła, z ciemnymi, starannie upiętymi włosami. Lat około pięćdziesięciu.

Wczesną zimą 1949 roku Rosa zamknęła salon przy 4 St. George's Street i wywiesiła karteczkę: „wracam w marcu”, po czym wsiadła na prom płynący z wyspy Man do Liverpoolu. Pociągiem dojechała do Londynu, skąd następnie, podekscytowana i przestraszona, poleciała do Czechosłowacji. Z praskiego lotniska odebrał ją polski zięć Borys Glazer. Wsiadli do auta i ruszyli do Łodzi. Tam na Rosę czekała córka Kathleen i dwoje wnucząt. To była jej pierwsza z wielu wizyt w Polsce.

– Pijaków nie spotyka się na ulicach ani po restauracjach. Najwidoczniej Polacy umieją pić z umiarem i kulturą, czego z pewnością nie można powiedzieć o niektórych mężczyznach na naszej wyspie.

Panie z kółka parafialnego w Santon, które przyszły posłuchać opowieści Rosy zza żelaznej

kurtyny, podnoszą brwi i kiwają z wolna głowami.

– Bardzo ważną rolę w życiu Polaków odgrywa religia katolicka.

Wikary Edward Jones kiwa głową.

– Przed kościołami ustawiają się kolejki, jakich nie widziałam na wyspie ani nigdzie indziej w Wielkiej Brytanii – opowiada Rosa. – Kto się nie zmieści do środka, całą mszę stoi na zewnątrz. Nawet w mróz. A zimno potrafi być na poważnie. Nasze zimy mogą się schować. Przez większość mojego pobytu temperatura utrzymywała się mocno poniżej zera. Brrrrrr.

Dreszcz przechodzi przez całą salę.



– Nowa, komunistyczna władza cenzuruje, niestety, wszystkie media. Za to odbudowa Warszawy posuwa się świetnie – chłopcy i dziewczęta powyżej osiemnastu lat mają obowiązek uczestniczenia w pracach remontowych. Dla każdego znajdzie się coś do roboty, bo Niemcy zniszczyli polską stolicę niemal doszczętnie.

Panie po cichu wzdychają: *oh dear*.

– Tramwaje są potwornie przepelnione, podobnie autobusy. Najbardziej dojmujący problem to brak mieszkań, bo wiele z nich runęło podczas bombardowań. Ludzie nadal przeżywają wojnę, koszmarną okupację i masową zagładę Żydów.

Oh dear.

– Za to znajdują radość w świętach. Bożemu Narodzeniu w Polsce towarzyszą ciekawe tradycje. Prezenty rozdawane są w Wigilię, tuż przed wystawną kolacją, która składa się z aż dwunastu dań.

Dwunastu?! *Dear God!* Panie wiercą się nerwowo i kręcą głowami.

– Później rodziny zasiadają przed choinką i śpiewają kolędy. Uroczysty nastrój utrzymuje się przez kolejne dwa dni, podczas których nie robi się prawie nic innego poza jedzeniem i piciem.

Rosa mogłaby tak opowiadać godzinami, nie tylko o Warszawie i Łodzi – była przecież i na

górnictwem Śląsku, i w uroczym kurorcie nad Morzem Bałtyckim, ale czas goni. Reporter „Mona’s Herald” od początku ostrzegał, że ma tylko pół godziny i jeśli relacja z Polski ma się znaleźć w jutrzejszym wydaniu gazety, to on nie może zostać ani minuty dłużej. Poza tym trzeba jeszcze omówić sprawy chóru. Rosa cieszy się, że przynajmniej zdążyła opowiedzieć o tym, jak młodzi Kathleen i Borys poznali się podczas wojny, gdy oboje służyli w RAF-ie, a później zdecydowali się żyć w Polsce. Borys jest wziętym chirurgiem i pracuje teraz w szpitalu w Łodzi.

Gdy elegancka Rosa kończy i siada w ławce, panie biją brawo. Przed ołtarz wychodzi wikary Jones, w imieniu swoim i wszystkich zgromadzonych dziękuje za interesującą opowieść. Wyraża nadzieję, że pani Roberts już niedługo otrzyma upragnioną wizę i będzie mogła ponownie udać się do Polski – a po powrocie znów podzieli się wrażeniami.

16.

– Onchan? Jedziesz do Onchan? A co cię tam niesie? Dobre dziesięć lat tam nie byłam – mówi Shirley.

– Ja byłam tylko raz, na szkolnej wycieczce – dodaje Tracy.

Jest deszczowe czwartkowe przedpołudnie, siedzimy w kantynie. Przyszedłem do małżowni pogadać i napić się kawy, zanim wybiorę się do Onchan w odwiedziny do Dorothy Greenwood i jej córki Susan. Kobiety dziwią się, gdy mówię, że jadę autobusem.

– To ponad dwadzieścia pięć kilometrów. Ze dwie godziny ci zjedzą w jedną stronę i będziesz się musiał przesiadać w Douglas. – Shirley nie dowierza, że chcę jechać w tak okropną pogodę.

Dla wielu ludzi z południa wyspy Onchan i wszystko, co leży chociaż minimalnie powyżej centralnego Douglas, jest odległą północą. Nawet ci, którzy jak Shirley i Tracy, zwiedzili kawał świata, północ traktują jako świat niemal odrębny, do którego nie warto się zapuszczać bez odpowiedniego przygotowania, bez ważnego powodu, a już na pewno nie autobusem, na miłość boską! My tu mamy własne szkoły, puby i urzędy, własnych lekarzy, mamy lotnisko i własny akcent,

nasi przyjaciele są stąd, nasi wrogowie również, nasi obecni mężowie, nasze byłe żony. Czego byśmy mieli szukać na północy?! Dzieciaki z południa wyspy wybierają północ jako miejsce wakacyjnych kempingów. Blue Point, blisko północnego przylądka: długa piaszczysta plaża, z wydmami porośniętymi wysoką trawą – idealna na pijackie, wariackie imprezy, na wygłupy przy ogniskach. To jest tak daleko, że rodzice raczej nie dojadą, nie zobaczą, nie skontrolują, nie dowiedzą się, nie ochrzanią.

Na „północy” obowiązuje adekwatne wyobrażenie względem „południa”. Jeśli ktoś z Ramsey wybiera się statkiem lub samolotem do Liverpoolu, *no problem*, nikt się nie dziwi, człowiek może mieć w Liverpoolu do załatwienia różne sprawy. Jeśli zaś jedzie do Port Erin, rozmówcy marszczą czoła i brwi. – Port Erin? Po co, na Boga?

No chyba że się jest emerytem i bierze się udział w jednodniowej wycieczce na południe. Autokar dowozi wtedy turystów do Castletown, gdzie zwiedzają zamek i dawną siedzibę parlamentu, później jadą do Port Erin, gdzie mogą zjeść lunch, a później na Sound – w tamtejszej przeszklonej kawiarni wypiją popołudniową herbatę, wypatrując fok i delfinów.

– Mnie tam by się nie chciało jechać taki kawał –

mówi Shirley, dopijając kawę.

– Mnie też nie – zapewnia Tracy.

Do kantyny wchodzi Robert. Robert jest z małej wioski niedaleko Zielonej Góry. Ma trzydzieści lat, choć wygląda młodziej. Jest szczupły, wysoki, z cienkimi włosami w kolorze mysim.

– Hej Rob, a ty, jeździsz na północ wyspy? Byłeś kiedyś w Onchan albo Ramsey? – pyta Shirley.

– Co? – Robert wciąż nie nauczył się angielskiego na tyle, żeby swobodnie rozmawiać lub świadomie używać form grzecznościowych, mimo że mieszka na wyspie już ponad siedem lat. Tyle samo pracuje też w małżowni. Zaczął niedługo po mnie.

– Nie mówi się co, tylko pardon. Na górze mapy, na północy, byłeś kiedyś? Onchan, Ramsey?

Widzę, że Robert nadal nie rozumie, więc przechodzę na polski.

– Shirley pyta, czy jeździsz czasem na północ wyspy, czy byłeś na przykład w Ramsey.

– A po co?

– Po co pyta czy po co miałbyś jeździć?

– Po co jeździć?

– Nie wiem. Nie miałeś żadnego powodu, żeby pojechać? Nigdy nie byłeś w Ramsey?

– Może byłem, nie pamiętam.

Robert zabiera się do drugiego śniadania, a my

śmiejemy się, wychodząc z kantyny. Za chwilę mam autobus.

Córka Dorothy Greenwood ma dobrze ponad pięćdziesiąt lat. Jest szczupła, lekko przygarbiona. Sprawia wrażenie cichej, przygaszonej, nieśmiałej. Ma krótkie ciemne włosy, twarz bez śladu makijażu. W niemodnej kurtce i własnoręcznie wydzierganej purpurowej czapce odbiera mnie z przystanku. Zadzwoiłem z prośbą o wskazówki, bo wysiadłem z autobusu w złym miejscu i nie wiedziałem, w którą alejkę powinienem skręcić. Mam czekać, gdzie jestem – mówi Dorothy – Susan już po mnie idzie.

– Susan – usłyszę jeszcze, nim rozlegnie się dźwięk odkładanej słuchawki. – Susan, ubieraj się prędko...

Onchan mocno się w ostatnich latach rozrosło, dlatego łatwo się tam zgubić. Niektórzy mówią, że to już przedmieścia Douglas, a nie osobna wioska, jak było dotychczas. Parterowe bungalowy gęsto upakowane jeden obok drugiego. Gdyby nie wczesnoświąteczne dekoracje w różnych kolorach, domki byłyby praktycznie nie do odróżnienia. Te same szare, chropowate ściany, białe okna, brunatne dachówki, cementowe krótkie podjazdy.

Susan prowadzi mnie płataniną wąskich uliczek.

Rozmawiamy o pogodzie, o tym, jak nas w ostatnich dniach nie rozpieszcza. Czy widziałem zniszczone falochrony w Castletown, zdewastowane nadmorskie ścieżki, podtopienia w Ramsey? Widziałem. Widziałem też, jak morze ponownie próbowało połączyć małżonkę w Port St. Mary – już drugi raz tej zimy, przerzucając przez jej dach szalone fale. Przy zawiei i deszczu. Ludzie stali w niebezpiecznej bliskości, robili zdjęcia, nagrywali krótkie filmiki, dziwnie zachwyceni i przerażeni jednocześnie, ze skrytą, wstydliwą nadzieją, że wydarzy się najgorsze.

– Jesteśmy.

Dorothy wygląda nas zza firanki. Otwiera drzwi uśmiechnięta – wysoka, wyprostowana, szczupła. W jej uścisku jest energia młodej osoby. Nie szura nogami w starczych kapciach, jak inne osiemdziesięciosześcioletki, nie chrobocze jej w stawach przy każdym zgięciu. Stawia szybkie, pewne kroki. Mówi z werwą.

– Nie ma co stać w chłodnym korytarzu. Chodźmy czym prędzej do salonu, gdzie od rana pali się w kominku. Susan, zaproponuj naszemu gościowi sloe gin na rozgrzanie. Ja też się chętnie napiję. I zaparz świeżej herbaty. Chodźmy, chodźmy.

Siadamy w staromodnych kwiecistych fotelach.

Moje stopy przyjemnie zapadają się w grubej, zielonej wykładzinie. Jest ciepło i pachnie schludnością.

Nad kominkiem wisi oprawiony w brązową ramę kolorowy obrazek – wielki dom o żółtych ścianach, z kolumnami i werandą. Wokół drzewa i łąki.

– Tam spędziłam dzieciństwo i młodość. Dom nazywał się Grenville, a farma na obrzeżach Onchan Hillberry – mówi Dorothy. – Moi rodzice byli całkiem zamożni. Mieliśmy wielkie gospodarstwo. Kawał ziemi pod uprawę i zwierzęta: kury, krowy, świnie, owce, a nawet osła, który był naszą ukochaną maskotką. Ojciec kupił go nam w prezencie na jarmarku w Ramsey jeszcze w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku. Sprzedaliśmy go dopiero w czasie wojny, na aukcji dobroczynnej.

Dorothy nie przerywa opowieści, gdy do pokoju wchodzi Susan. Na eleganckiej tacy niesie karafkę ze słodką nalewką z tarniny i ginu i trzy małe, kryształowe kieliszki.

– W Hillberry żyło się nam wspaniale, a nasze gospodarstwo było jednym z najlepszych w okolicy. Rodzice prowadzili je z pasją. Często się, proszę, proszę. Sloe gin świetnie rozgrzewa, jest idealny na tę pogodę. Same robiłyśmy zeszłej

zimy, prawda, Susan? Nie, Stanisław nigdy nas nie odwiedził w Hillberry. Nie mogłam o nim powiedzieć w domu, to byłby koniec naszej znajomości, a ja dodatkowo dostałabym szlaban na wszystkie wyjścia. Miałam prawie siedemnaście lat, gdy się umalowałam, wyglądałam na całkiem dorosłą, ale ojciec nie chciał słyszeć o żadnych kawalerach. A już żołnierz z odległej Polski byłby zupełnie nie do przyjęcia, mimo że w służbie RAF-u – wzdycha Dorothy. – Gdyby jednak Stanisław został na wyspie trochę dłużej, gdyby poprosił mnie o rękę, nie byłoby siły, która by mnie od niego odciągnęła. Susan, przykro mi, że musisz tego słuchać, ale taka jest prawda. Nie byłoby takiej siły. Stanisław był miłością mojego życia. I choć trwała wojna, dla mnie tamten czas jest najpiękniejszym okresem mojego długiego życia. Najpiękniejszym. Nigdy później nikogo już tak nie pokochałam. Twój ojciec był dobrym człowiekiem, Susan, był dobrym przyjacielem. Jednak ze Stanisławem łączyła mnie prawdziwa miłość. – Dorothy milknie. Jest wyraźnie wzruszona, nerwowo pociera ręce, ale już po chwili oddycha z widoczną ulgą, głęboko, jakby wyrzuciła z siebie dojmujący ciężar. – Napijmy się jeszcze po kieliszeczku. Susan, nalej, proszę, nam wszystkim.

Susan zachowuje spokój, wydaje się nie

przejmować wyznaniami matki.

– A sama wojna? – pytam Dorothy. Kieruję rozmowę na tory bardziej neutralne, by mogła ochłonąć. – Co pamiętasz z wojny?

– Moi koledzy i koleżanki z sąsiednich gospodarstw pozaciągali się do wojska: Jackie Plant, Paul Quayle, Stanley Hinds. Muriel Littlewood zapisała się do kobiecych oddziałów marynarki wojennej, a Effie Cannan jako sanitariuszka służyła podczas kampanii w Birmie. Mój ojciec oraz inni farmerzy musieli zaorać i obsiać każdy skrawek ziemi, każdy leżący odłogiem ar. Jęczmień, pszenica, ziemniaki i inne warzywa były potrzebne, żeby wyżywić wszystkich mieszkańców wyspy, których codziennie przybywało. Poza lokalną ludnością mieliśmy tu przecież brytyjskich żołnierzy, między innymi lotników, którzy albo tu stacjonowali po kilka tygodni, albo zostawali na dłużej i szkolili nowo przybyłych z nawigacji czy zrzucania bomb. To w siłach RAF-u służył Stanisław i inni Polacy. Bywało ich tu całkiem sporo. Oprócz nich przysłano nam z Anglii i Walii tysiące rezerwistów, by dbali o porządek w obozach internowania. Słyszałeś chyba o obozach, jakie tu mieliśmy?

Słyszałem. Wyspa Man już wcześniej sprawdziła się

jako idealne miejsce internowania dla cywilów przebywających na terenie Wielkiej Brytanii, a pochodzących z krajów, z którymi Londyn toczył wojny.

Po wojnie austriacko-pruskiej z 1866 roku gospodarka niemiecka pogrążyła się w zapaści. Tanie zboże ze Stanów i Rosji zalewało Europę, co powodowało, że miejscowi rolnicy wypadali z rynkowej gry i wpadali w biedę. Często jedynym wyjściem była dla nich emigracja. Razem z nimi wyjeżdżali piekarze, sklepikarze, kelnerzy, fryzjerzy, krawcy i inni rzemieślnicy. W sumie blisko pięć milionów Niemców i Austriaków. Większość marzyła o Stanach Zjednoczonych, dokąd najłatwiej można się było dostać z Liverpoolu – statkami, które wcześniej przywiozły do portu nad rzeką Mersey tony pszenicy i żyta. Podróż w spartańskich warunkach kosztowała dwa funty. Z różnych powodów nie wszyscy się na nią decydowali. Garstka imigrantów postanowiła zostać w Liverpoolu i innych angielskich miastach.

Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, na terenie całej Wielkiej Brytanii przebywało ponad sześćdziesiąt tysięcy Niemców i Austriaków, uznanych nagle za *enemy aliens* (wrogich cudzoziemców). Trzeba ich było szybko

odizolować, by zabezpieczyć się przed możliwymi agentami i szpiegami oraz by uniknąć antyniemieckiej wendety, stanowiącej realne zagrożenie. Ludzie dobrze wiedzieli, które sklepy prowadzą Niemcy, które zakłady fryzjerskie i szewskie, od dawna bywali w nich regularnie. Teraz tłukli ich wystawowe okna, do środka wrzucali kamienie i butelki z benzyną. „*Down with the Germans!*” skandowano w miastach północnej Anglii.

W pierwszej kolejności aresztowano wszystkich mężczyzn w wieku poborowym, to jest między siedemnastym a czterdziestym drugim rokiem życia. Wielu z nich nigdy nie było w Niemczech ani w Austrii – Berlin i Wiedeń znali jedynie z opowieści rodziców lub dziadków, często nie umieli wydukać choćby słowa po niemiecku.

Trzydzieści dwa tysiące osób trafiło do kilku obozów internowania – najwięcej, bo aż dwadzieścia trzy tysiące na niewielką, odizolowaną wyspę Man. Więźniowie z pierwszego transportu zeszli na nabrzeże w Douglas już we wrześniu 1914 roku. Zajęli namioty w stołecznym obozowisku Cunninghama, gdzie wcześniej zatrzymywali się mniej zamożni turyści z Anglii i Walii.

Wojna zniweczyła marzenia miejscowych hotelarzy o rekordowym sezonie – na wyspę

dotarła jedynie garstka co odważniejszych wakacjowiczów, zamiast setek tysięcy spodziewanych gości, jak w ostatnich latach. Internowani Niemcy, Austriacy i Turcy byli więc dla kulejącej gospodarki wyspy prawdziwym zbawieniem.

Przybywali stopniowo – kolejne grupy umieszczano na zachodzie wyspy, niedaleko Peel, w Knockaloe Moar, gdzie na potrzeby obozu postawiono setki drewnianych baraków. By je ogrodzić, zużyto ponad tysiąc kilometrów drutu kolczastego. Młyn w Laxey i piekarnie musiały pracować pełną parą, bo tylko dla więźniów potrzeba było każdego dnia ponad dziesięć tysięcy bochenków chleba – dla każdego po pół. Lokalni farmerzy codziennie przywozili do obozu (który liczył sobie więcej mieszkańców niż ówczesne Douglas) worki ziemniaków i jabłek, beczki z kapustą, bańki z mlekiem, świeżo oprawione mięso i ryby. Sprzedawali wszystko, dobrze przy tym zarabiając. Każdego miesiąca do więźniów trafiało ponadto pięćdziesiąt tysięcy paczek z żywnością – rodziny z kontynentu przysyłały czekolady, kandyzowane owoce, kiełbasę i papierosy.

Z nudą, która najbardziej doskwierała internowanym, walczono na różne sposoby. Można

było pójść do amatorskiego teatru i obejrzeć którąś ze sztuk Szekspira wystawianą po niemiecku albo na koncert amatorskiej orkiestry, można było zajrzeć na wykład, do pracowni rękodzielniczej, w której z puszek po konserwach produkowano popielniczki albo świeczniki, a z wikliny kosze na zakupy i meble. Kto chciał, mógł też wybrać zajęcia z gimnastyki, zapasów, boksu lub technik samoobrony, które prowadził Herr Joseph Pilates...

Lato tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku było suche i ciepłe. Pamiętam dobrze, bo uczyłam się wtedy pływać – mówi Dorothy.

Turyści po raz kolejny dopisali, plaże pękały w szwach. Wyścigi motocyklowe TT (Tourist Trophy) w połowie czerwca znów zakończyły się sukcesem – a zwycięzcą w jednej z kategorii (Senior TT) po raz pierwszy w historii był zawodnik spoza Wielkiej Brytanii – Niemiec Georg Meier, jadący na bmw.

– O tym, że wojna nadciąga, mówiono, owszem, ale początkowo bez większego niepokoju. W Hillberry zdecydowanie bardziej niż wojna zajmowały nas żniwa i strzyżenie owiec.

Władze wyspy uspokajały miejscowych i turystów, twierdząc, że wszelkie ataki, w tym

z powietrza, są wielce nieprawdopodobne. Poza tym, w pamięci ludzi nadal tkwiły słowa premiera zza wielkiej wody, Neville'a Chamberlaina, który dopiero co deklarował w radiowym wystąpieniu, że nie zamierza się przejmować kłótniami w dalekich krajach, między narodami, o których Brytyjczycy wiedzą niewiele.

Z końcem lata skończyły się złudzenia. Gazety krzyczały, że Hitler nie odpuści i że trzeba się przygotować na najgorsze. Po napaści Niemiec na Polskę organizatorzy odwołali zaplanowane na połowę miesiąca zawody motocyklowe z serii Manx Grand Prix. Na kilka tygodni wstrzymano też większość połączeń promowych i samolotowych z wyspy i na wyspę. Co bitniejsi chłopcy zaciągali się do armii. Rozumiano, że bolesne konsekwencje wojny (głównie ekonomiczne) mogłyby bez problemu osiągnąć także tego skrawka lądu. Chyba że... Przecież wyspa już raz świetnie sprawdziła się jako miejsce internowania.

„Mamy w tym względzie cenne doświadczenia i warunki, których nie przebije żadne inne miejsce” – przekonywali wyspiarze londyńskich ministrów.

Tym razem chodziło nie tylko o dawnych imigrantów z Niemiec, Austrii czy Włoch, którzy mieszkali w Wielkiej Brytanii, ale w większej mierze o niedawnych uciekinierów z Rzeszy. Po

dojściu Hitlera do władzy ponad trzysta tysięcy Żydów – przerażonych „nocą kryształową”, pogromami, ustawami norymberskimi i innymi formami prześladowań – uciekło do Palestyny, Stanów Zjednoczonych i na zachód Europy. Uciekali też Żydzi z Polski i innych krajów regionu, bo czuli, że nie są tam bezpieczni. Do Londynu oraz innych miast Anglii, Walii i Szkocji dotarło sześćdziesiąt tysięcy uchodźców. Po wybuchu wojny władze brytyjskie uznały ich wszystkich za element potencjalnie niebezpieczny, który należy odizolować. Cudzoziemcy znów zyskali przydatny propagandowo przydomek: wrodzy.

Specjalne komisje rozsiane po kraju, bez wyraźnych wytycznych i przeszkolenia, kategoryzowały wszystkich obywateli Niemiec i Austrii, mężczyzn i kobiety: robotników budowlanych, studentów, lekarzy, profesorów, artystów, prawników, fryzjerów, kucharzy, kelnerów...

A – osoba stanowi potencjalne zagrożenie, internować natychmiast,

B – istnieje prawdopodobieństwo, że osoba może się okazać niebezpieczna; na chwilę obecną może pozostać na wolności,

C – osoba nie stanowi żadnego zagrożenia.

Wyrok zapadał w oparciu o kryteria

subiektywne: londyńskie A mogło się równać B w Liverpoolu, a nawet C w Belfaście. I na odwrót.

Chaos powiększył się, gdy w maju 1940 roku Hitler zaatakował Luksemburg, Holandię i Belgię oraz gdy do wojny włączył się Mussolini. Przesłuchania bywały farsą, zastępowały je hurtowe zatrzymania i aresztowania. Dziesiątki tysięcy Włochów i Niemców w wieku między szesnaście a sześćdziesiąt lat stały się wrogami z automatu. Wszystkich ich należało jak najszybciej internować.

Rząd w Londynie zgadza się, by na wyspie Man powstały obozy, i przeznaczają na ten cel spore fundusze, z których część trafi bezpośrednio do kieszeni hotelarzy i najemców prywatnych kwater, a także do rolników i rybaków, miejscowych lekarzy, piekarzy, szewców i robotników budowlanych.

Znów trzeba zamówić, dowieźć i rozwinąć setki, może nawet tysiące kilometrów drutu kolczastego, który wyznaczy granice dziesięciu obozów. Metalowa nitka rozwieszona na drewnianych palach tym razem jednak będzie odgradzać nie skupiska drewnianych baraków, jak podczas pierwszej wojny w Knockaloe, lecz całe dzielnice miast i wsi, bo internowani zajmą prywatne domy i hotele.

Dwudziestego pierwszego maja 1940 roku mieszkańcy szeregowych domów w Mooragh przy promenadzie w Ramsey dostają nakazy natychmiastowej eksmisji. I ani im w głowie protestować. Pakują co cenniejsze meble i sprzęty i ochoczo przenoszą się do krewnych lub przyjaciół, ciesząc się, że przy braku zwyczajnych turystów mogą choć trochę zarobić na tych przymusowych. Funt od osoby tygodniowo.

Dwudziestego siódmego maja przybywa pierwszy transport. Z pokładu „Księżnej Josephine Charlotte” do portu w Douglas schodzi ośmiuset dwudziestu trzech mężczyzn – młodzi i starzy „B”, którzy zajmą domy w Mooragh. Kolejni będą umieszczani w obozach w Douglas i Onchan.

Tysiące „A”, wśród których trafiali się zdeklarowani naziści i piewcy wielkości Hitlera, dotrą na wyspę kilka tygodni później, do obozu w Peel, na przeciwległym, zachodnim krańcu. Schodząc z pokładu, usłyszą na powitanie: Cholerni Niemcy! *Bloody Germans!* Pieprzeni naziści! Wojny wam się zachciało! Idźcie do diabła!

Południe wyspy – Port Erin i Port St. Mary – stanie się tymczasowym domem dla blisko czterech tysięcy kobiet. Niemki, Austriaczki i Włoszki, Żydówki i antysemitki, a także Brytyjki ożenione z Niemcami, Austriakami lub Włochami – w ich

wypadku internowanie będzie nieco mniej dojmujące: z godziną policyjną i posiłkami o wyznaczonej porze, ale również ze swobodą poruszania się, spacerowania, z możliwością korzystania ze sklepów i bibliotek.

W sumie prawie czternaście tysięcy osób. Zebranych dość przypadkowo, ale ze wspólnym mianownikiem – z dala od rodzin, od własnych dzieci, mężów lub żon, bez pewności, że mają się dobrze, że żyją, że jakimś cudem ich także wojna ominęła, oszczędziła, nie pochłonęła. Jak długo będą ich tu trzymać? Czy będą mieli do czego wrócić? Jak mają pokonać nieznośną nostalgię, strach i nudę? Przede wszystkim nudę.

Kobiety organizują się szybko i sprawnie. W kilka dni otwierają bibliotekę, warsztat krawiecki i stolarski, rękodzielniczy i kosmetyczny, a także kilka salonów fryzjerskich. Gdy na wyspę przyjadą ich dzieci (około pięćdziesięcioro), zarząd obozu pomoże założyć przedszkole i szkołę. Szybko ruszą zajęcia z angielskiego oraz wykłady z filozofii, historii i matematyki.

U mężczyzn podobnie. W każdym obozie powstawały otwarte uniwersytety z wykładami na najwyższym poziomie, między innymi z ekonomii, psychologii, matematyki, chemii, astronomii czy archeologii. Najbardziej uprzywilejowany pod tym

względem był obóz Hutchinson w Douglas, gdzie w jednym czasie przebywało około trzydziestu profesorów, a także cenieni malarze, pisarze i muzycy. Grały amatorskie teatry, a orkiestry dawały koncerty muzyki klasycznej. Korowody mężczyzn z krzesłami lub poduszkami mijały się między obozowymi budynkami każdego wieczora – ten wolał pójść na pogadankę o tresurze lwów, inny szedł pozować do portretu (dadaista Kurt Schwitters podczas internowania wyprodukował ich około dwustu), grupka archeologów amatorów wolała posłuchać o kolejnych sukcesach doktora Gerharda Bersu i jego żony Marii, którzy odkopali na wyspie trzy celtyckie chaty i fortyfikację z czasów wikingów.

W obozach regularnie wychodziły też gazety – najczęściej w formie miesięczników, bogato ilustrowane, często prześmiewcze, z informacjami na temat życia za kolczastym drutem i z analizami wydarzeń na wojnie. Internowani mężczyźni redagowali „Onchan Pioneer”, „The Camp” oraz „Sefton Review”, kobiety zaś, choć nigdy nie doprowadziły do faktycznego powstania własnej gazety, miały dla niej świetną nazwę „Awful Times”.

Mężczyźni mogli też naprawiać buty i zegarki, szyć ubrania, produkować meble i strzyc włosy.

Mogli również zgłaszać się do pracy na zewnątrz – pomagać farmerom w pracach polowych. Niemcy robili to jednak niechętnie, bo w żaden sposób, nawet poprzez zbieranie kartofli, nie chcieli ułatwiać życia wojennemu wrogowi.

– W Hillberry pracowali głównie Włosi – wspomina Dorothy. – Strażnicy przywozili ich małą ciężarówką prosto na pole. Niektórzy mówili z mocnym szkockim akcentem, bo całe lata przed wojną mieszkali w Glasgow. Moja matka czasami wynosiła im herbatę i domowe ciasto.

Szybko się okazało, że wśród internowanych w różnych miejscach na wyspie są rozdzielone małżeństwa. Około dwustu par. Żony w Port Erin lub Port St. Mary, mężowie w Douglas, Onchan albo Peel. W niektórych przypadkach rozłąka trwała już kilka dobrych miesięcy i nic nie zapowiadało jej końca. Do obozowych władz trafiały kolejne listy, petycje i prośby. Czy sam fakt uwięzienia nas nie wystarczy? Czy trzeba nas poddawać dodatkowym torturom?

Po raz pierwszy spotkanie rozdzielonych małżeństw zorganizowano pod koniec sierpnia 1940 roku. Dwieście kobiet – wystrojonych na miarę możliwości, umalowanych i uczesanych, przybyło do Douglas pociągiem. Mężowie oczekiwali ich w obszernej sali balowej hotelu

Derby Castle. Dano im zaledwie dwie godziny – w spotkaniu brali udział obozowi strażnicy w roli przyzwoitek i kilku reporterów lokalnych gazet. Ci ostatni, najwidoczniej poważnie wzruszeni, będą opisywać przebieg całego wydarzenia, używając takich zwrotów, jak łzy szczęścia i radości, padać sobie w objęcia, serca rozdierane żalem.

Dora Diamant razem z córką Marianną zostały tego wieczora w swoim pokoju. Mieszkały w hotelu Bradda Glen na terenie obozu w Port Erin. Mimo że Franz Kafka zmarł ponad szesnaście lat wcześniej, Dora nadal żyła niemal wyłącznie wspomnieniem ich romansu. Gdyby nie umarł na tę cholerną gruźlicę, gdyby wzięli ślub, gdyby jego też internowano, Dora mogłaby właśnie jechać na spotkanie z nim. Jak inne żony. Ona żoną formalnie nie była, ale z pewnością dałoby się coś zaaranżować. Mogłaby się ładniej ubrać, mogłaby zawieźć mu jakiś mały prezencik. Może on też miałby coś dla niej. To byłby wspaniały wieczór, może podobny do tych, które spędzali wspólnie w Graal Muritz, Berlinie czy Klosteneuburgu i zupełnie inny niż wszystkie pozostałe w ostatnich tygodniach, wypełnione monotonią i nudą.

Kiedy nie padało i nie wiało, Dora z córką i przyjaciółką Hanny spacerowały wzdłuż drutu

kolczastego w kierunku Bradda Head, schodziły na plażę lub przyglądały się biednym wystawom sklepów z butami i ubraniami. Razem brały też udział w organizowaniu pogadanek o żydowskiej muzyce i historii. Część wolnego czasu Dora poświęcała na pracę w obozowej kuchni, gdzie zarabiała sześć pensów dziennie. Dzięki kontaktom z innymi kucharkami miała dostęp do świeżych warzyw i owoców, które podkradała dla sześciolatniej Marianny. W przeciwieństwie do większości internowanych kobiet Dora nie narzekała na sytuację, w jakiej się znalazła. Uważała, że jest jej o niebo lepiej niż jej przyjaciółom i krewnym, o których los nieustannie się zamartwiała. Przecież czytała gazety i słuchała radia, wiedziała, co hitlerowcy wyprawiają z Żydami. Znała przynajmniej część prawdy.

Od czasu do czasu brytyjskie tabloidy przysyłały na wyspę reporterów, którzy z przekąsem pisali o niemal luksusowych – jak na wojnę – warunkach internowania. Racje żywnościowe dla uwięzionych były znacznie bardziej szczodre niż dla przeciętnych czytelników „Daily Mail”. Na wyspie nigdy nie brakowało mleka, masła czy chleba, podobnie było z mięsem i rybami, z warzywami i owocami. W każdym obozie działała przychodnia

medyczna i miniszpital. Lekarze rodzinni podczas codziennych dyżurów za drutem kolczastym przy trudniejszych rozpoznaniach mogli liczyć na natychmiastową konsultację – wśród internowanych było około dwustu żydowskich lekarzy specjalistów, między innymi chirurdzy, kardiolodzy, psychiatrzy i neurologi, pneumolodzy czy pediatri. Gruźlicę leczono w sanatorium w Ramsey, a pacjentów z depresją lub innymi zaburzeniami psychicznymi umieszczano w szpitalu dla nerwowo chorych Ballamona na południu wyspy (przez Ballamonę – do dziś pozostającą synonimem „wariatkowa” – przeszło w sumie kilkaset internowanych mężczyzn i kobiet). Ci zdrowsi chętnie grali w piłkę nożną i w boule, a ci odważniejsi przy sprzyjającej pogodzie chodzili pływać.

W obozowej „sielance” zdarzały się także kłótnie i bójki – zarówno o rzeczy, jak i idee. Karano za nie odosobnieniem (izolacja mogła trwać nawet dwadzieścia osiem dni). Zdarzały się próby ucieczki (udaremniono pięćdziesiąt osiem) i samobójstwa (najczęściej poprzez skok z wysokiego klifu na skały). Powody mogły być najróżniejsze: złe, najgorsze wieści z domu, nieleczona depresja, kolejna odmowa ze strony komisji, która

rozstrzygała podania o uwolnienie lub repatriację.

Dla wielu internowanych wyspa Man stanowiła azyl, o który nigdy nie prosili. Dawała przymusowe schronienie, za które płaciło się ubezwłasnowolnieniem, bezsilnością, strachem. Trzeba było umieć się nie udławić, gdy podczas kolacji powietrze rozrywały odgłosy syren alarmujących o nalotach w Liverpoolu czy Manchesterze. Przy bezchmurnym niebie dało się nawet dostrzec płonące w oddaleniu miasta.

Podczas wojny na wyspę spadło w sumie sześć bomb, w tym dwie zapalające – zrzucił je niemiecki pilot, który wracał z akcji nad Liverpooliem. Prawdopodobnie uciekał przed angielskim myśliwcem i chciał się pozbyć balastu. Bomby wyłobily głębokie kraterzy na porośniętym wrzosami zboczu jednego ze wzgórz na północy wyspy. Nie zginął nikt poza... żabą, która się usmażyła, gdy po wybuchu ładunku zajęła się trawa. Żaba miała niecałe czternaście centymetrów długości. Jako pierwsza śmiertelna ofiara niemieckiego ataku trafiła do Manx Museum w Douglas.

Dorothy dobrze pamięta tamtą noc dziewiętnastego września 1940 roku.

– Było tuż przed północą, gdy zerwaliśmy się z łóżek. Przerażeni i zdezorientowani. Zwierzęta

w stajni wyły wniebogłosy. Chwilę wcześniej fala uderzeniowa wytłukła wszystkie szyby w naszej oranżerii.

Z miesiąca na miesiąc liczba internowanych malała. Niektórzy dostawali zgodę na powrót do ojczyzny, inni potrafili udowodnić, że w gruncie rzeczy nie stanowią zagrożenia i zaliczają się do kategorii C, że uznano ich za B przez pomyłkę. Jako C mogli spokojnie przebywać na terenie Wielkiej Brytanii – jeśli wcześniej dowiedli, że mają zapewniony dach nad głową.

Z końcem 1944 roku z dziesięciu obozów działały już tylko cztery, „goszczące” niespełna półtora tysiąca mężczyzn i kobiet. Wyspa pożegnała ostatnich internowanych piątego września 1945 roku – tego dnia na prom w Douglas razem z matkami i ojcami wsiadało jedenaścioro dzieci poczętych i urodzonych za drutem kolczastym.

Po trzecim kieliszku sloe gin przyszła kolej na świąteczne babeczki – minced pies (z rodzynkami i mnóstwem korzennych przypraw) oraz na herbatę, którą Susan podała w kwietnych filiżankach. Dorothy zapaliła światło, bo na dworze zrobiło się już ciemno, i dołożyła do kominka, w którym drewno przyjemnie strzelało.

– Pewnej soboty niemal zostaliśmy przyłapani. Siedzieliśmy ze Stanisławem przy barze w którymś z pubów, rozmawialiśmy przy ciemnym piwie, gdy w drzwiach stanęło dwóch policjantów w mundurach. Jednym z nich był mój wujek. W tamtych czasach policja patrolowała wszystkie puby i restauracje z dansingami, żeby się upewnić, że nie dochodzi do rozrób. Gdy zbliżali się do nas, przytuliłam się do Stanisława, który – biedny – nie rozumiał, co się dzieje. Wujek mógł widzieć jedynie tył mojej głowy. Szybko się stamtąd ulotniliśmy i poszliśmy potańczyć.

– Był dobrym tancerzem?

– Skądże! Nie miał pojęcia o tańcu. Nie odróżniał walca od fokstrota, dlatego najczęściej po prostu bujaliśmy się w rytm muzyki. Poza tą ostatnią sobotą, kiedy musieliśmy się pożegnać, bo za kilka dni miał opuścić wyspę. Tego dnia w ogóle nie tańczyliśmy. Oboje byliśmy bardzo smutni. Opowiadał mi wtedy o swoim domu, o rodzicach, o Polsce, którą najpierw napadli Niemcy, a chwilę później Rosjanie. Mówił, że po wojnie chce wrócić, choć obawiał się, że nie będzie miał do czego. Nie pamiętam, skąd pochodził, raczej nie z Warszawy, bo myślę, że Warszawę bym zapamiętała. To był koniec listopada, w grudniu przysłał mi jeszcze kartkę z życzeniami świątecznymi.

– Zachowałaś ją może?

– Niestety nie, choć zamierzałam. Po Stanisławie długo nie spotkałam nikogo, z kim chciałabym się związać na stałe. Wyszłam za męża, dopiero gdy miałam trzydzieści lat, a i wtedy nie byłam pewna, że robię to z miłości. Susan, rozmawialiśmy już o tym, prawda? Pojechaliśmy z twoim ojcem w podróż poślubną, a gdy wróciliśmy, kartki od Stanisława już nie było. Musiała ją wyrzucić moja mama. Nie wiem, czy zrobiła to przez przypadek, czy celowo.

Zanim dopiję herbatę i wyjdę, Dorothy opowie mi jeszcze o dwóch młodych Polakach, których niedawno zatrudniła po znajomości do odmalowania domu („bardzo przyjemni i niezwykle pracowici”), o tym, że jest wierną fanką wyścigów motocyklowych („kiedyś co roku na żywo obserwowałam nie tylko wyścigi TT, ale także sesje treningowe, teraz słucham relacji w Manx Radio”), o tym, że jej przodkowie ze strony ojca najpewniej byli wikingami z terenu dzisiejszej Norwegii, o tym, jak kilka lat temu obie z córką zapisały się na lekcje języka manx.

– Uczył nas Brian Stowell.

– Doktor Brian Stowell – poprawi matkę Susan.

– Koniecznie musisz go poznać. Niesamowity człowiek. Może ci opowiedzieć mnóstwo ciekawych

historii.

– Brian z wykształcenia jest fizykiem, pracował w Liverpoolu.

– Języka nauczył się jeszcze jako młody chłopak, a po powrocie na wyspę zajął się nim na poważnie. Przetłumaczył na manx kilka książek, napisał podręcznik. Był pierwszym oficerem językowym z ramienia rządu i miał za zadanie sprawić, że ludzie znów zaczną się uczyć miejscowego języka, który od lat wymierał.

– Brian i Paul byli przyjaciółmi.

– Paul Lebedziński – wyjaśni Dorothy, widząc zdziwienie na mojej twarzy – poeta z Ramsey, którego ojciec był Polakiem. Wspominałam ci o nim w liście.



Powrotna podróż autobusem z dalekiej północy do Port St. Mary, z przesiadką, w siąpiącym deszczu, który dodatkowo spowalniał jazdę, zajęła mi równe półtorej godziny.

Na trzy dni znikają chmury, ustają wichry, ziemia paruje. Niebo znów jest jasnoniebieskie. Słońce świeci ostro, ale nie ogrzewa. Nadal jest dość chłodno. Pogodowy kaprys, grudniowy żart, chwila moment i znów będzie szaruga, znów sztormy i ulewy.

Przy śniadaniu Sian pomstuje na ludzi, że choć wiedzą, że nie powinni, to i tak zdejmują czapki, zamieniają kurtki zimowe na jesienne, a kozaki na trampki. Niektórzy nawet kupują lody – możliwe, że w dodatku przeterminowane. No poszaleli! Jak nic będą z tego przeziębienia i różne zapalenia, a może i zatrucia.

Mam się koniecznie ciepło ubrać, zanim wyjdę z domu. I żadnych lodów! To nie są żarty – przestrzega mnie Sian.

Po spacerze siadam z kawą na plaży w Port Erin. Ze wszystkich plaż na wyspie ją lubię najbardziej. Marznę w ręce i uszy, ale nie ruszam się, chcę dociągnąć do końca jedno wspomnienie.



Sierpień 2005. Nasze pierwsze lato na wyspie. Niespotykane upały utrzymują się przez kilka tygodni. Nawet Phylis – najstarsza z kobiet w małżowni – nie pamięta takich temperatur. Nie pada, nie wieje. Dni trwają w nieskończoność. Plaża w Port Erin jak Copacabana. Ludzie urządzą sobie na niej całodzienne i całorodzinne pikniki. Młodsze dzieciaki pluskają się w zimnym morzu, te starsze i odważniejsze biorą długi rozbieg i krzyczą, skacząc z pirsu na bombę. W pubach przy promenadzie serwują piwo na wynos w plastikowych kubkach, w sklepach zaczyna brakować lodów. Miejscowy „Courier”, rozdawany bezpłatnie co czwartek, radzi, jak zapobiegać

słonecznym poparzeniom.

My też pędzimy na plażę – prosto z pracy – rozprostować zbolące plecy na kocu, przesiewać w dłoniach ciepły piasek, który rozgrzewa zmęczone palce. Morze jest spokojne, miarowo szmerze. Zасыpiamy i bywa, że śpimy aż do późnego zachodu słońca. Wstajemy lekko zmarznięci, zdezorientowani, zamgleni, jakby naćpani. To przez zmęczenie. Wleczeni się do wynajmowanych pokoi w Erin House jak zombie.

Wszyscy mieszkaliśmy wtedy u Belindy. Płaciliśmy jej po pięćdziesiąt funtów za tydzień od osoby. W małżowni zarabialiśmy więcej w jeden dzień.

Dom był potężny, wolno stojący, w stylu wiktoriańskim, z białą chropowatą elewacją, stary, wymagający natychmiastowego remontu. Kiedyś ponoć mieścił się tam ośrodek opieki dla starych ludzi.

– Bardziej hospicjum – twierdziła Shirley. – Ludzi wnoszono na wózkach, wynoszono na noszach. Dobrze te czasy pamiętam.

W końcu zamknęli ośrodek, a dom wystawili na sprzedaż. Belinda akurat wygrała większą sumę w kasynie i zanim szczęście ją opuściło, kupiła Erin House. Liczyła, że wyremontuje go za kolejne wygrane pieniądze. Jej mąż Tom – mechanik

pracujący na tankowcach – nie miał w tej decyzji udziału, pływał akurat gdzieś pomiędzy Grenadą a Arubą. Ale nawet gdyby był na miejscu, miałby niewiele do powiedzenia. W ich małżeństwie to Belinda rozdawała karty – zdążył się z tym pogodzić, choć był to proces trudny i bolesny. Nie taką Belinę ćwierć wieku wcześniej przywiózł sobie z Hongkongu, nie z taką się żenił, nie w takim babsku kiedyś się zakochał. Nigdy nie nauczyła się dobrze mówić po angielsku – zamiast zdań używała pojedynczych słów, zwykle czasowników. Rzuciła je w powietrze, oczekując, że człowiek domyśli się podmiotu i dopełnienia. Niecierpliwiła się, gdy reakcja była zbyt wolna. Nosila krótkie dzinsowe szorty, odsłaniające mocno pomarszczoną skórę całkiem zgrabnych ud. Do tego bluzki na ramiączkach, duże, staromodne okulary i nieodłączny papieros w ustach. Czarne, gęste włosy, miejscami siwiejące, w nieładzie. Wyspa ją nudziła. Belinda nie miała przyjaciół. Zamknęła się w sobie, zgorzkniała. Tom też nie był najlepszym mężem – czasami i osiem miesięcy potrafił spędzić na morzu. Kiedyś jeszcze się starał, pisał do niej listy z kolejnych portów, przywoził prezenty – egzotyczne smakołyki, biżuterię, sukienki, niby dziękowała, ale nawet nie próbowała udawać radości. A kiedy zaczął się cały

ten hazard, całkiem stracił dla niej serce. Serce, cierpliwość i zrozumienie. Kłótnie i groźby nic nie dawały. Oboje uważali jednak, że są za starzy na rozwód. W Erin House mają na parterze dwie osobne sypialnie.

Wchodzących do Erin House uderza specyficzny smrodek – mieszanka kurzu zalegającego w zagrzybiałych dywanach, wilgoci, tanich papierosów i potu, którego nie zmywają z siebie Angus i Finbar – nasi sąsiedzi z pierwszego piętra. Obaj są serdeczni i mili, chcą się zakolegować. Przy każdej możliwej okazji pytają o Polskę, proponują po szklaneczce whisky i zapraszają na degustację do swoich pokoi – ciemnych, niewietrzonych jam, przeraźliwie cuchnących. Czasami częstujemy jednego albo drugiego obiadem, czasami jeden albo drugi poczętuje się sam, po cichutku, bez pytania.

Gdy wracamy z plaży, nadal jest jasno, choć zbliża się dziewiąta. Jeszcze tyle mamy do zrobienia. Trzeba zmyć z siebie maźlowy odór, wyprać śmierdzące ciuchy (ręcznie, bo pralka zepsuta – Belinda codziennie obiecuje, że sprowadzi mechanika), ugotować kolację. Kto pierwszy do wanny, ten lepszy. Jest nas ośmioro, a łazienka jedna.

W kuchni na parterze też obowiązuje kolejka: do patelni, garnków, deficytowych noży, do kuchenki

gazowej i mikrofalówki. Najbardziej wkurza niedostatek talerzy – żarcie gotowe, otwierasz szafkę, a tam pusto. Trzeba iść po ludziach, którzy chomikują talerze w pokojach, i się upominać. Belinda wścieka się na nas z tego powodu – wieszka na drzwiach komunikaty przetłumaczone za pomocą internetu:

Proszę, przynieś z powrotem talerze po jadłeś. To nie jest wszystko w porządku, by utrzymać je w swoim pokoju. Zasada jest taka: przynieś talerz w dół, umyć go i umieścić w szafce na sucho. Twoja gospodyni, pozdrawiam was.

Nasza odpowiedź:

Zrobiliśmy inwentaryzację. W domu mieszka czternaście osób. Talerzy głębokich jest siedem, płytkich i deserowych po dziewięć. Liczba misek – cztery. Sugerujemy jak najszybsze dokupienie brakujących naczyń. Twój lokatorzy, pozdrawiamy Cię.

PS I zrób coś, prosimy, z tymi myszami, bo nas wszystkich zjedzą i bez talerzy.

Gryzonie panoszą się po kuchni – urządziły sobie system korytarzy za meblami, przegryzły dykty na tyłach szafek, więc mają niemal nieograniczony dostęp do wszystkiego, co w nich upchane. Słyszą, jak chroboczą. Bywa, że jedna albo druga urządzi sobie slalom między naszymi

podskakującymi nogami, wśród krzyków, pisków i przekleństw.

Belinda wypowiada myszom wojnę. Rozstawia na meblach łapki. Jako przynęty używa: czekolady, truskawek, gotowanego ziemniaka.

W kuchni brakuje także stołu, a w całym domu osobnej jadalni, więc albo jemy, siedząc na podłodze, opierając się o szafki, albo idziemy z talerzami do salonu na piętrze.

Rozmawiamy przez chwilę o zbliżających się wyborach, że szkoda, że nas nie będzie w Polsce i nie zagłosujemy. Ech, trudno. Nie nasza wina. Może trochę nasza – tych wszystkich młodych, którzy ponadmilionową falą włąli się do Anglii, Walii, Szkocji, obu Irlandii, na Wyspy Normandzkie i wyspę Man? Nie, nie nasza. Nie wyjeżdżalibyśmy z Polski, gdyby można w niej było zarobić. Dlaczego mielibyśmy nie korzystać, skoro tu wszędzie pracy jest od groma? I choćby najgorsza, za minimalną stawkę, to gwarantuje człowiekowi godne życie, godne i wygodne – bez zamartwiania się, bez pożyczania od rodziny i znajomych, bez wiecznych kredytów, bez wyrzucania sobie nawet najmniejszej rozrzutności, za to z zachciankami, kolacjami na mieście, z firmowymi ciuchami, z cyfrówkami, laptopami, z konsumpcyjną czelnością.

Gdy po okresie próbnym w małżowni dzwoniłiśmy do domów, pochwalić się wrażeniami i pierwszym zarobkiem, wstyd było się przyznać, że tygodniówkę mamy tłustszą niż polskie emerytury, niż miesięczne pensje niektórych rodziców. Baliśmy się, co sobie pomyślą – że albo z nich są życiowe niedojdy, albo ich państwo jest już całkiem nie do życia.

Wszystko jest dla nas nowe, intrygujące, zastanawiające. Reagujemy, rozdziawiając gęby, kręcąc głowami. Niektórzy z nas mają frajdę z inności, cieszy nas ona i fascynuje, szybko do niej przywykniemy. Ale są i tacy – na wyspie nieco dłużej niż my, których będziemy poznawać, gdy zwolnią się ze swoich miejsc pracy i przyjdą na chwilę do małżowni, na przeczekanie – którzy z innością mają stały problem. Nigdy nie pozbędą się tych pierwszych zdziwień, nie zmierzają się z innymi zasadami – nie wypiją herbaty z mlekiem, nie zjedzą naleśników skropionych sokiem z cytryny i posypanych cukrem. Będą tęsknić za polskim chlebem i pierogami, jakby życie bez nich było gorsze, mniej warte. Nigdy Polski nie zdradzą! Tak im dopomóż Bóg i orzeł biały! Każde zdanie będą zaczynać od „in Poland”.

In Poland mamy cztery pory roku, prawdziwe, że wiesz, kiedy się kończą i kiedy zaczynają, i lasy

mamy, że hej, nie to, co tu – zagajniki.

In Poland święta trwają trzy dni, obchodzimy Wigilię, której wy w ogóle nie znacie, i mamy dwanaście potraw. Oczywiście, że kobietom się chce to wszystko gotować.

In Poland taką mamy tradycję – a nie, jak u was w Anglii, upieczecie indyka i zadowoleni.

In Poland mamy w łazienkach kafelki na podłodze, a nie chodniki, kto to widział mokrą nogą stawać na dywan!

In Poland dom to jest dom – nie ma wilgoci, grzyba, ściany mamy jak w bunkrach.

In Poland is beautiful...

To imigranci narodowcy. Po roku, dwóch, trzech spakują się i wyprowadzą, zamkną konto w banku, oszczędności na drogę zaszyją w kieszeniach spodni, tanimi liniami wrócą do Polski i... będą opowiadać o wyspie jak o rajcu utraconym.

Więc praca. Opowiadamy sobie, co kto w ciągu dnia widział, co kto usłyszał, co kto powiedział przy różnych stołach w małżowni. Zdajemy sobie dokładne relacje, by jakoś lepiej się umiejscowić, zrozumieć tę nową dla nas sytuację. Znamy już drogę do fabryki i rozkład autobusów do Douglas, wiemy, gdzie supermarket, gdzie jaki pub, gdzie poczta, zaczynamy kumać przypływy i odpływy, ale to tylko marne pozory obeznania. Jesteśmy jak

rozbitkowie. Brakuje nam wiedzy o historii wyspy i jej właściwościach. Nie wiemy nic o tym małym, dumnym narodzie, o tutejszych ludziach. Gdyby jakimś cudem zrozumieli, że mówimy o nich zbiorczo „Anglicy”, przestaliby z nami rozmawiać.

Naszymi przewodniczkami po tym nieznanym świecie są kobiety, z którymi pracujemy w małżowni: Shirley, Tracy, Phylis, Trudy, Allwyn. Słuchamy ich jak wieszczek. Prosimy, by mówiły wolniej, łatwiejszym angielskim, żeby nic nam nie uciekło i żeby nas koniecznie poprawiały, kiedy sami mówimy z błędami.

Taka Trudy, która wysoko upina swoje natapirowane blond włosy, wygląda jak gwiazda serialu telewizyjnego z lat osiemdziesiątych. Szczupła, wyprostowana, z twarzą mocno już pomarszczoną, ponadsześćdziesięcioletnią, ale nadal piękną, opaloną. W kieszeni zielonego fartucha trzyma pudrowe miętówki i częstuje nimi wszystkich, których mija, gdy wraca z przerwy na papierosa. Zawsze umalowana, z różowymi ustami i pachnąca. Na muszelkach siedzi już ponad dwadzieścia lat. Wypracowała w tym czasie własną technikę wycinania małży – nikt inny nie robi tego jedną ręką, nikt nawet nie próbuje.

Trudy ma troje dzieci, dziewięcioro wnucząt, a już niedługo zostanie prababcią.

– Prababcią? – dziwimy się. – Jesteś za młoda na prababcię.

– Moja wnuczka ma szesnaście lat, jest w czwartym miesiącu ciąży. Trochę się pospieszyła, jak ja kiedyś. Ale kiedyś to były inne czasy. – Trudy przyznaje, że na wyspie jest dużo młodych matek, za dużo i za młodych. – Nie chce im się uczyć i pracować, więc zachodzą w ciążę, bo wiedzą, że od razu dostaną dom albo przyzwoite mieszkanie i porządny zasiłek. O ojca dla dziecka nietrudno – wystarczy byle szkolny kolega. Dziewczyny chcą jak najszybciej wyprowadzić się od rodziców. Nie wychodzą za mąż, bo im się nie opłaca – pieniądze dla samotnej matki są dużo większe niż dla mężatki, szczególnie jeśli nie pracuje. A przecież mogłaby – pracy na wyspie jest dużo, nawet dla takich niewykształconych, bez zawodu – choćby tu na muszelki by przyszła, na kasie w sklepie usiadła, w restauracji jako kelnerka. Ale po co, skoro na benefitach dostanie prawie tyle samo, ile by zarobiła. Te dziewczuchy są niedojrzałe, niezaradne. Zupy taka nie ugotuje, ryby z frytkami nie usmaży – woli iść cała wypindrzona do supermarketu i kupić gotowe dania. A niech przyjdzie piątek, niech sobota – do pubu musi wyjść i nie ma gadania. Napić się, zabawić, poplotkować, kto z kim. To normalne

u dziewczyn w tym wieku. Parę takich weekendów i kolejne dziecko w drodze – z kim innym. I znów bez ślubu. Za dwoje dzieci pieniądze są jeszcze większe, a przy trojgu to już naprawdę można żyć bardzo wygodnie. Alimenty też bardziej się opłaca brać od trzech ojców niż od jednego.

Trudy snuła swoją opowieść, nie przerywając pracy, nie patrząc nawet na kolejne chwytane muszelki.

Przy stole na drugim końcu sali Shirley śmieje się z moich odcisków.

– Bolał paluszki? Wszyscy przez to przechodziliśmy, prawda? – zwraca się do siedzącej obok Allwyn.

Allwyn przytakuje, rzucając mi serdeczne spojrzenie zza okularów, które obsunęły się jej na czubek nosa.

– Zaczekaj do zimy, jak będą skalopy – ciągnie Shirley – będziesz miał odciski na pół dłoni. Ten jeden bąbel to nic. W kantynie jest moja torebka, wyjmij z niej zieloną taśmę izolacyjną, urwij kawałek i owiń wokół palca.

Kiedy wrócę do stołu, Shirley raz jeszcze uśmiechnie się pod nosem. Ale bez złośliwości. Lubimy się. Pyta, czy mamy w Polsce *Big Brothera*, czy oglądam angielskiego. Tak? To świetnie, bo

ona uwielbia. A czy widziałem, jaką szopkę w pokoju zwierzeń odstawiła wczoraj ta chuda Nicky.

– *What a fucking idiot she is!*

Shirley i Phylis to córka i matka. Pracują przy innych stołach, bywają dni, że w ogóle ze sobą nie rozmawiają, a jeśli już, to bez żadnych czułości, bez całusa czy choćby poklepania po ramieniu. Czasami Shirley, wracając z przerwy, zatrzyma się przy swojej starej matce i szepnie jej coś do ucha, później obie pokiwiają głowami. Tyle. Nie są nawet do siebie podobne.

Phylis dobija osiemdziesiątki. Jest siwiuteńka i mocno pomarszczona. Dobrze pamięta czasy wojny, kiedy wyspa przemieniła się w wielki obóz internowania. Jako mała dziewczynka obserwowała kobiety, które wysiadały na peronie w Port Erin – zmęczone podróżą, przestraszone, smutne. Nowo przybyłe szybko wyczyściły sklepowe półki – kupowały, co się dało, chcąc przygotować się na każdą ewentualność. Oblegały miejscową pocztę, kościół Świętej Katarzyny i małą lokalną bibliotekę. W gorące dni beztrudnie plażowały, niektóre – o zgrozo – topless! Phylis opowiada nam o tym wszystkim podczas śniadaniowych przerw w kantine.

Jest wysoka, szczupła, dziarska, lecz coraz

bardziej przygarbiona. Szybko chodzi i głośno mówi. Ma klucze do fabryki i z tej racji zawsze zjawia się pierwsza. Sypie do kubków kawę, przynosi mleko z chłodni, rozstawia na stołach miski i przygotowuje nam wszystkim fartuchy. Wertuje książkę rozładunkową i przez wielgachne okulary w białych plastikowych oprawkach stara się dojrzeć, ile worków będzie danego dnia do zrobienia. Jest lekko przygłucha i coraz gorzej widzi. Co najmniej trzy razy musi celować nożykiem w małżowy otwór, a przez to nie jest w stanie wyskubać nawet dwudziestu kilogramów dziennie, choć kiedyś dałaby radę i sześćdziesiąt. A i jej małże nie są już pierwszej jakości: pocięte, porozrywane, brudne, często opatrzone flakami. Lubi sobie ponarzekać – z byle powodu: kiedy towar jest nie najlepszy, kiedy chmury zbyt czarne, kiedy zabraknie w kantynie cukru. Kręci wtedy głową i powtarza „totalnie niedorzeczne”.

Mieszkają z Shirley kilka numerów od siebie, przy tej samej ulicy, w małych socjalnych domkach w Port St. Mary. Obok stoją podobne domy Allwyn i Tracy. Trudy mieszka w Port Erin.

Shirley ma ciemne, gęste włosy do ramion, ziemistą, papierosową cerę i nieładne, nadpsute zęby (na jesieni robi z nimi porządek, podczas wakacji w Indiach; wróci odmieniona, opalona

i uśmiechnięta).

Zaniedbane zęby to dość powszechna udręka na bogatej wyspie. Dostać się do dentysty w państwowym ośrodku jest trudniej niż w Polsce – czeka się dłużej i można liczyć co najwyżej na czarną plombę lub na wyrwanie. Prywatnych gabinetów działa sporo, ale ceny mają z kosmosu – że za drogo, mówi nawet porządna klasa średnia: menedżerowie, ubezpieczeniowcy, panowie w garniturach i panie w garsonkach, adwokaci, księgowi, wszyscy ci podatkowi i biznesowi czarodzieje, którzy kompleksowo obsługują „firmy krzaki”, „firmy przekręty”, szemrane spółki przeniesione do raju podatkowego z krajów-nierajów. Nawet dla nich czterysta funtów za leczenie kanałowe jednego zęba to stawka totalnie niedorzeczna. Co w takim razie ma powiedzieć klasa robotnicza, która, owszem, żyje wygodnie, której nie brakuje do pierwszego, która nawet zaoszczędzi na wakacje w tropikach raz do roku, ale dentysty w bieżących wydatkach nie uwzględnia? A co, jeśli psują się dwa zęby naraz, a jeśli ubytków jest od razu cztery, a jeśli w grę wchodzi mostek, licówka, implant? Lepiej polecieć na weekend do Krakowa lub Wrocławia albo załatwić problem na wczasach *all inclusive* w Indiach lub na Teneryfie.

Shirley ma ładny, głęboki, lekko zachrypnięty głos. Mówi śpiewnie, zabawnie wydłużając niemal każde *hello, all right, see you later*. Dużo pali – stąd papierosowy, mokry kaszel, który dopada ją zawsze, gdy się śmieje. Lubi plotki. Kiedy chce mi jakąś powiedzieć, nachyla się nad stołem i rzuca w moją stronę muszelkę.

Z Allwyn lubią się tak sobie. Mają zupełnie różne temperamenty. Gdy jedna idzie na kawę, zawsze proponuje też drugiej, choć raczej z nadzieją, że tamta odmówi. Od lat pracują przy jednym stole, od dziesięcioleci są bliskimi sąsiadkami. Są dla siebie uprzejme, koleżeńskie, ale przyjaźnić się nie muszą. Allwyn jest dla Shirley zbyt stateczna, żeby nie powiedzieć nudna. Nie chodzi do pubów, niemal nie pije alkoholu. Ma męża i szczęśliwą rodzinę, trójkę dzieci i troje wnucząt. Codziennie gotuje obiad, co sobotę piecze ciasto. Na urlop wyjeżdża do... Ramsey.

– Do Ramsey! Dasz wiarę? – szepcze Shirley. – Pojechali z Jeffem do Ramsey! Tydzień w wynajętym kamperze! *Jesus fucking Christ!* – Shirley i Tracy, pracująca przy sąsiednim stole, nie wyobrażają sobie wakacji na wyspie. Traktują urlopy jak ucieczki, jak turnusy rehabilitacyjne – im dalej i dłużej, tym lepiej. Obie ukochały sobie Indie, choć Tracy, będąc tam, za każdym razem

zapada na niezbyt żołądkowo-jelitowy.

– Nie masz pojęcia – opowiada w kantine – ile z człowieka może wyciec, czego i skąd. *You have no idea.*

Mąż Allwyn, Jeff, jest starszy od niej o co najmniej dekadę. Od dawna na emeryturze, ale nadal w świetnej formie. Przez wiele lat startował w Parish Walk – corocznych chodziarskich zawodach dookoła wyspy. Mało komu udaje się przejść całą trasę – sto trzydzieści siedem kilometrów. Jeffowi udawało się wielokrotnie. On też wydawał się Shirley nudziarzem.

– Co to za facet, co się w pubie piwa nie napije? Jest za spokojny, Allwyn go zagłaskała. Trenuje sobie to chodzenie, trzyma dietę, no dobrze, niech sobie trzyma, ale żeby tak z własnej woli pozbawiać się wszelkich przyjemności? Widziałeś mój ogródek? Widziałeś. Zarośnięty. OK. Widziałeś ich? Nie? To żałuj! Trawa przystrzyżona, ścieżka równa jak od linijki, hodują marchewkę, ziemniaki, zioła. I to on się wszystkim zajmuje. No złoty człowiek, ale nudny, że hej!

Shirley za jakiś czas zmieni zdanie o Jeffie – po tym, jak w wieku siedemdziesięciu trzech lat zdecyduje się oddać nerkę młodemu chłopakowi w potrzebie.

– *What a man!* – będzie powtarzać, kiwając

głową z niedowierzaniem. – *What a beautiful, beautiful man!* Ty byś oddał? Bo ja nie. Chyba że swoim dzieciom, ale najpierw musiałyby mi obiecać, że się poprawią, usamodzielnią i wyprowadzą z domu i że się będą mną na starość opiekować. *What a man!*

Podczas pierwszych tygodni w małżowni Shirley nauczyła mnie wszystkich przydatnych przekleństw, wytłumaczyła, co to *bru* (kawa, herbata), co *fag* (szlug), że *tea* po angielsku to nie tylko herbata, ale też kolacja. Próbowwała nauczyć przydatnych idiomów oraz poprawniejszej wymowy słów *sheep and ship* oraz *bitch and beach*. Pokazała, jak prawidłowo trzymać nożyk, jakim ruchem najlepiej otwierać muszle, jak wycinać flaki. Doradziła, żeby z zakupami w Shoprajcie czekać do siedemnastej, bo wtedy przeceniają warzywa, owoce i mięso. Opowiedziała o tipie, miejscowej graciarni, gdzie ludzie wyrzucają niepotrzebne sprzęty, często całkiem sprawne – możemy sobie stamtąd przytargać pralkę, skoro mówimy, że Belinda nie chce naprawić, albo brakujące naczynia – talerze, filiżanki.

Również dzięki Shirley w pewne sobotnie przedpołudnie poznałem nędzny smak musującego lambrini.

Mieliśmy za sobą tydzień naprawdę ciężkiej

harówki. Pogoda była bez zarzutu, rybacy wypływali codziennie i wracali z pełnym ładunkiem. Przerabialiśmy po sto pięćdziesiąt worków muszelek. Każdego dnia śrubowaliśmy wagowe rekordy. Shirley i Tracy czyściły po sześćdziesiąt kilogramów, nie rezygnując specjalnie z częstych przerw na papierosa lub kawę. Ja byłem szczęśliwy, jeśli dobiłem do czterdziestu pięciu kilogramów. Nie dostawałem już pęcherzy, ale dłonie bolały mnie bez przerwy – w palcach czułem nieustające ani na chwilę mrowienie, jakbym je sobie podłączył do źródła prądu o niskim napięciu. Bruno ubłagał nas, byśmy przyszli jeszcze w sobotę, chociaż na cztery godzinki. Zależy mu, bo ma wielkie zamówienie z Belgii, które musi być gotowe na poniedziałek rano. Zgodziliśmy się, kiedy obiecał premię. Robota szła sprawnie, choć całotygodniowe zmęczenie wszystkich nas spowalniało. Shirley zapowiadała *mega out* w Port Erin. Już się nie może doczekać. Umówiły się z Tracy. Co jak co, ale w tym tygodniu zasłużyły. Tak się napiją, że w niedzielę nie wstaną z łóżka. Może mamy ochotę się przyłączyć? Pewnie! – odpowiadam i mówię, że zapytam pozostałych. Rzucam w przestrzeń głośne zaproszenie, żeby je usłyszano przy wszystkich stołach. Ludzie odwracają się jak na komendę.

– Pewnie!

Shirley wybucha śmiechem.

– A może zaczniemy już teraz? Po pracy?

Patrzemy po sobie zdziwieni.

– *Why not?!*

Kończymy za kwadrans dwunasta. Ostatnie ważenie, zapisywanie, mycie fartuchów i misek. Mamy się przebrać i spotkać w kantine. Bruno już zdążył skoczyć do pobliskiego sklepu – kupił dwanaście butelek lambrini, chipsy i mleczne herbatniki. On także z nami usiądzie i wypije kubek wina. Pierwszy łyk taniego jabola powoduje u nas gęsią skórę, skrzywienie na twarzy i salwy śmiechu bardziej doświadczonych kobiet. Później idzie nam już lepiej. Jest wesoło, beztrosko, stadnie. Ktoś wygrzebuje z magazynku wysłużony magnetofon z kasetą. Lecą stare angielskie przeboje. Tańczymy do nich wariacko. Już nawet mi nie przeszkadza, że po pijaku wszyscy palą w kantine, choć na trzeźwo wszcząłbym awanturę albo przynajmniej otworzył okno i zrobił przeciąg. Co chwilę słyhać „cheers” i „sto lat”. Są objęcia i wyznania polsko-manxowskiej przyjaźni na wieki, międzynarodowa sztama. Kobiety się cieszą, że przyjechaliśmy – pracy jest dużo, wystarczy dla wszystkich. I że się umiemy napić, to ważne, i że Polska naprawdę weszła do Unii. No, no! Mieliśmy

odwagę, żeby tak do innego kraju za chlebem pojechać – ich dzieci powinny brać z nas przykład. Ale im się nie chce, mają tu za dobrze. I języków się nie uczą, też z lenistwa. A jaka jest w Polsce średnia krajowa? A ile kosztuje mieszkanie, a karton mleka, a paczka fajek? Tylko tyle? To może nam przywieziecie wagon albo dwa *next time*, jak będziecie wracać z urlopu? *Cheers, cheers!* Wasze zdrowie!

Po piętnastej kończy się alkohol i Shirley zarządza wyjście. Idziemy do niej – ma w lodówce trochę piwa, a jak nam zabraknie, wyśle syna do sklepu po więcej.

Następnego dnia będziemy próbowali sobie przypomnieć, jak wygląda salon Shirley (czy my na pewno u niej byliśmy?) i jak wróciliśmy do Erin House.

To pierwsze lato na wyspie było dla nas jak wakacyjny obóz. Mieliśmy wrażenie tymczasowości reguł, według których będziemy w najbliższym czasie żyć. Jakieś tam obowiązki niby są, ale co to za obowiązki w porównaniu z tymi, które się ma w prawdziwym życiu, to znaczy w Polsce. Śmiechu warte. Praca jak nie praca – łatwa, opłacalna, z poszanowaniem. Nawet się człowiek nie zdąży spocić, już przerwa na lunch, nawet się nie

obejrzy, już fajrant, a funty wpadają w kieszeń nie wiadomo skąd. W dodatku wszystko na legalu, z umową, z ubezpieczeniem. Ceny – jak najbardziej w zasięgu. Można sobie kupić ciuch, można obiad u Chińczyka, można tyle lodów, ile tylko będzie się w stanie zjeść, a nawet dużo więcej. Stać człowieka. I na karuzelę stać, i na watę cukrową. I na alkohol. Nie ma żadnej kontroli. Można robić, co się chce. Wakacje życia. Obóz sympatycznego przetrwania.

W piątkowe wieczory często jeździliśmy z Port Erin do Douglas, do Polaków, których poznawaliśmy w małżowni, lub do znajomych znajomych. Na imprezy w klubach albo domówki. Większość to byli wykształceni, fajni ludzie, ambitni, przedsiębiorczy, odważni, kandydaci i kandydatki na drużynowych, na team liderów, co będą biegać po obozie i zwoływać do apelu, a na chrzcie unikną wszelkich kompromitujących sytuacji. Ale byli też nefajni i głupi, prostaki, Polaki cebulaki. Trochę przestraszeni, zdezorientowani, nieobcy, na pierwszym obozie *ever*, po cichutku tęskniący za domem, za tą okrutną, ale oswojoną Polską.

Gdyby nie obóz, jedna grupa z drugą nigdy by się nie spotkały. Ludzie mijaliby się na ulicach, bez spojrzenia, pozdrowienia. Inne bajki, inne światy.

Ale na obozie dochodzi do dziwnych, niecodziennych mariaży. Ludzie dają sobie szansę. Każdy jest na równych prawach, współtworzy malutką Polonię, Polonijkę, na maleńkiej wyspie, z dala od Polski. To, że powstają nieoczekiwane, międzygrupowe przyjaźnie, to po części również wynik kalkulacji – bo ten na przykład umie to i to albo wie, co i jak, gdzie i kiedy, z kim za ile, po co i dlaczego tak, a nie tak, a nawet jeśli nie wie, to zna kogoś, kto wie. Ja też swoje wiem i potrafię, jak trzeba będzie, to wymienię wiedzę i umiejętności na to i owo za tyle a tyle, na pewno taniej niż miejscowi, pożałujcie Boże, eksperci. Trzeba sobie przecież pomagać, my Polacy.



Prawie wszyscy mieszkali wtedy na Empress Drive, przy promenadzie, w wynajmowanych pokojach u Johna. Gdyby nie kolejne turnusy Polaków, John musiałby zamknąć interes, sprzedać albo wyburzyć. Dłużej nie szło ciągnąć tego hotelu – nie hotelu. Tej nory. Wcześniejsza imigrancka klientela (RPA, Filipiny, Portugalia) wykruszała się. Biedni Polacy spadli Johnowi jak z nieba. Miało być tanio – nie musiało porządnie. Za pięćdziesiąt funtów tygodniowo nikomu nie przeszkadzało, że w pokojach grzyby mnożą się na ścianach, że obłazi stara tapeta, że okna są nieszczelne, że ciągnie przez nie zimno i wilgoć (zapchają kocem), że kuchnia wspólna dla wszystkich i że śmierdzi z lodówki. Polacy to twardziele, zahartowany naród. I liczny, to najważniejsze.

Na Empress Drive słyszało się niemal wyłącznie polski. Nawet John nauczył się kilku słów i zwrotów. Zamiast *good morning* o poranku, gdy pierwsza zmiana cleanersów ruszała do pracy – siema, siema. A w piątkowe wieczory – pijackie zaśpiewy i polski hip-hop z okien. Wracaliśmy do Port Erin nad ranem, w dzielonej na pięcioro, sześcioro taksówce – pijani, zmęczeni, zadowoleni.

Na obozach człowiek zżywa się ze wspólnotą, wchłania w nią, ale nigdy do końca. W tej grupie

każdy miał swój sekret, swoją osobną historię, swoje prawdziwsze ja, którego początkowo nie wyjmował z ciasnych walizek albo plecaków. Niech sobie leżą. Wstyd tak się od razu przyznawać, strach i głupio. Głupio, że człowiek sobie w Polsce nie radzi, w tym rajcu niespożytych możliwości, na tej wyspie zielonej, pełnej wędek, haczyków i przynęty. Na początek lepiej się przebrać w najlepszą sukienkę, koszulę, w najpyszniejszą opowieść, w najbardziej kolorowe kłamstwo, poudawać brak problemów, zmartwień, że się na wakacyjny obóz przyjechało z własnego, nieprzymuszonego wyboru – w Polsce też im przecież było świetnie, super, no przecież, tylko jakoś może nudno. Nikt ich w każdym razie nie wyganiał. Pieniądze też mieli. Żyło się na poziomie, owszem. Zażęsknili za przygodą – za przygodą, hej!

Ale to, co na dnie walizki, na koniec turnusu samo wypęzłało. Po paru miesiącach, gdy mijały wstępne zachłyśnięcia, gdy pojawiały się załączki nowych przyjacieli.

Wtedy okazywało się po cichutku, że jednak ucieczka. Przed biedą, bezrobociem, albo perspektywami biedy lub bezrobocia, przed brakiem jakichkolwiek innych perspektyw. Przed więzieniem lub perspektywą powrotu. Przed

długami. Przed toksyczną rodziną. Przed rodzicami i rodziców ambicjami. Jeszcze inni przed Polską zwyczajnie – przed polskim syfem na ulicach, polskimi, skrzywionymi gębami w tramwajach, polskim marazmem, polskimi kompleksami, polską bylejakością, zadufaniem i zacierzwieniem, rozmodleniem, panoszącym się Kościołem, przed Polską, która jest taka polska!

Jesień tamtego roku zaczęła się dopiero w październiku. Razem z nią przyszedły ciężkie, ołowiane chmury, deszcze i wichry. Dni były krótsze i bardziej ponure. Noce chłodniejsze. Przykurzone trawy zbledły, klify zbrunatniały.

Z naszej ósemki cztery osoby postanowiły, zgodnie z początkowym planem, wrócić do Polski. W nieco ponad trzy miesiące wszystkim nam udało się zarobić i zaoszczędzić więcej, niż mogliśmy sobie wymarzyć, i to przy rozrzutnym trybie życia.

Marcin z Agatą, Goha i ja zdecydowaliśmy, że zostajemy. Na rok, może na dwa, może na dłużej. Za ładnie tu jest, za fajnie, za łatwo, żeby tak po prostu wyjechać.

Bez żalu opuściliśmy Belinę i wprowadziliśmy się do wynajętego mieszkania przy górnej promenadzie w Port Erin. Było czyste, ładnie wyremontowane, ciepłe. I zupełnie puste. Nie

mieliśmy niczego: łóżek, szaf, stołu, krzeseł, choćby jednej patelni lub garnka. Kiedy zdecydowaliśmy się na wynajem, kobiety z małżowni obiecały, że pomogą nam się urządzić.

Allwyn i Jeff przywieźli nam swój stary telewizor, kilka filiżanek z podstawkami, stary stolik kawowy i rozkładaną sofę – całkiem jeszcze wygodną, a także dwa komplety pościeli, narzutę i kilka niemodnych obrusów. Trudy pomogła przetransportować z tipa fotel i całkiem nowe łóżka, razem z drugą sofą, odtwarzaczem płyt i mikrofalówką. Podrzuciła nam też komplet talerzy (pierwotnie miały być prezentem dla ciężarnej wnuczki, ale główniara nawrzeszczała na babcię za jakąś głupotę i jak na razie nie przeprosiła). Sztućce sprezentowała nam Shirley. Patelnie, garnki, kołdry i poduszki kupiliśmy na wyprzedazach w Douglas.

Z okna mojego pokoju w nowym mieszkaniu widać było pobliską siedzibę Erin Arts Centre i elektroniczną tablicę nad drzwiami budynku. Wystarczyło się wychylić, żeby zobaczyć przesuwające się czerwone litery, z których układała się informacja o repertuarze – a to koncertował lokalny boys band, a to pokazywano kinowy superhit sprzed roku. Zdarzały się też

wystawy malarskie i prezentacje rękodzieła. Jednego razu do miasteczka zaproszono angielskich artystów, by w dość spartańskich warunkach, bez orkiestry i na maleńkiej scenie odegrali *La Traviatę*. Nawet niewprawione ucho, jak moje, umiało wychwycić potężny fałsz w wykonaniu pulchnej Violetty. Wytrzymałem dwa akty i trzy poważne usterki techniczne, gdy muzyka odtwarzana z magnetofonu zatrzymywała się na kilkanaście sekund. Na trzeci akt nie wróciłem, zostałem w pustym korytarzu i w ciszy przeglądałem ulotki i plakaty. Nie chciałem zbyt szybko wracać do domu i przyznać się, że wywalilem osiemnaście funtów w błoto. W kalendarium wydarzeń na zeszły miesiąc, zaplątanym między papierami, znalazłem zapowiedź odczytu, który odbył się przed tygodniem, a który przegapiłem – o sufrażystkach z wyspy Man, które jako pierwsze kobiety na świecie miały sobie wywalczyć czynne prawo wyborcze. Coś podobnego – pomyślałem. Taka awangarda na takim zadupiu? Zapytałem panią w kasie, jak się udał wykład. Otóż nie udał się, przyszły cztery osoby, a przyjezdny profesor spodziewał się chyba pełnej sali – niepokieszony uwinął się w pół godziny.

Następnego dnia zapytałem kobiet w małżowni,

czy znają historię lokalnych sufrażystek. Jedynie Allwyn udawała, że coś wie, że coś kiedyś słyszała, ale żadnych szczegółów nie pamięta. Shirley i Tracy nie wykazały zainteresowania chlubnymi dziejami – na sekundę podniosły brwi, opuściły je i wróciły do pracy. O to samo w kolejnych dniach pytałem innych znajomych, wszystkich, którzy mogli mieć pojęcie: księgowa Jackie, naliczająca pensje w małżowni – nie wiedziała; faceci, z którymi grywałem w koszykówkę – nie wiedzieli. Zaprzyjaźnione panie z agencji nieruchomości – też nie; Sian i Alisdair, gdy zaprosili mnie na niedzielny obiad – *no idea*.

Nikt dzisiaj nie wie, jaka była i jak wyglądała Johnowa Crellin Goldsmith. Ci, którzy mogli ją pamiętać, dawno umarli. Zdjęcia, jeśli były, nie zachowały się. Wysoka i szczupła, niska i gruba? Włosy jasne czy ciemne, proste czy kręcone? A usta, nos, oczy, brwi? A charakter? A imię – to prawdziwe, nie po mężu?

Gdybyście jej postawić pomnik, odlać figurę z brązu – to jak?

Nie żeby ktoś na poważnie zamierzał, Johnowa – to wiemy na pewno – nie ścigała się na motorach, a żeby zasłużyć sobie na pomnik na wyspie, trzeba się ścigać, być mężczyzną i kilka razy wygrać coroczne zawody TT. Dla pewności warto też młodo zginąć w motocyklowym wypadku.

Johnowa tymczasem nie dokonała przecież niczego równie znaczącego i ważnego, za co wypadałoby ją pamiętać – skorzystała jedynie ze swojego prawa i jako pierwsza kobieta na świecie poszła zagłosować w wyborach do parlamentu. Pierwsza na świecie.

Nie tylko na pomnik nie zasłużyła Johnowa – nie ma o niej słowa w książkach o historii wyspy, w szkolnych podręcznikach, w encyklopediach,

w Wikipedii, w świadomości ludzi.

W starych gazetach, które od kilku godzin przeglądam w klimatyzowanej, cichej bibliotece Manx Museum, owszem, znajduję kilka krótkich wypowiedzi Johnowej, a także parę wzmianek o niej – z okazji historycznych wyborów z marca 1881 roku oraz na okoliczność jej śmierci w październiku 1928 roku – krótkie nekrologi, koncentrujące się jednak głównie na religijności zmarłej i chwalebnych zasługach jej męża i brata.

Wynika z tego, że także sama Johnowa nie zdawała sobie sprawy, jak symboliczną rolę odegrała.

Johnowa Crellin Goldsmith z Ramsey w każdą niedzielę wstawała wczesnym rankiem i od razu zabierała się do gotowania. Stare przyzwyczajenie sprzed wdowieństwa, bo jej mąż John Crellin Goldsmith po tygodniu ciężkiej pracy lubił w niedzielę pospać dłużej i budzić się, kiedy dom wypełniał zapach owsianki i smażonych jajek na bekonie. Razem jedli śniadanie w pokoju z widokiem na morze, a później szli na długi spacer, który kończył się nabożeństwem w kościele.

Nagła śmierć męża niczego nie zmieniła w nawykach Johnowej. Tamtej pamiętnej niedzieli

wstała ona nawet godzinę wcześniej niż zazwyczaj. Rozpaliła kaflową kuchnię, nastawiła owsiankę i wybiegła z domu. Lało jak z cebra i wiał wicher. Kilka kroków dalej, przy głównej ulicy miasta, znajdowała się szkoła, w której chwilowo zainstalowała się komisja wyborcza. Johnowa weszła na salę przez rozsuwane drzwi, przywitała się eleganckim „*how do you do?*”.

– Przyszłam zagłosować – powiedziała lekko zdezorientowana. Był piętnasty marca 1881 roku.

Od założenia Tynwaldu przez wikingów, blisko tysiąc lat wcześniej, aż po drugą połowę wieku dziewiętnastego dwuizbowy parlament współtworzyli mianowani mężczyźni – bogaci posiadacze ziemscy reprezentujący różne rejony wyspy, lokalni włodarze, archidiakoni, biskup, sędziowie czy prokurator generalny. Tak było aż do roku 1866, kiedy przeprowadzono pierwszą reformę konstytucyjną. Zmieniła ona niższą izbę – House of Keys – w ciało wybieralne. Prawo głosu dostała jednak wyłącznie garstka mężczyzn – o kobietach nawet się nie zająknięto. Panowie musieli być powyżej dwudziestego pierwszego roku życia oraz posiadać albo dzierżawić nieruchomość lub ziemię.

W obliczu tak jaskrawej dyskryminacji mieszkanki spokojnej, konserwatywnej, społecznie

zacofanej wyspy powoli traciły cierpliwość – tym bardziej że lokalna prasa szeroko komentowała doniesienia z sąsiedniej Anglii, gdzie właśnie rozkręcał się ruch sufrażystek. Jedną z jego najdzielniejszych wojowniczek była miss Lydia Becker z Manchesteru – pierwsza szefowa Narodowego Stowarzyszenia na rzecz Praw Wyborczych Kobiet, a wcześniej także uczona – autorka podręczników do astronomii i botaniki (korespondowała w sprawie roślin z Karolem Darwinem). Becker zbierała podpisy pod kolejnymi petycjami do parlamentu w Londynie (równościową batalię z konserwatystami na jego forum toczył John Stuart Mill), słała listy w sprawie rozszerzenia praw wyborczych, organizowała happeningi i poważne dyskusje na ten temat. W czasach gdy kobiety niemal nie występowały publicznie, jeździła z odczytami po kraju, by mobilizować do walki swoje rodaczki.

Johnowa zapewne czytała przedruki z angielskich gazet i krew musiała się w niej gotować. Od dawna była wdową, a przy tym kobietą mądrą, odcytaną, ciekawą świata, z wyrobionymi poglądami, sama rozporządzała swoim majątkiem, utrzymywała dom, udzielała się społecznie – a mimo to była traktowana na równi z chorymi psychicznie (w tamtych czasach

nazywano ich lunatykami) albo niewykształconymi, biednymi chłopami, których horyzont myślowy kończył się na zagrodzie rolnika, dla którego pracowali.

– To niedorzeczne, że każe mi się płacić podatki, a nie pozwala głosować! – żaliła się bratu, jednemu z najlepszych prawników na wyspie.

W roku 1880 Tynwald znów pracuje nad reformą konstytucyjną. W planach jest złagodzenie cenzusu majątkowego, tak, aby głosować mogli również mniej zamożni mężczyźni. Dzięki temu parlament ma się stać bardziej demokratyczny. W lokalnej prasie trwa debata o prawach wyborczych dla kobiet, podkreśzana dodatkowo rzadko nadarzającą się możliwością utarcia nosa większemu i silniejszemu sąsiadowi. Dziennikarz gazety „Mona’s Herald” pyta:

– Dlaczego zawsze mamy iść w ślady Anglii z opóźnieniem? Dlaczego choć raz nie możemy być w awangardzie społecznie pożytecznych zmian? Dajmy przykład, za którym podążą inni.

Takiej okazji sufrażystki z Manchesteru nie mogą przepuścić. Jeśli Tynwald pozwoli kobietom głosować, namiestnik królowej Wiktorii wyśle odpowiednią ustawę do jej akceptacji. Królowa będzie musiała się zgodzić, bo w sprawach polityki wewnętrznej wyspy nie ma zbyt wiele do

powiedzenia. To będzie koronny argument w rozprawie z parlamentem w Londynie, gdy znów rozgorzeje bitwa o rozszerzenie praw wyborczych na Angielki.

Z początkiem sierpnia Lydia Becker i inna członkini Towarzystwa, Alice Scatchered, przyplływają na wyspę z cyklem wykładów. Organizują pięć spotkań w różnych miastach, między innymi w stolicy – Douglas, a także w Ramsey, na północy, gdzie mieszka Johnowa. Miejsca stojące są darmowe, rezerwacja krzesła kosztuje sześć pensów. Na każdy wykład przychodzą tłumy, w tym politycy i redaktorzy wszystkich lokalnych gazet (obszerne relacje z tych spotkań zamieszczone w dziennikach to jedyne źródło wiedzy o toczącej się wtedy debacie).

Becker występuje w brązowej sukni z turniurą, bogatym drapowaniem, z koronkowymi mankietami i kołnierzykiem dochodzącym pod sam podbródek. Bez kapelusza, za to w okularach z cienkimi oprawkami i małutkimi szklami. Przemawia sprawnie i przekonująco. Jej pewność co do własnych racji udziela się obecnym na sali kobietom. Co rusz przerywają jej oklaski i wiwaty.

– Mężczyzna może być pijakiem, który całe dni spędza przy stole bilardowym w pubie, może bić swoją żonę i zaniedbywać dzieci, może nie

wykazywać najmniejszego zainteresowania polityką, a mimo to, jeśli płaci podatki, może głosować i nikt mu tego prawa nie odbierze. Nam, kobietom, nikt tego prawa nie dał, choć niektóre z nas samodzielnie utrzymują swoje rodziny i domy, angażują się w sprawy społeczności i – jak ich ojcowie, bracia czy mężowie – płacą należne podatki. My się na to nie godzimy!

– Brawo, brawo!

Bez reprezentacji nie płacimy podatków („*No taxation without representation*”) – staje się głównym hasłem kampanii. Becker i Scatchered podkreślają, że w tej chwili domagają się nie pełnych praw wyborczych dla wszystkich kobiet, a jedynie rozszerzenia cenzusu majątkowego na stare panny i wdowy, które nie są objęte niczyją pieczęcią (ojcowską lub męzowską). Marzy im się, oczywiście, powszechny udział kobiet w wyborach, ale do tego trzeba będzie dochodzić stopniowo, poprzez zrównanie dostępu do edukacji i likwidację dyskryminujących praw (na przykład tego, które upoważnia męża do przejęcia i swobodnego rozporządzania majątkiem żony wniesionym w posagu – jej wszystkimi pieniędzmi, ziemią czy nieruchomościami: mąż bierze wszystko, żona zostaje z niczym).

– Mężczyźni nigdy nie ustanowią prawa, które

poprawiłoby nasz los, skoro nie pomyślą nawet o tym, by zapytać nas o zdanie. Uważają, że jesteśmy nieodpowiedzialne, nierozgarnięte, że jeśli miałybyśmy do dyspozycji większą sumę pieniędzy, z pewnością roztrwoniłybyśmy ją na głupoty. Mówią, że wprowadzimy do polityki niepożądany element emocjonalny, który wyprze zdrowy rozsądek, będziemy szerzyć histerię – kontynuuje Becker.

Dokładnie taki pogląd wyznawał między innymi William Farrant, jeden z najbardziej szanowanych Manxów, wieloletni członek House of Keys i zagorzały konserwatysta. Z jednej strony obawiał się kobiecej histerii, z drugiej martwił się o zły wpływ, jaki na zacne damy może wyrzeć brudna, a czasami bezlitosna polityka. Rozszerzenie prawa wyborczego uważał za szkodliwą rewolucję, którą chce wywołać kilka nieatrakcyjnych awanturnic niemogących znaleźć męża.

Farrant pozostaje jednak w mniejszości. Angielskie sufrażystki potrafiły tchnąć postępowego ducha w zachowawczą społeczność wyspy. Przez kolejne tygodnie po ich wyjeździe zwolennicy i zwolenniczki reformy pisali petycje i odezwy drukowane w gazetach, organizowali kolejne spotkania i wykłady. Na jednym z nich – w Peel na zachodnim brzegu wyspy – jednogłośnie

przyjęto rezolucję, która wzywała członków Tynwaldu do przyznania kobietom prawa głosu.

Cztery dni później projekt ustawy trafia pod obrady na forum House of Keys. Farrant ponownie zapowiada głosowanie przeciwko ustawie – jego zdaniem same kobiety nie są zainteresowane polityką, więc po co je do tego zmuszać.

– Kompletny nonsens – odpowiada mu autor projektu, deputowany Richard Sherwood, który w przyszłości będzie walczył o rozszerzenie praw wyborczych i wprowadzenie tajności głosowania. – Podaje pan nieprawdziwe argumenty. W tej chwili mogę zaprezentować nazwiska co najmniej pięciu znanych panu, szanowanych kobiet, które całkowicie popierają reformę. Poza tym chodzi o zwykłą sprawiedliwość – nie możemy oczekiwać od kobiet, że będą wypełniały swoje obywatelskie obowiązki na równi z mężczyznami i płaciły wymagane podatki, nie dając im równych praw.

Projekt przechodzi większością szesnastu głosów do trzech. Sukces jest coraz bliżej. Teraz ustawę musi jeszcze przyjąć Rada Legislacyjna (odpowiednik polskiego Senatu). W jej skład – z mianowania – wchodzi miejscowi dygnitarze, a na jej czele stoi namiestnik królowej. Rada odrzuca projekt jako zbyt radykalny, a przez to niemający szans na aprobatę w Londynie.

– Trzeba zrobić mały krok w tył, trudno. Lepszy rydz niż nic – mówi Sherwood i proponuje, by prawo wyborcze rozciągnąć wyłącznie na właścicielki nieruchomości, nie zaś na lokatorki, które płacą określony czynsz. Rada i ten kompromis odrzuca. Trwają kolejne negocjacje i wreszcie sukces – kompromisowy, połowiczny, ale sukces: głosować mogą mężczyźni powyżej dwudziestego pierwszego roku życia, posiadający nieruchomość o wartości nie mniejszej niż cztery funty (wcześniej osiem funtów) oraz stare panny i wdowy, które spełniają te same warunki.

Prawo głosu zyskuje około siedmiuset kobiet. Wyspa Man pęka z dumy – po raz pierwszy (i ostatni) w swojej najnowszej historii wyspa dokonała wyczynu wyjątkowego i wyprzedziła dużo bardziej liberalne społeczeństwa. Później z postępowością będzie już tylko gorzej – ustawa o prawie własności dla mężatek pojawi się dopiero w latach dwudziestych XX wieku, a pierwsza kobieta w House of Keys zasiądzie w roku 1933; dziś w obu izbach Tynwaldu kobiet jest zaledwie trzy – wobec trzydziestu dwóch mężczyzn, żadna z nich nie jest członkinią rządu.

Rangę wydarzenia dostrzegają najważniejsze światowe gazety, a sufrażystki z różnych krajów ślą na mało znaną wyspę gratulacje.

Jak tego dokonaliście? – pytają. Zdaniem Melissy Butler i Jacqueline Templeton, badaczek z uniwersytetu w Sheffield, kluczowe znaczenie miał fakt, że polityka na wyspie jest mocno spersonalizowana: kandydaci dobrze znają swój elektorat i vice versa (dlatego właśnie Sherwood mógł grozić Farrantowi, że postawi go w niezręcznej sytuacji, konfrontując z konkretnymi kobietami, które popierały rozszerzenie praw wyborczych). Manxowie nie głosują na partie polityczne, tylko na sąsiada z ulicy obok. Poza tym lokalny system polityczny zaczął się poważnie modernizować zaledwie chwilę wcześniej – House of Keys dopiero od piętnastu lat była w pełni wybieralna. Na skutek długotrwałych nacisków Londyn zgodził się na poszerzenie niezależności wyspy, która dzięki temu przechodziła przez proces demokratyzacji.

„Drogie Panie, mieszkanki wyspy Man, jesteście pierwszymi kobietami na obszarze całego Imperium Jej Królewskiej Mości, które wywalczyły sobie prawo głosu. Szczerze Wam gratulujemy – pisała w liście otwartym na łamach «Mona's Herald»” Lydia Becker. – Pamiętajcie, że oczy świata są na was zwrócone. Zwolennicy i przeciwnicy naszej sprawy będą przyglądać się temu, jak wykorzystujecie dane wam prawo. Mamy

nadzieję, że żadna z Was nie zrezygnuje z możliwości głosowania przy najbliższej okazji i że opowiecie się za tymi kandydatami, którzy podczas kampanii zobowiążą się do dalszej pracy nad włączaniem kobiet w życie polityczne”.

Okazja nadarzyła się już dwa miesiące później – w marcu 1881 roku. Do lokali wyborczych udały się niemal wszystkie uprawnione do tego kobiety – w tym, jako pierwsza, wczesnym rankiem, Johnowa Crellin Goldsmith. Kilka dni później Lydia Becker wysłała do każdej z nich list gratulacyjny, a w kolejnym numerze „Women’s Suffrage Journal” zamieściła obszerną relację z wyborów: kobietom z wyspy Man, które wzięły udział w głosowaniu, należy się nasz wielki podziw i szacunek. Potrafiły zachować się dużo bardziej profesjonalnie niż wielu mężczyzn – były przygotowane, wiedziały, na kogo chcą oddać swój głos, ogłaszały swoją decyzję z przekonaniem, bez najmniejszego wahania. Mężczyźni z kolei często nie znali nawet nazwisk kandydatów, nie mieli pojęcia, jakie reprezentują stanowiska, zadawali śmieszne pytania co do procedury, głosowali chaotycznie i nierozważnie.

Johnowa Crellin Goldsmith była dwojga imion: Eliza Jane. Jej nazwisko panieńskie: Criukshank. Tyle udało mi się ustalić. Może się przyda, jeśli

jednak pomyśleć o pomniku.

Podczas gdy ludzie na naszej wyspie, ale też generalnie w Wielkiej Brytanii, rozmawiają głównie o pogodzie, w Polsce najczęściej dyskutuje się o polityce. Zarówno krajowej, jak i zagranicznej. Nawet dzieci mają wyrobione opinie na tematy polityczne – twierdzi Kathleen Glazer, córka Rosy Roberts, znanej i szanowanej krawcowej z Douglas.

Kathleen razem z dwójką dzieci przyjechała na wyspę Man, by spędzić rodzinne wakacje z tutejszymi krewnymi (lipiec 1956 roku). Z powodu natłoku zajęć w szpitalu jej mąż musiał zostać w Koźlu, dokąd Glazerowie przeprowadzili się niedawno z Łodzi. Przybysze z dalekiej Polski zatrzymali się w domu Mrs Roberts, gdzie odwiedził ich reporter „Isle of Man Examiner”.

– Zaciekawienie światową polityką nie oznacza jednak, że Polacy są nadmiernie poważni czy nudni – podkreśla Kathleen. – Wprost przeciwnie. Są bardzo interesujący, a do tego uprzejmi i przyjacielscy. Są też otwarci i lubią się bawić. Choć we wszystkich większych miastach działają kina, teatry, restauracje i dansingi, ludzie wolą się spotykać w domach. Urządzają domowe przyjęcia z okazji urodzin i imienin. Niemal zawsze

serwowana jest wtedy sałatka warzywna, śledzie i wódka. Polacy, jak my – Manxowie, przepadają za śledziami. Najbardziej lubią jednak śledzie w śmietanie według przepisu, który na wyspie nie jest znany.



Kathleen mieszka w Polsce już ponad dziesięć lat i świetnie opanowała skomplikowany język – czyta bez problemów, trudności czasami sprawia jej natomiast pisanie. Ma kilka bliskich przyjaciółek. Jedna z nich – Krysia – pamięta, jak tuż po wojnie, w ramach programu UNRRA, do Polski przybył transport wędzonych śledzi z wyspy Man. Pisały o tym gazety. Blisko dwa i pół tysiąca beczek wartych dziesięć tysięcy funtów. Krysia liczyła, że może choć niewielka część hojnego daru trafi do Koźła albo do pobliskiego Kędzierzyna. Niestety, ryby wsiąkły gdzieś po drodze. Dlatego tym razem Kathleen obiecała, że przywiezie koleżance w prezencie manxowskie śledzie. Będzie musiała w tym celu udać się do Peel, gdzie działa najlepsza wędzarnia.

– Życie w Polsce w ostatnich latach stało się nieco łatwiejsze. W sklepach bez większych problemów można już dostać mięso i cukier. Kupiliśmy też z mężem niedawno nową pralkę. Gorzej z egzotycznymi owocami, dlatego Stefek i Oleńka, odkąd przyjechaliśmy na wyspę, oszaleli na punkcie bananów. Syn ma już dziewięć i pół roku, córka prawie siedem. Oboje chodzą do polskiej szkoły i świetnie sobie radzą.

Kathleen bardzo przeprasza reportera, ale muszą już kończyć. Za chwilę ma dzwonić Borys –

telefony z Polski są niezwykle tanie, ale linie bywają przeciążone i trzeba zamawiać rozmowy z dużym wyprzedzeniem.

Skurwiel Angus znowu zachlał! Niech go szlag! – powitał mnie Robert, gdy zbliżałem się do małżowni. – Zatkaj sobie nos, bo cuchnie! – krzyczał z wysokości przyczepy pełnej śmierdzących flaków i muszli. Rozgarniał je, poskręcane, po rogach, by zmieścić zawartość ostatniego kontenera.

Smród faktycznie był dojmujący – dużo intensywniejszy niż dwa dni temu, kiedy ostatni raz byłem w okolicy. A już wtedy kontenery – na moje oko (i nos) – nadawały się do opróżnienia. Ale Angus zachlał i nie przyjeżdżał. Flaków tymczasem przybyło i gniły w oczekiwaniu na wywózkę. W końcu Bruno pożyczył ciężarówkę z małżowni w Peel. Sam pojedzie zrzucić syf do morza, ale trzeba najpierw przyczepę załadować. Robert był zły, bo liczył, że skończy robotę wcześniej, najdalej godzinę po kobietach, które zawinęły się do domów po czternastej. A tu proszę – szesnasta i końca nie widać.

– Nienawidzę tej roboty, nienawidzę! Mogę robić wszystko inne – biadolił. – Śmierdzi się po tym jeszcze gorzej niż normalnie.

Zaoferowałem mu pomoc w czyszczeniu kontenerów, gdy skończy na przyczepie. Włożę

tylko kombinezon i gumowce. Robert patrzył na mnie podejrzenie, pytająco, gdy po chwili wróciłem przebrany.

Na wyspę przyjechał, bo kumple jechali. Jedziesz, kurwa, Robert? Jadę! Czemu nie? Pracę w Polsce miał, ale marną i ciężką. W tartaku pod Zieloną Górą. Właściciel nie płacił miesiącami. W domu bieda, na okrągło kartofle i chleb z margaryną. Już go to wszystko męczyło. Żadnej przyjemności, z niczego radości. Bez szkoły, bez zawodu. A co mu tam?! Przecież spierdoliło wtedy pół kraju. Ciuchów miał na połowę walizki – w tym kilka przetartych skarpetek – to nawet dobrze, bo mógł spakować więcej zupek chińskich i konserw, żeby było na początek, zanim się zacznie zarabiać. Nawet nie wiedział dokładnie, gdzie ta wyspa leży i czy w ogóle istnieje. A kto na świecie wie? Nie znał angielskiego.

Na początku mało kto z Polaków na wyspie umiał dobrze po angielsku. Nawet jeśli mówili, że mówią, to zwykle kłamali. Coś tam wybełkotali, wymamrotali, wystękali. W Isle of Man College w Douglas do dziś są kursy dla obcokrajowców – tanie, bo dofinansowywane przez rząd. Dwa wieczory tygodniowo. Ale Polacy raczej się do zajęć nie palili, a nawet jeśli, to szybko

rezygnowali, uznając, że to strata czasu, że język sam wypełni im do głowy. Tylko że nie wypełzał, przynajmniej nie od razu. Najpierw panowało więc milczenie, komunikacyjna niemożność, językowy paraliż. Małomówność była uważana wśród miejscowych za polską cechę narodową. Najłatwiej było się nauczyć przytakiwania: *yes, yes boss, no problem, OK, OK*. Proste, z filmów się pamięta, z piosenek. Człowiek przytaknie i ma spokój. Nawet jak nie zrozumie, co do niego mówią, to i tak przytaknie, głupio się uśmiechnie, pokiwa głową: *yes, yes, no problem, OK*. Na odczepnego, żeby już nic nie mówili, niczego nie chcieli, żeby nie trzeba było szefowi tłumaczyć, negocjować, odmawiać. Bo odmawiać to już sztuka. Samo „no” nie wystarczy. OK, OK i zostaje się dłużej w pracy. OK, OK i pracuje się w święta. „No problem” i za połowę normalnej stawki, na czarno.

A kiedy się okazywało, że jakaś sprawa wymaga bardziej wyrafinowanej werbalizacji, zawsze udawało się znaleźć kogoś z wyższymi kompetencjami. Kogoś, kto za drobną opłatą wyjaśnił problem w urzędzie, wypełnił wniosek, pomógł rozliczyć się z podatku, wytłumaczył tej głupiej cipie z agencji nieruchomości, że w jednym mieszkaniu mogą mieszkać dwie rodziny, że co jej, kurwa, do tego.

Dawało się żyć całkiem wygodnie. Szybko się rozniosło, że w Tesco sprzedają polską spożywkę, że jest polska przychodnia dentystyczna, polska pielęgniarka i polski lekarz. Na kasach w sklepach Polacy, w McDonalddie Polacy, w KFC Polacy, na bramkach w klubach Polacy.

Robert od początku mieszka w Douglas. Z kolegami z wioski wynajmują bungalow niedaleko promenady. Trzy sypialnie, salon, dwie łazienki, niewielki prywatny ogród. Mało co się widzą, bo wszyscy zarobieni. Jedynie w niedzielę trochę razem na playstation pograją albo obejrzą polski serial na nielegalnie zainstalowanej satelicie.

Do małżowni Robert dojeżdża autobusem. Przeszło godzinę w jedną stronę. I tak już siedem lat. Pięć dni w tygodniu, czasami sześć. A jeszcze dojść na przystanek, swoje odczekać, a po pracy wrócić z przystanku do domu. Męczą go te dojazdy, strata czasu. Samochodem byłoby tysiąc razy szybciej i wygodniej – ale Robert nie ma prawa jazdy. Albo mógłby się przeprowadzić na południe, do Port St. Mary czy do Port Erin. Wtedy by chodził na piechotę, bo blisko, albo by sobie kupił rower. Tylko że bez kumpli to on się przecież nie ruszy – a oni nie ruszą się z Douglas. Nie po to wyjeżdżali z Polski, żeby znów na wiosce mieszkać. Chyba cię,

kurwa, Robert, pojebało.

Choć z drugiej strony w autobusie jest czas na myślenie. Wieczorami w drodze do domu Robert liczy sobie po cichu, ile tego dnia zarobił, na co wystarczy, ile to na złotówki – aż tyle? Uśmiecha się pod nosem. No kto by pomyślał, że on tyle będzie zarabiał?! Że on tyle wart?! Ojciec pijus niech mu teraz podskoczy. Zawsze się trzeba było na zeszyt prosić, na durny długopis. Teraz niech on się prosi – złamanego zeta mu nie da, jak pojedzie na święta!

Tej Ani za to, co pracowała w małżowni, to by dał, na wszystko by dał. Na ciuchy by dawał, na kolczyki, kosmetyki. Takie miała ładne, gęste włosy, takie drobne rączki, nie za wysoka, cicha, spokojna. Pracowita, stała przy tym stole i nawet jak były najgorsze małże, nie narzekała, nie marudziła, że śmierdzą, że nie zarobi. Mieszkała u koleżanki, ale szukała pokoju do wynajęcia. Gdyby tylko chciała, mogliby zamieszkać razem – jego stać na mieszkanie. Nawet na takie droższe, z widokiem na morze. By sobie razem mieszkali, razem jedli, razem spali, chodzili do pracy. Skończyłoby się weekendowe picie na umór, a kumple by się przestali naśmiewać, że chłop trzy dychy na karku, a dalej dziewica.

Jak wszyscy w małżowni, Robert też zaczynał

przy stole. Miał szczęście, że go Bruno nie wyrzucił, bo olewał pracę z góry na dół. Czasami, po spontanicznym zapiciu nie pojawiał się wcale, czasami przyjeżdżał, o której chciał. Co chwila chodził na papierosa albo urządzał sobie godzinne przerwy na kawę. Zachodziliśmy w głowę, z czego ten chłopak żyje, a on cieszył się jak głupi, jeśli zarobił dwadzieścia funtów dziennie. To była aklimatyzacja. Wszystko było dla Roberta nowe i dziwne: jedzenie, ludzie, język, budynki. Praca jak nie praca. Nikt nad nim nie stał, nie darł mordy, nie opierdalał, jak w tartaku. Jedynie od niego zależało, jaką będzie miał wypłatę. Trzeba to było wszystko jakoś ogarnąć, w myślach przemelić.

Jedyne, co ratowało go przed zwolnieniem, to rozładunki. Tylko dlatego Bruno miał do niego cierpliwość. Rybacy wracali z morza wieczorami, wyrzucali worki z małżami na pirs i nic ich więcej nie obchodziło. Ktoś z małżowni musiał podjechać wózkiem widłowym, ułożyć ciężkie worki na drewnianej palecie, zabezpieczyć folią i przetransportować do chłodni. Robota głupiego, bo do ostatniej chwili nie wiadomo, o której łodzie przypłyną i ile worków przywiozą. Trzeba czekać i wypatrywać, a za to Bruno nie płaci. Płaci za tę godzinę lub dwie, kiedy faktycznie przerzuca się

worki. Jednemu Robertowi to nie przeszkadzało.

Po paru miesiącach wszystko się zmieniło. Nagle stał się sumienny.

To było może wtedy, gdy dostał SMS od młodszej siostry: mama ma chore oczy – katarakta, konieczna operacja, na NFZ się nie doczeka, oślepnie, trzeba prywatnie, przyślesz pieniądze?

Robert siedział akurat w kantynie, na kolejnej przerwie. Dopił kawę i wrócił na halę. Podszedł do Shirley i przyjrzał się dokładnie, co ona z tym nożykiem wyprawia, jak go trzyma, jak otwiera muszle, w jaki sposób pozbywa się flaków, jak wycina mięso, jak chwyta kolejne małże, po której stronie ma beczkę na odpady, po której miskę na wycięte mięso. Stał i się gapił, bez słowa. Shirley nie lubi takich akcji i od razu zaczęła robić miny do Tracy, która pracowała przy sąsiednim stole. Ale gdy pojęła, o co biedakowi chodzi, celowo spowolniła ruchy – niech się przyjrzy i uczy. Pomogło. Już nie czyścił piętnastu kilogramów dziennie, tylko czterdzieści. Nareszcie dostał pęcherzy na palcach. Dodatkowo brał od tamtej pory wszystkie rozładunki, nawet w weekendy, choć musiał specjalnie przyjeżdżać z Douglas. Wystarał sobie też sprzętanie całej fabryki – obu łazienek, biura, kantyny, korytarzy. Półtorej godzinki po pracy. Po dwóch tygodniach wysłał do

domu pięćset funtów, po następnych dwóch kolejne pięćset.

W końcu Bruno przeniósł go na podłogę – tak się mówi. W małżowni pracuje się albo *on the table* (przy stole), albo *on the floor* (na podłodze). Przy stole obiera się muszelki (tak się mówi): na akord, za kilogram wyczyszczonego mięsa płacą półtora funta. Czasem trochę więcej, czasem trochę mniej, w zależności od tego, jak duże są skalopy. Każdy ma swój własny nożyk – z krótką drewnianą rączką i lekko zakrzywionym ostrzem, które ułatwia wycinanie. Przy wielkim stole z nierdzewnej stali naprzeciw siebie stoją cztery osoby, każda ma własną miskę. A ten, kto pracuje *on the floor*, dba, by na stole zawsze był towar: wykłada kolejne worki, wypróżnia kosze z pustymi muszlami i flakami, zapisuje wagi, myje mięso, zalewa je wodą, by nasiąkło.

Zimą jest inaczej, bo karty rozdaje pogoda. Rybacy nie łowią małych przegrzebków (*queenies*), tylko duże (*king scalops*). Wielkie muszle trzeba rozwierać szerokim i tęnym nożem, z ostrzem nie dłuższym niż na trzy centymetry – ruchem szybkim i zdecydowanym, przy którym pracuje już nie tylko słaby nadgarstek, ale też mocarny bark. Płaska podstawa muszli ląduje w beczce, wypukła z przyczepionym mięsem zostaje na stole. Gdy się

otworzy ze dwadzieścia muszli jedna po drugiej, zarówno nadgarstek, jak i bark mają dość. Wtedy zmienia się nożyk na ostry, długi i wygięty. Chwyta się muszlę i za pomocą jednego precyzyjnego cięcia trzeba oddzielić mięsień od flaków. I tak w kółko, od ósmej do szesnastej. Można się spocić, a czasem nawet z bólu poryczeć.

Zimą jest zimno. Stołki wędrują do magazynu, bo na siedząco to żadna robota, a od betonowej, wiecznie mokrej podłogi dodatkowo ciągnie po stopach – nie pomagają ani jeszcze jedne filcowe wkładki, ani papier w gumowcach, ani plastikowe reklamówki. Jest ich na podłodze trzech: Robert, Nick i James. James to syn Shirley i wnuk Phylis. Nick to zwalisty Walijszyk. Dużo gada i ciągle się wymądrza, ale jest leniwy. Bruno już trzy razy go zwalniał, bo potrafił nie pokazywać się przez tydzień, i trzy razy go z powrotem zatrudniał. Szkoda mu chłopaka. Ostatnio Nick wybrał się na weekend do Liverpoolu. Na zakupy, na mecz i na imprezę. Wrócił w niedzielę wieczorem, ale trzeźwiał jeszcze dwa dni. Gdy Bruno zobaczył, jak tańczy z workami w poniedziałek rano, odesłał go do domu i kazał wrócić we środę.

Z Robertem jest inaczej. Robert dostał porządne siedem i pół funta na godzinę, kontrakt, dwadzieścia kilka dni urlopu, premie, bonusy,

coroczną podwyżkę. Ma poważanie! Kobiety go lubią, bo dobrze pracuje i nie gada za dużo, a jak jest okazja, to się z nimi w pubie napije. Swoją chłop. Nieważne, że prawie nie mówi po angielsku, jak trzeba, to się dogada. Niejeden się przez podłogę przez te wszystkie lata przewinął i tylko patrzył, jak by się nie narobić. A Robert zapierdala.

Jest też łącznikiem kobiet w kontaktach z Brunem. Bo kobiety Bruna nie tolerują. Odwieczny konflikt hali i biura, siły roboczej i kapitalistów. Przecież one same, gdyby im pozwolono, tysiąc razy lepiej zarządzałyby tą fabryką. Bruno nie ma o niczym pojęcia, tyle że po francusku umie i Francuzom towar sprzedaje. Handlować to może i potrafi, ale żeby prowadzić od razu całą firmę? Wolne żarty. Gdyby im tylko pozwolono, gdyby się w tym biurze rozsiadły, to już nigdy nie byłoby małych małży, na których nie idzie zarobić, nie byłoby brudnych, śmierdzących, nawet zimną byłby tylko porządny towar. Coś by się wymyśliło. Stawki za kilogram byłyby większe, nożyki przestałyby się łamać, wszyscy by mieli nowe gumowce i fartuchy, w kantynie nadal można by palić, kawa byłaby smaczniejsza, nigdy nie brakowałoby mleka.

Bruno odwzajemnia uczucia kobiet. Siedzi

w biurze i rzadko wypuszcza się na halę – jedynie wtedy, kiedy musi zrobić inspekcję, bo ktoś nie czyści mięsa dokładnie i klienci narzekają. Każdemu zagląda do miski, międli w niej łapą, a kobiety aż się w środku gotują – wobec nich, które pół życia na małżach spędziły, takie insynuacje?! Zazwyczaj okazuje się, że to któryś z niedoświadczonych Polaków – wpada taki na genialny pomysł, że jak na mięsie zostanie trochę flaków, to będzie więcej ważyło, a więc zarobi parę funtów ekstra. Tygodniowo może uzbiera się z tego dycha, miesięcznie czterdzieści funtów – piechotą nie chodzi. Jednego dnia się uda, drugiego też, ale na trzeci będzie inspekcja i opierdol. Kobiety też miały takie pokusy, ale je w sobie dawno temu zwalczyły, bo wiedzą, że firma jedzie na jakości i jak będzie fuszerka, klienci przerzucą się na małże z Peel. Jednak Bruno musi sprawdzać miski każdemu, żeby nie było oskarżeń o dyskryminację. A świętym oburzeniem „durnych bab” – jak je nazywa – nie zawraca sobie głowy. Dopóki robią swoje i nie urządzą scen.

Choć czasami urządzą. Jak dobrych parę lat temu. Był początek października, a one pod groźbą strajku zażądały, by włączyć im na hali ogrzewanie.

– Zimno! Nam jest zimno. Tak się nie da

pracować!

– W październiku?! – pytał wściekły Bruno.

Robert jako negocjator latał w tę i z powrotem. Bardziej gestykulował. Że zimny wiatr, że nie ma ciepłej wody, że bez tej pompy, co daje ciepły nawiew, kobiety nie wrócą do pracy. I w drugą stronę: że pompa w naprawie, że paliwo do niej kosztuje mnóstwo pieniędzy, których może zabraknąć na prawdziwą zimę. Nauczył się, że *heating, no work*, że *gas*, że *expensive*.

Sprawa rozwiązała się sama, bo na wyspę na kilka dni niespodziewanie powróciło lato.

Kiedy myśliśmy te kontenery, próbowałem zagadywać Roberta o plany na przyszłość. Zamierza zostać czy wraca do Polski? Nadal mu się na wyspie podoba? Nie nudzi mu się w małżowni, nie męczy go ta robota? Imprezuje? Ma kogoś albo miał? Dokąd jeździ na wakacje?

Jak to dokąd, do Polski przecież. A gdzie indziej miałby jechać? Był we wrześniu, na winobraniu, jak co roku. Teraz też się wybiera. Przecież idą święta. Na święta to mus. Już zabukował bilety. Leci przed samą Wigilią i zostanie w domu trzy tygodnie. Pospotyka starych znajomych, opije się, obje, obkupi, przyszpkuje nowymi adidasami i oryginalną bluzą. A później wróci i będzie czekał

cierpliwie do września.

Na resztę moich pytań Robert jedynie niewyraźnie odbąkiwał. Tak, nie, nie wie, zobaczy. Ta Ania? Ta taka cicha, fajna? No, to musiało być z pięć lat temu. Nie, nic się nie wydarzyło. Jednego dnia zadzwoniła do biura i powiedziała, że rezygnuje z pracy. Chyba wyjechała.



Listonosz wrzuca pocztę przez szparę w drzwiach wejściowych – kolejne kartki świąteczne od przyjaciół i pacjentów Sian, list od Dorothy Greenwood.

Dear Dionis,

było nam niezwykle miło gościć Cię w zeszłym tygodniu w naszym domu. Tym bardziej, że ostatnio mało kto nas odwiedza – większość moich najbliższych przyjaciół od dawna nie żyje. Obie z Susan mamy nadzieję, że smakował Ci nasz sloe gin oraz że nie zanudziłyśmy Cię tymi wszystkimi opowieściami. Dzieciństwo w Hillberry i wojna nie są tematami moich codziennych rozmyślań, jednak gdy już odkopię wspomnienia z tamtych czasów, nie mogę przestać paplać. Podobnie jest ze Stanisławem. Kiedyś myślałam o nim każdego dnia, ale później się tego oduczyłam. Miałam przecież męża i matkę Susan, nie mogłam żyć przeszłością. Dzięki Tobie wspomnienia naszego romansu wróciły do mnie z całą mocą. Przynoszą smutek, ale nie taki zwyczajny – to jest smutek wymieszany z radością.

Czy myślisz, że mógłbyś ustalić, co dokładnie stało się ze Stanisławem? Chciałabym wiedzieć, czy przeżył wojnę. Jeśli tak, to co się z nim działo. Został

w Wielkiej Brytanii czy wrócił do Polski, tak jak zamierzał? Ożenił się? Miał dzieci? Kiedy zmarł? Podejrzewam, że nie żyje, bo gdyby żył, musiałby być grubo po dziewięćdziesiątce.

PS Zobacz, taki miłosny wiersz Paula znalazłam w starych papierach. Krążyły plotki, że Paul całe życie był nieszczęśliwie zakochany w jednej kobiecie. Przyjaźnili się, ale ona później wyszła za mąż za kogoś innego i wyjechała do Irlandii. A on zaczął pić... Przynajmniej wiedział, co działo się z jego ukochaną...

Rozmyślenia w lutym

Noce zstępują bardzo szybko
I śnieg pokrywa wszystkie wzgórza;
Złowrogo ryczą morskie fale,
I prawdę widzę całkiem jasno;
Polana palą się i iskrzą,
A zegar wlewa ciepło w serce
Siedzę, i wiem, wiem to na pewno,
Że będę kochał cię do końca.
Przed nami nieznane letnie dni
Będziemy chwalić dzieło boże
Zielone liście, kwiaty róży,
Zachód słońca za naszym oknem;
Głośny śmiech dziecka przy zabawie,
Manewry łodzi po zatoce,

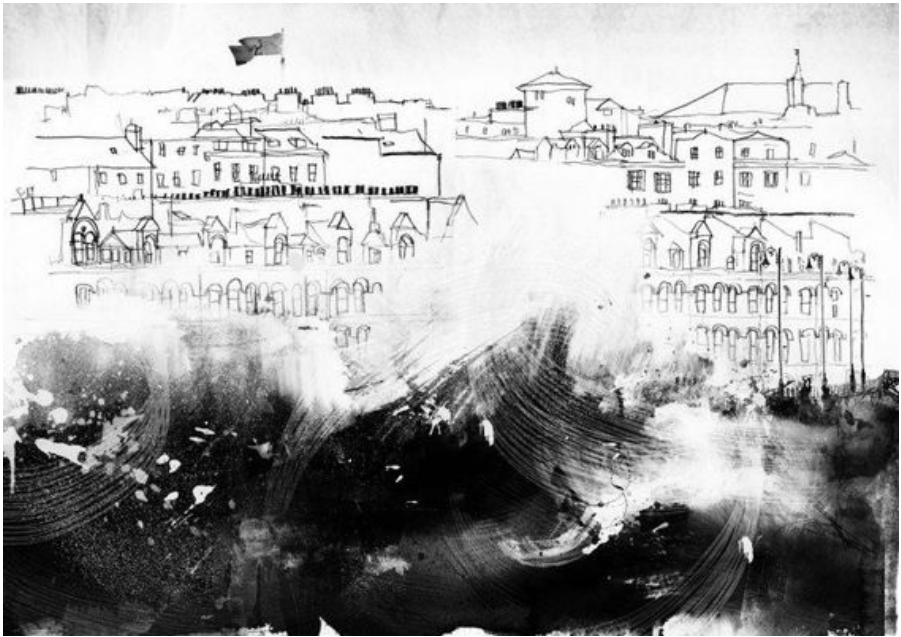
Tarczę słońca nad taflą morza,
To wszystko szczerze mnie zachwyca,
Choć zwykle znika w mgnieniu oka
Złożone srogim tchnieniem zimy.
Ten cios potrafi zmrozić serce
Lecz moje zawsze jest gorące,
Widzę czas wiecznych niespodzianek
Błysk rozbawienia w twoich oczach,
Śmiech całkiem nieoczekiwany,
I powrót szczęścia i beztroski;
Więc nalej wina i wznies kielich,
I popatrz na wieczorne niebo,
A potem zerknij w moją stronę,
A będę cieszył się bez końca.
Wietrzne, pochmurne, zimowe dni
Czas kolęd i śnieżnych zamieci
Skończy się, stopnieje bez śladu
I nadejdą te inne, letnie dni
Gdy duch raduje się na brzegu;
Lecz więcej, ach, o ileż więcej
Znaczy dla mnie twój uśmiech
To światło wyspy Ellan Vannin.
Czas jednak kończyć mą opowieść,
Drewno dopala się w kominku,
Gdziekolwiek jesteś, albo będziesz
Kocham cię, wbrew groźnemu morzu.

Odpisuję od razu. Zapewniam Dorothy, że lepszego sloe gin w życiu nie piłem. Obiecuję, że postaram się znaleźć informacje na temat Stanisława i załączam prośbę – dosyć delikatną. Więc jeśli Dorothy uzna, że przeginam, niech powie mi o tym śmiało. Chodzi o szczegóły, o drobiazgi, jakie, być może, zapamiętała, coś, co jedynie na pozór wydaje się nieważne. Może Stanisław spolszczał jej imię na Dorotka, może przynosił jej drobne prezenty na każde spotkanie, może mieli ulubioną ławkę na promenadzie w Douglas, może pamięta kolor jego oczu, może powiedział jej coś miłego przy rozstaniu? Może ona podarowała mu coś tamtego wieczora? Może całował jakoś wyjątkowo, a może wręcz przeciwnie, może kisser był z niego taki jak dancer? Kończę, informując ją, że umówiłem się na spotkanie z Brianem Stowellem. Widzimy się w przyszłym tygodniu.

Znowu ulewne deszcze i sztormy. Morze wypluwa kamienie, które blokują drogę wyjazdową z Port St. Mary na Castletown. Żłobią dziury w jezdni. Gdyby siła wyrzygu była tylko ciut większa, kamienie lądowałyby ludziom w ogrodach po drugiej stronie ulicy, wgniatałyby maski samochodów, pukały do drzwi. Do Douglas trzeba jeździć objazdem przez Colby i Ballabeg, co wydłuża czas podróży o dwadzieścia minut. Przez trzy kolejne dni Sian w drodze do pracy podrzuca mnie do Manx Museum, a po skończonej zmianie odbiera.

Zaczynam od kawy w muzealnym bistro. Przeglądam notatki, sporządzam listy rzeczy do sprawdzenia, piszę mejle, w których upraszam powynajdywanych rozmówców i rozmówczynie, by jeszcze przed świętami znaleźli chwilę na spotkanie ze mną. Ukochana Paula Lebedzińskiego, Patricia, spotkałaby się chętnie, niestety jest teraz w Dublinie, na wyspę przyjedzie dopiero w połowie stycznia. Jego przyrodni brat Marcus pracuje od rana do wieczora, jest bardzo zajęty, ale znajdzie godzinkę któregoś dnia między świętami a Nowym Rokiem. Z Brianem Stowellem widzę się w piątek wczesnym popołudniem. Monika Świątek,

Polka ucząca na wyspie polskie dzieci języka polskiego, ma trochę roboty, ale skoro nalegam, zaprasza do siebie we czwartek w porze lunchu. Zjemy zupełnie pomidorową.



Biblioteka otwiera się dopiero o jedenastej, dlatego po kawie zostaje mi zazwyczaj jeszcze dobre pół godziny, by pójść do muzeum. Mam dwa ulubione eksponaty.

Pierwszym jest szkielet wyrzuconego niegdyś na brzeg wieloryba. Olbrzymi, ponaddziewięćdziesięcioletni. Wisi rozpięty u sufitu.

Miał niemal piętnaście metrów długości i ważył blisko czterdzieści ton. „Królewski wieloryb”. „Straszliwy wieloryb”. „Wieloryb z Langness”. Sejwal z rodziny fiszbinowców, z rzędu waleni. Ugrzązł na mieliźnie, tuż przy brzegu, między skałami, których morze nie zasłania nawet w porze przypływu. I zdechł. Wywołując wielkie poruszenie.

Był piątek, ósmy maja 1925 roku. Podczas przerwy między lekcjami zwierzę znaleźli chłopcy z King William's College. Przestraszeni, poszturchali cielsko patykiem, nieśmiało pokopali i pobiegli zawołać nauczyciela. Reszta zajęć tego dnia została odwołana. Dyrektor szkoły uznał, że uczniowie są zbyt podnieceni i nie będą w stanie się skupić.

Kilka chwil później na miejscu zdarzenia była już straż przybrzeżna, niedługo potem całe Castletown.

– Ale ryba! – mówi jeden ze zbiegowiska.

– Nieziemskie stworzenie! – dziwi się drugi.

W sobotę i niedzielę na wyspie nie dyskutuje się o niczym innym, każdy chce zobaczyć wieloryba. Jadą ludzie z Douglas i Pell, jadą z dalekiego Ramsey. Tysiące gapiów. Muszą dotknąć, powąchać. Ktoś próbuje podnieść ciężką opadłą powiekę, ktoś zwiotczała płetwę. Gdyby tak można

zajrzeć do gęby, pod język, wybić na pamiątkę choć kawałek fiszbinu. Żeby mieć. Strzelają lampy aparatów.

Do ochrony wieloryba angażuje się policja, która rozwiesza plakaty informujące o karach za niszczenie zwłok. Dyrektor Manx Museum dokonuje szczegółowych oględzin i postanawia, że szkielet zwierzęcia zawiśnie w jednej z muzealnych sal. Najpierw jednak trzeba się zastanowić nad transportem i oprawieniem cielska. Jak przewieźć je w jednym kawałku?

Mija kilka dni. Langness pustoszeje z oglądaczy. Także dlatego, że w okolicy coraz bardziej cuchnie. Nie pomaga nawet bryza od morza. Mieszkający po sąsiedzku zaczynają się uskarżać na smród padliny, który powoli staje się nie do wytrzymania.

Jednego ranka przyjeżdżają dwa traktory, ciągnące trzy związane dyszlami przyczepy. Pracownicy muzeum i straży przybrzeżnej przez pół dnia walczą z martwym wielorybem. Gdy nareszcie uda im się podnieść zwierzę i złożyć na nietypowym katafalku, oplotą je gęsto grubymi linami – żeby się nie obsunęło, nie spadło, nie narobiło dodatkowych kłopotów. Gazety tego dnia szczegółowo informują o trasie konwoju. Zalecają zamknięcie w domach wszystkich okien i drzwi, a także niewychodzenie na drogę. Karawanę

można pooglądać zza firanki, nie narażając się na przykry i silny odór.

Dystans między Langness a Kirk Braddan niedaleko Douglas to dobrych dwadzieścia kilometrów. Traktory jadą bardzo wolno i ostrożnie. Po kilku godzinach karawana dociera na miejsce pochówku. Wieloryb z hukiem spada z przyczep do wykopanego wcześniej dołu. Tumany piasku na chwilę ograniczają widzenie. Do zakopania zwierzęcia zatrudniono kilkunastu mężczyzn – dobrze uklepią ziemię nad trupem.

Minie parę lat, zanim eksperci z Londynu odkopią i oczyszczą sto sześćdziesiąt dwie kości, by następnie połączyć je na nowo za pomocą nitów i metalowych prętów w muzealnej sali. Olbrzymią całość, ważącą trzy i pół tony, zawieszą pod sufitem.

Wielokrotnie będę się jej przyglądał, z zadartą głową, z pewnym przestraszeniem i smutkiem. Zanim znajdę się w innym skrzydle muzeum, gdzie fauna przechodzi w człowieka.

Arthur Caley mierzył blisko dwieście trzydzieści centymetrów i ważył ponad sto trzydzieści kilogramów. Manx Giant – Gigant z wyspy Man.

W sali na poziomie minus jeden jest mała witryna z jego butami. Czarne, skórzane trzewiki –

a raczej olbrzymie „trzewia”, sięgające tuż za kostkę, zaokrąglone z przodu, na lekkim podbiciu. Popielate. Kruchutkie, bo liczące sobie już co najmniej sto sześćdziesiąt lat. W gablocie znajduje się też metalowy odlew prawej dłoni Arthura. Dłonisko przyszło w prezencie z Ameryki – od wdowy po znanym kolekcjonerze różnych dziwactw.

Caley zmarł w Middlebush w stanie New Jersey w USA, w lutym 1889 roku. Pochowano go w nieoznakowanym grobie, bo istniała obawa, że cmentarne hieny połazą się na kości po gigancie, które z pewnością dałoby się sprzedać za dobre pieniądze. Niejedno muzeum z chęcią włączyłoby do zbiorów ramię albo goleń znanego na świecie olbrzyma. Najcenniejsza byłaby, oczywiście, czaszka, ale swą funkcję spełniłaby w zasadzie każda z dwustu sześciu kości – gdyby obok niej postawić kosteczkę człowieka normalnych rozmiarów.

Arthur Caley urodził się szesnastego listopada 1824 roku jako dwunaste z trzynaściorga dzieci w niewielkim domu należącym do Anne i Arthura Caleyów w Sulby na północy wyspy Man. Jego rodzice i rodzeństwo byli zupełnie przeciętnych rozmiarów. Arthur junior zapowiadał się podobnie. Nie był ani wyższy, ani szerszy, ani cięższy niż jego

rówieśnicy. Kiedy skończył siedemnaście lat, okazało się, że nieoczekiwanie przerósł najstarszego brata; jako dwudziestolatek był już najwyższy w wiosce, rok później zostawił w tyle całą północ wyspy, a za chwilę nie miał już sobie równych wśród wszystkich Manxów.

Arthur przestał rosnąć dopiero w wieku dwudziestu sześciu lat. Do tego czasu był już znanym w Europie olbrzymem. Dawno opuścił wyspę Man i występował w Liverpoolu, Manchesterze, Londynie. Pisały o nim wszystkie ważniejsze gazety, powielając legendy o jego nadludzkiej sile: o tym, jak jedną ręką podniósł wóz pełen rzepy, by drugą ręką naprawić popsute koło; o tym, jak z powodu zakładu przez półtora kilometra ciągnął ważącą pół tony kotwicę, i tak dalej, i tak dalej. Mówiono, że jest najwyższym człowiekiem na świecie i zbudowanym w sposób najbardziej proporcjonalny – jego łapska, stopy czy głowa nie były w żaden sposób wynaturzone. Caley nie był dziwolągiem – a jedynie olbrzymem.

Żeby go na własne oczy zobaczyć, żeby się go przestraszyć i żeby się z nim oswoić, trzeba było zapłacić jednego szylinga. Najchętniej płacili Brytyjczycy i Francuzi. Manx Giant w Paryżu występował w kawiarniach i podczas koncertów, a także na specjalnych wystawach, gdzie dla

efektu ustawiano go w towarzystwie karłów. Był prawdziwą sensacją, aż do pierwszego stycznia 1853 roku, kiedy ogłoszono, że... umarł. Miała go zmóc nagła choroba. Dziś wiemy, że było inaczej, że Caley, cały i zdrowy, opuścił cichaczem Francję i udał się w rejs do USA. Jego najbliżsi współpracownicy wyprawili się razem z nim, dźwigając walizki pełne pieniędzy z wyłudzonego ubezpieczenia. Równowartość dwustu tysięcy funtów zapewniła olbrzymowi kilka spokojnych lat za oceanem, a gdy pieniądze się skończyły, Caley narodził się na nowo – jako pułkownik Routh Goshen.

Pułkownik Goshen znów występuje w towarzystwie karłów (w tym słynnego Charlesa Strattona znanego jako Tomcio Paluch) lub albinosów z Madagaskaru. Caley nosi wojskowe mundury i hełmy z pióropuszcami, które powodują, że wydaje się jeszcze wyższy. Świetnie nadaje się do cyrku, którego gwiazdami są obok niego Gruba Eliza, ważąca ponad dwieście dwadzieścia kilogramów, rosyjski chłopiec o twarzy psa oraz Zip – brakujące ogniwo: pół człowiek, pół małpa.

Zdjęcia wielkiego Manxa pojawiają się w najważniejszych gazetach, krążą o nim legendy (sam chętnie je podsyca), powstają pełne wymyślonych przygód biografie, w których raz

nazywa się go arabskim gigantem, raz tureckim, a kiedy indziej olbrzymem z Palestyny, który dzielnie walczył na frontach niemal wszystkich ówczesnych wojen. Miał też żonę, która w kilka lat po ślubie uciekła z kochankiem, ograbiwszy Caleyę z części bogactwa. Według niepotwierdzonych informacji Caley żenił się jeszcze dwukrotnie, wychowywał też dwoje adoptowanych dzieci. Pod koniec życia na swojej farmie rozstawił namiot cyrkowy, w którym umieścił pamiątki z czasów dawnej świetności – niestety, wszystkie spłonęły podczas pożaru. Niedługo później Caley umiera – w nietypowym dla olbrzymów wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Większość ludzi cierpiących na gigantyzm nie dożywa czterdziestki, najczęściej na skutek komplikacji po chorobach układu krążenia i schorzeniach kostnych.

Trumnę, w której pochowany został Manx Giant, zrobiono na specjalne zamówienie. Była długa na ponad dwa i pół metra i szeroka prawie na metr. Niosło ją ośmiu tęgich farmerów, których czoła, pomimo mroźnej zimy, spływały potem.

W bibliotece zajmuję stół przy wysokim oknie. W całej sali jest tak cicho, że za hałas uchodzi dźwięk piszącego ołówka. Długopisy byłyby cichsze, ale zakazano ich używania. Wystarczy

skreślić dwa słowa i już podnoszą się głowy, odwracają, sondują, skąd harmider.

Rosa Roberts – krawcowa ze słabością do Polski, była przystojną i elegancką kobietą. Prosty i wąski nos, pełne usta o ostrych konturach, wyraźnie zaznaczone kości policzkowe – efekt makijażu? Miała duże, roześmiane oczy i szerokie, poczernione brwi. Nosila suknie z wysokimi kołnierzami na guziki, zakłady w kratkę, kapelusze, czółenka z paskiem na niskim obcasie. Z gazetowych relacji nie wynika, czy była wdową, czy rozwódką – z pewnością jednak żyła sama. Jej butik cieszył się dużą popularnością, szczególnie wśród zamożniejszych klientek. Rosa prenumerowała brytyjskie i francuskie magazyny mody, z których brała inspiracje do swoich projektów. Jej suknie i płaszcze były porządne, ale jednocześnie drogie – nie mogło być inaczej, skoro Rosa wszystkie możliwe urlopy chciała spędzać w odległej Polsce.

Początkowo gazety zamieszczały jedynie jej relacje z podróży po kolejnych powrotach, później pisały też o wyjazdowych planach: dostanie się tak a tak, spędzi w Polsce tyle a tyle, pojedzie tam a tam. Jak tylko wróci, to opowie. Będzie ciekawie i egzotycznie, choć może naiwnie. Grunt, że

dowiemy się czegoś o tym dalekim kraju, a i w Polsce dzięki Rosie i jej rodzinie ktoś może usłyszy o naszej pięknej, małej wyspie.

Po lekturze kilku pociesznych opowieści Rosy przerzucam się na materiały z czasów drugiej wojny i okołowojenne publikacje lokalnych historyków. Szukam informacji o Stanisławie i polskich żołnierzach, którzy w czasie wojny przewinęli się przez wyspę.

– Niektórzy nigdy jej nie opuścili – szepcze zaprzyjaźniona bibliotekarka Cathy. – Byłeś na cmentarzu w Jurby? Jest tam cały rząd z grobami polskich lotników. Może ten twój Stanisław jest wśród nich?

– Nie. On nie zginął na wyspie, opuścił ją przed końcem wojny i wtedy ślad po nim zaginął.

W Jurby byłem już wcześniej. Cmentarz leży przy samym morzu, nie więcej niż pięćdziesiąt metrów od brzegu. Niesamowite wrażenie – stać nad grobami i kątem oka obserwować spienione fale. Spisałem sobie nazwiska pochowanych tam polskich żołnierzy – wśród nich trzech Stanisławów, ale żaden z nich nie jest tym, którego teraz szukam.

Cathy radzi, żebym wybrał się do małego Muzeum Lotnictwa i Wojskowości obok lotniska w Castletown. Trzeba zadzwonić i się umówić, bo

placówka działa tylko w weekendy i w pozostałe dni wolne od pracy, a także w czasie wzmożonego ruchu turystycznego, jak podczas letnich wyścigów motocyklowych TT.

Cathy przynosi z archiwum książki, o które prosiłem dzień wcześniej. Przewodniki po wyspie – niektóre ponadstuletnie. Zakurzone, lekko stęchłe biuletyny. Komitet do spraw Rozwoju Turystyki drukował je każdej wiosny od 1896 roku. Miały zachęcać brytyjskich turystów, by przyjeżdżali na letnie wakacje. Ich strony zapełniały teksty sławiące walory wyspy – klimat łagodniejszy niż w całej Wielkiej Brytanii, bujniejsza przyroda, ciekawsza historia, bogatsze tradycje, bardziej malownicze szlaki pieszych wędrówek i tak dalej. Turystyka była główną gałęzią manxowskiej gospodarki przez kilkadziesiąt lat. Należało ją rozwijać, chuchać na nią i dmuchać. To od niej zależała grubość portfeli hotelarzy, budowlańców, rolników, rybaków, restauratorów. To ona napędzała zmiany w krajobrazie i infrastrukturze – modernizację portów, regulację plaż, budowę lotnisk, karczowanie pól i łąk pod kolejne pola golfowe czy boiska do gry w boule.

Pierwsze biuletyny zawierały jedynie pełną listę hoteli i pensjonatów, z adresami, liczbą pokoi i cenami: tu za nocleg zapłacisz tyle, za kolację

tyle. W późniejszych edycjach pojawiły się kolorowe zdjęcia i rysunki, reklamy czy wiersze miejscowych poetów.

W przewodniku z roku 1930 jako główną atrakcję sezonu zapowiedziano „Polowanie na skarby wyspy Man”, czyli detektywistyczną zabawę z udziałem słynnej Agathy Christie. W ciągu kilku kolejnych letnich tygodni przebywający na wyspie turyści mogli wziąć udział w poszukiwaniach skarbu, który ukryto zgodnie ze wskazówkami popularnej autorki (w tekście *Złoto Manksów*). Do wygrania było łącznie czterysta funtów.

Złoto Manksów? Znałem przecież to opowiadanie. Jedno z najgorszych w dorobku genialnej pisarki. Czytałem je w późnej podstawówce, razem z pozostałymi Poirotami i pannami Marple, ze wszystkim, czym w tamtych czasach dysponowała chojnowska biblioteka. Czyli o wyspie Man musiałem wiedzieć znacznie wcześniej, niż sądziłem...

Po szybkiej zupie w bufecie wróciłem do *Złota Manksów*.

Zanim wujek Myles Mylecharane z Maughold niedaleko Ramsey umrze, dobrze ukryje rodzinne bogactwa. Stary jest cynikiem i wesołkiem jednocześnie. Przed śmiercią chce spłatać swoim

przyszłym spadkobiercom nietypowego figla. Fenella i Juan to jedyni znani mu, żyjący krewni. Wejdą w posiadanie wielkiego majątku tylko pod warunkiem, że okażą się wystarczająco sprytni i inteligentni, by odnaleźć skarb. Wujek przeczuwa, że szanse na to mają niewielkie, bo oboje – chłopak i dziewczyna – są w jego mniemaniu zbyt dobrzy, naiwni i łatwowierni. Pisze o tym w liście, który dociera do młodych narzeczonych dopiero po jego śmierci. Jeszcze tego samego wieczora przyszli spadkobiercy wsiadają na prom płynący z Liverpoolu do Douglas i rozpoczynają poszukiwania.

Przy drugim odczytaniu opowiadanie wydaje się tak samo słabe, jak przy pierwszym – bezbarwni bohaterowie, niemrawa intryga, morderstwo, którego nikt nie stara się wyjaśnić. Christie pisała *Złoto Manksów* na zamówienie, a przez to w pośpiechu. Miała niecały miesiąc i nieprzekraczalny limit czterech tysięcy słów. Wyszła jej z tego bardziej przygodowa awanturka aniżeli porządna detektywistyczna zagwozdzka, z jakich słynie do dziś. Choć broszurowy nakład wyniósł ćwierć miliona egzemplarzy, pisarka dostała za tekst ledwie sześćdziesiąt funtów. Cathy pomaga mi zebrać dodatkowe informacje – przeszukujemy lokalne gazety z lat 1929 i 1930,

czytamy raporty Komisji do spraw Rozwoju Turystyki podsumowujące oba wakacyjne sezony. Co mogę, zabieram ze sobą, do czytania w weekend, bo przed muzeum już czeka na mnie Sian. Wlecemy się do Port St. Mary – przy ołowianym niebie, padającym deszczu i silnym wietrze, przy rozhuśtanym morzu. Aż trudno uwierzyć, że latem wszystko to się uspokaja, łagodnieje – na tyle, by oczarowywać kolejnych przyjezdnych.

Była późna jesień 1929 roku. Wyspa powoli szykowała się do kolejnego letniego sezonu. Burmistrz Douglas i przewodniczący Komitetu do spraw Rozwoju Turystyki Arthur Crookall szukał nowych pomysłów, by zachęcić Brytyjczyków do tłumniejszych przyjazdów. O chimerycznych gości trzeba było nieustannie zabiegać, żeby im się czasem wyspa nie odwiedziała. Burmistrz Crookall dobrze pamiętał rok 1913 i historyczny wynik (nigdy później niepowtórzony) – sześćset sześćdziesiąt trzy tysiące turystów. O zbliżeniu się do tego rekordu nie mogło być mowy, ale żeby choć pół miliona przyjechało, choć czterysta tysięcy. W przeszłości – myślał sobie Crookall – ludzie na moim stanowisku mieli łatwiej. Nie musieli się wysilać, wyspa sama przyciągała ludzi

i kapitał.



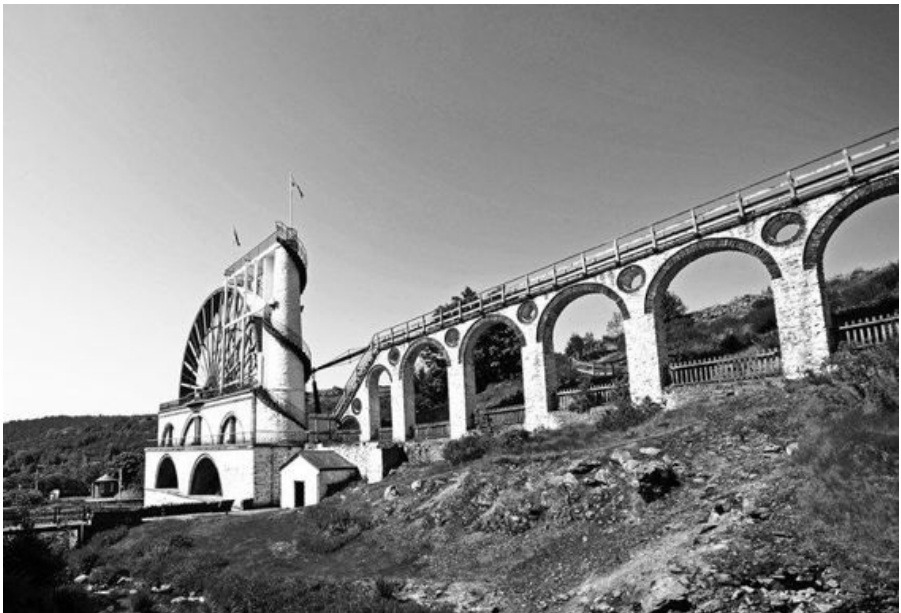
Weźmy drugą połowę XVIII wieku. Wyspa Man działa jak magnes na tysiące angielskich dłużników i bankrutów, różnej maści oszustów, szalbierzy, od których nagle odwróciło się szczęście i musieli uciekać przed wierzycielami, sądem i więzieniem. Sprawiedliwość mogła ich osiągnąć jedynie na angielskiej ziemi – na wyspie, dzięki miejscowemu prawu, ważniejszemu niż londyńskie paragrafy, naciągacze i malwersanci pozostawali bezkarni.

Przenosili się więc chętnie do Douglas ze swoimi resztkowymi fortunami i zaczęli z czystą kartą.

Za ich sprawą reputacja wyspy, już wcześniej nadszarpnięta przemytniczym procederem, została zszargana do reszty. Angielskie gazety nazywały ją „gniazdem oszustów i złodziei”. Dopiero w roku 1814 Tynwald przyjął ustawę, która znosiła bezkarność dłużników. Ci więc szybko zniknęli, za to na wyspę szeroką falą płynęli już inni przybysze – oficerowie brytyjskiej armii, którzy po zakończeniu wojen napoleońskich okazali się nieprzydatni. Państwo płaciło im jedynie połowę żołdu (stąd nazwa „*half pay officers*”), z czego w Londynie utrzymać się było niezwykle trudno. Co innego na wyspie, gdzie życie było dużo tańsze i nie obowiązywały uciążliwe podatki. Wojskowa elita, która przywiozła ze sobą oprócz pieniędzy także własne obyczaje i język, mocno anglicyzowała wyspiarską kulturę. Zmieniły się miejscowa moda – pozostająca dotąd w tyle za londyńskimi trendami – i kuchnia, w której tradycyjnie dominowały dotąd ziemniaki i śledzie. A język manx stopniowo był spychany do niszy. Przez kilkaset lat rozwijał się i był w powszechnym użyciu, aż do momentu, gdy okazało się, że wymiera i że można go usłyszeć jedynie z ust nielicznych, zwykle niewykształconych wieśniaków

– rybaków, robotników czy farmerów.

Mniej więcej w tym samym czasie na wyspie pojawili się górnicy i inżynierowie z północno-zachodniej Anglii (Kumbria), którzy pomagali otwierać kopalnie ołowiu, srebra i cynku. Dzięki górnictwu powstawały nowe miejsca pracy, głównie w Laxey, Foxdale i Port Erin. Uruchomiono również fabrykę płótna żaglowego, gdzie zatrudnienie znajdowali liczni imigranci zarobkowi z północy Irlandii. Przyprawiali na statkach z Belfastu.



Pojedyncze zakłady przemysłowe były jednak

cichutkim echem potężnej i głośnej rewolucji przemysłowej, która szalała w Anglii, przemodelowując zasady, na jakich działało tak całe społeczeństwo, jak i jednostki. Samego ducha rewolucji wyspa więc nie doświadczyła, ale dzięki przestawieniu akcentów w gospodarce umiała sprawnie odpowiedzieć na konsekwencje przemian „za miedzą”. Szczególnie za tą najbliższą – w Lancashire i Yorkshire, regionach, które od dawna funkcjonowały jako tkackie, wełniane i bawełniane zagłębie. Materiały sprowadzono do portów w Liverpoolu i Manchesterze głównie ze Stanów Zjednoczonych i Egiptu, skąd przerobione wysyłano w świat. Praca w przędzalniach była ciężka, choć już nie tak, jak na początku rewolucji, bo dzięki ustawie przyjętej przez Westminster w 1847 roku, kobiety i dzieci nie mogły już pracować po siedemdziesiąt godzin tygodniowo, a „jedynie” pięćdziesiąt pięć i pół. Płacono marnie, mimo to robotnikom wystarczało na krótkie wakacje (koncept samych urlopów pojawił się zaledwie chwilę wcześniej i błyskawicznie się przyjął). Wyspa Man była dla nich idealnym miejscem – w pobliżu, tania, bez fabrycznych kominów, czystsza i piękniejsza niż ich własne okolice. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku blisko trzysta

pięćdziesiąt tysięcy angielskich turystów corocznie zjawiało się w Douglas. To był początek złotej ery w historii manxowskiej turystyki.

Stolica wyspy zostaje przeniesiona z Castletown, które wolało rozwijać się jako centrum turystyczne, do Douglas, które od dawna było największym i najważniejszym miastem. Rozbudowują się porty, gdzie parowce działającej do dziś Steam Packet Company nareszcie mogą wygodnie cumować tuż przy samym pirsie – wcześniej zatrzymywały się daleko w zatoce, a ludzi transportowano na brzeg w małych niezadaszonych łódkach. Pojawia się kolej, która łączy stolicę z południem, zachodem i północą. Po szynach można się też przejechać wzdłuż długiej promenady w Douglas – w jednym z dwudziestu specjalnych drewnianych wagonów zaprzęzonych w konie. W tym samym czasie powstaje też specjalna kolejka elektryczna, która wspina się prawie na sam szczyt Snaefell (621 metrów n.p.m.).

Turystyka wypełza poza Douglas. Wszędzie otwierają się pensjonaty, budują się wielkie hotele, w których organizowane są koncerty i odczyty. Do Castletown i Peel przyciągają turystów zabytki, do Port Erin i Port St. Mary długie, wygodne plaże, wyjątkowe trasy do pieszych wędrówek i obietnice z folderów – o tym, że każdy na własne oczy będzie

mógł dojrzeć fokę czy delfina, a przy odrobinie szczęścia także niegroźnego rekina długoszpasa. W Douglas otwierają się profesjonalne teatry i sale taneczne, które w niczym nie ustępują tym działającym w Blackpool czy w innych popularnych angielskich kurortach. Wyspa wabi już nie tylko niezbyt zamożnych robotników, ale też aspirantów i snobów z klasy średniej. A od roku 1907, gdy rozegrano pierwsze zawody TT (Tourist Trophy), także fanów motocykli i samych motocyklistów. W tamtym okresie pół miliona turystów rocznie uważano za wynik przyzwoity, ale daleki od ideału.

Po rekordowym sezonie 1913 roku (sześćset sześćdziesiąt trzy tysiące odwiedzających) nastroje na wyspie były mocno optymistyczne. Wszyscy żyjący z turystyki zacierali ręce, bo wydawało się, że nie ma powodów, dla których kolejne lato miałoby być gorsze od poprzedniego. Musiałaby się wydarzyć jakaś nieoczekiwana katastrofa. Ale prawdziwa, nie jakieś tam zabójstwo jakiegoś arcyksięcia na jakichś dalekich Bałkanach. Gdzie Sarajewo, gdzie Wiedeń, Berlin i Paryż, a gdzie Douglas? U nas będzie „wsi spokojna, wsi wesola” i „business as usual”. Takie były polityczne kalkulacje i nadzieje, które szybko rozwiąła decyzja władz w Londynie o włączeniu się Wielkiej

Brytanii do wojny po stronie ententy.

Późnym latem 1914 roku gubernator porucznik wyspy Man, baron George Raglan, wystąpił publicznie z apelem do wszystkich turystów, by możliwie szybko opuścili wyspę i udali się do domów. Koniec wakacji. Właścicielom hoteli i prywatnych kwater poradził zaś, by poszukali innego zajęcia na najbliższe chude lata.

Dzięki obozowi internowania i dwudziestu trzem tysiącom „wrogich cudzoziemców” (Niemców, Austriaków, Turków), za których utrzymanie sownie płacił rząd w Londynie, gospodarka wyspy rozwijała się nadzwyczaj dobrze, choć sam sektor turystyczny na kilka lat całkowicie zamarł. Douglas, dotąd tętniące życiem w letnie wieczory, było nazywane miastem duchów, a właściciele hoteli i pensjonatów kłócili się z rządem o tanie kredyty, które pozwoliłyby im przetrwać trudny czas. Ostatni z internowanych cudzoziemców odpłynął w kierunku Liverpoolu w marcu 1919 roku – dwa miesiące później na wyspę powrócili turyści.

Największym wyzwaniem było zapewnienie dostatecznej liczby połączeń promowych, po tym, jak flota należąca do Steam Packet Company poważnie ucierpiała podczas wojny. Rząd w Londynie wypłacił należną rekompensatę, dzięki

której firma mogła zakupić i wydzierżawić kilka dodatkowych jednostek. W ten sposób już w 1920 roku wyspa była w stanie przyjąć ponad pięćset pięćdziesiąt tysięcy turystów.

Hotele znów pracowały pełną parą i były coraz wygodniejsze. Przyjezdni Anglicy cieszyli się, między innymi, z bieżącej wody w kranach i elektryczności. Do dyspozycji mieli też nowo otwarte kina i kolejne sale balowe mogące pomieścić tysiące roztańczonych par (wśród nich Palais de Danse w Douglas, gdzie w czasie kolejnej wojny będą tańczyć Dorothy i Stanisław).

Ale najpierw jest rok 1929. Październikowy „czarny czwartek” na nowojorskiej giełdzie poważnie przestraszył Arthura Crookalla. Burmistrz Douglas nie przeczuwał jeszcze co prawda, że zbliżający się światowy kryzys okaże się tak potężny, ale wolał dmuchać na zimne. Mógł przypuszczać, że tracący pracę brytyjscy robotnicy w pierwszej kolejności zrezygnują z wakacyjnych wyjazdów. Klasa średnia mniej dotkliwie odczuje skutki ekonomicznej depresji i pewnie nadal będzie wyprawiać się przez morze po odrobinę letniego relaksu. Niemniej trzeba było działać, i to jak najszybciej. Należało przyciągnąć na wyspę jak najwięcej turystów. Jak to zrobić? Dać im dobrą rozrywkę, dać im możliwość uczestniczenia

w przygodzie, dać im intrygę utkaną na sprawdzonych motywach: śmierci, miłości, pieniędzy. *Ladies and gentleman, I give you Mrs Agatha Christie.*

Gdy przyплыnęła na wyspę, gazety pisały, że nie wygląda na swoje prawie czterdzieści lat. Miała rozwiane włosy, wyblakłe od słońca, i opaloną twarz – lato w Devon, gdzie mieszkała, musiało być upalne. Szeroki uśmiech i szarozielone oczy. Christie wydała do tego czasu już osiem książek, była niezwykle popularna, stąd jej krótka wizyta budziła wielkie emocje. Po lunchu w towarzystwie gubernatora porucznika i jego żony pisarka wsiadła w samochód i rozpoczęła objazd po wyspie. Jej kierowcą i towarzyszem był burmistrz Crookall. Chodziło o to, by Christie zaznajomiła się z miejscowym kolorytem, z przyrodą, z rzeźbą terenu, z głównymi atrakcjami turystycznymi, z dystansami, jakie dzielą od siebie poszczególne miasta. Wszystko to miało znaleźć odzwierciedlenie w opowiadaniu i grze. Research trwał zaledwie dwa dni – Christie musiała skrócić swój pobyt na wyspie i wrócić do Anglii z powodu nagłej choroby córki.

Dziennikarzowi „Mona’s Herlad”, który odprowadzał ją na prom, powiedziała, że zarys

akcji ma już w głowie, wie też, kto zginie i jak. Jedynym wyzwaniem pozostaje ukrycie skarbu i wymyślenie wiarygodnych, a przy tym nie za łatwych i nie za trudnych wskazówek dla uczestników całej zabawy.

Pomysł, na jaki wpadł Crookall, polegał na zaangażowaniu jak największej liczby turystów w poszukiwanie skarbu – a konkretnie czterech cynowych tabakier wielkości pudełka od zapalek, ukrytych w różnych miejscach na wyspie. W każdej tabakierze znajdowała się półpensówka z dziurką, przez którą przewleczono kolorową wstążkę i kawałek papieru z gratulacjami i instrukcjami, dokąd należy się udać, by odebrać zasłużoną nagrodę – sto funtów (równowartość ponad trzech tysięcy – według dzisiejszej wartości). W sumie do wygrania było więc czterysta funtów. Żeby wiedzieć, gdzie szukać tabakier, należało czytać kolejne numery „Daily Dispatch”, gazety wychodzącej w Manchesterze. Dziennik najpierw wydrukował reguły polowania na skarb, a w każdą kolejną czwarcą sobotę 1930 roku publikował fragmenty *Złota Manksów*, z mniej lub bardziej zgrabnie ukrytymi poszlakami. Z całej zabawy wyłączono mieszkańców wyspy – ich udział ograniczał się jedynie do popularyzacji przedsięwzięcia wśród przyjezdnych. Właściciele

hoteli i pensjonatów dostali broszurę z opowiadaniem autorstwa Christie i zasadami „polowania”, którą – zgodnie z zaleceniami Crookalla – mieli możliwie szeroko rozprowadzić. Mieli też uczyć detektywów amatorów, by ci nie kłopotali się organizacją... szpadli i łopat – żadnego kopania nie będzie, bo żadna z tabakier nie została ukryta pod ziemią.

Potencjalna wygrana rozpała wiele głów. Turyści chętnie dali się wciągnąć w intrygę uknutą przez królową kryminałów – byli już nie tylko biernymi czytelnikami literackiej fikcji, umożliwiono im transformację w bohaterów. Przez kilka tygodni podczas hotelowych śniadań zapewne nie rozmawiano o niczym innym.

Pierwszą tabakierę znalazł krawiec ze szkockiego Inverness, drugą przedsiębiorca budowlany z Lancashire. Jako trzeci o sto funtów wzbogacił się budowniczy okrętów, rodowity Manx, od dawna jednak mieszkający w Liverpoolu. Z kolei czwartej szkatułki nikomu nie udało się odnaleźć – rymowanka zawierająca trop okazała się zbyt trudna. Dwunastego lipca „Daily Dispatch” wydrukowała rozwiązanie zagadki.

Mijają lata. Jest rok 2009, przełom czerwca i lipca. Wyspa nadal jest rajem, nie wakacyjnym jednak,

lecz finansowo-podatkowym. Turystyka to już jedynie dwa procent miejscowej gospodarki, choć odwiedzających nadal jest sporo, około trzystu tysięcy osób rocznie. Na biedniejszych turystów z Anglii, Walii czy Szkocji nikt już tu nie liczy – odkąd pojawiły się tanie linie lotnicze i wczasy all-inclusive, robotnicy zdecydowanie chętniej wybierają plaże Hiszpanii czy Portugalii, aniżeli Port Erin. Zamiast pogodowej ruletki niezbyt zamożni Brytyjczycy decydują się na skwar gwarantowany. Chętniej na wyspie zjawia się za to bogatsza i teoretycznie bardziej wysublimowana klientela: golfiści, chodźkarze, wędkarze, miłośnicy sportów motorowych i profesjonalnych SPA, rowerzyści i triathloniści, ornitolodzy amatorzy, badacze morza, żeglarze.

To z myślą o nich przedsiębiorcy z branży turystyka/seafood organizują „święto małży”. Na kilkudniowy festiwal składają się wykłady, wystawy, imprezy sportowe, degustacje i zajęcia kulinarne, koncerty i potańcówki. Wszystko po to, by ludzie nareszcie nauczyli się, że najlepsze queeniesy na świecie są z wyspy Man, że należy kupować, jeść i kochać tylko i wyłącznie Manx Queenies. Żadne inne się nie umywają.

Restauracje na południu i zachodzie wyspy, gdzie prężnie działają małżownie, wprowadzają na

czas imprezy specjalne menu. Oferują małże pod każdą postacią – z czosnkiem na maśle, w śmietanie, na oliwie z boczkiem, z ananasem, w jogurcie, w gulaszu, z warzywami, z ziołami, w cieście i na surowo.

Bruno chodził cały w nerwach już tydzień przed festiwalem i zarządził obowiązkowe nadgodziny – zamówienia mnożyły się z minuty na minutę. Nawet Shirley i Tracy nie protestowały zanadto, bo rozumiały powagę sytuacji.

Manx Radio i 3fm bez przerwy trąbiły o „polowaniu na złotego małża”, które zaplanowano jako główną atrakcję festiwalu. Gazety przypominały chlubną tradycję poszukiwania skarbów zapoczątkowaną siedemdziesiąt dziewięć lat wcześniej przez Crookalla i Agathę Christie. Tym razem pomysł był jednak nieco skromniejszy, bez intrygi, bez morderstwa, za to z nagrodą, którą nie pogardziliby ani wyspiarze, ani nawet zamożni goście. Szpadle i łopaty były dla odmiany mile widziane.

Gdzieś na wyspie zakopano plastikową skrzyneczkę. Kto ją odnajdzie i dostarczy organizatorom festiwalu – wygra szczerozłotą queenisową muszlę o wartości czterech tysięcy funtów. Niezbędne wskazówki ubrano w wierszyk,

który wydrukowano w programie festiwalu. Folder kosztował dwa i pół funta.

Sian pamięta, że też go kupiła. Rosemarie – jej sąsiadka i koleżanka – tak gadała i gadała o tej złotej muszli, tak się nią podniecała, że Sian w końcu kupiła. Powinien gdzieś tu być, w kuchni, dopiero co go widziała. Jedną chwilę. Szuka i opowiada.

– Rosemarie zachowywała się, jakby jej do reszty odbiło, jakby od upolowania muszli zależało jej życie. Przez cały tydzień nie mówiła o niczym innym. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Przychodziła do mnie na kawę i klepała z pamięci fragmenty rymowanki – dlatego Sian do dzisiaj świetnie ją pamięta. – Zapropnowałam, że jej pomogę, że mogłybyśmy razem przekopać teren, który wydał mi się podejrzany. Wyśmiała mnie. Powinieneś był ją zobaczyć – sama myśl o tym, że musiałyby się podzielić nagrodą, wydała jej się niedorzeczna. Samotnie zjechała pół wyspy, nałaziła się, nakopała, napociła i nic. Była wściekła, gdy okazało się, że pudełko znalazła ta kobieta z Port Erin. I gdzie? Dokładnie tam, gdzie myślałam, że może być schowane.

Czterdziestoletnia Sarah Brown – kobieta z Port Erin – była przeciwniczką godną Rosemarie, jeśli chodzi o determinację. Tylko sprytniejszą i bardziej

domyślną. Szybko się zorientowała, że w zagadce chodzi o małą, ustronną plażę na obrzeżach Port Erin. Spędzała na niej z łopata każdą wolną chwilę. Kopała po cztery godziny dziennie przez niemal tydzień. Oprócz niej nikt inny na plażę nie zaglądał, więc Sarah powoli zaczynała wątpić, czy to aby na pewno właściwe miejsce. Mimo obaw, kopała dalej. Ostatniego dnia, w niedzielę, gdy po śniadaniu ponownie zjawiała się na plaży, było tam już co najmniej trzydzieścioro innych poszukiwaczy skarbu. Bez Rosemarie. Albo nagle wpadli na trop, albo wcześniej obserwowali ją z promenady i domyślili się, w czym rzecz. Przerażona, zabrała się do pracy. Koniec końców to właśnie jej się udało. Złota muszelka stanęła w salonie na kominku, między ślubnymi zdjęciami. Na środku.



„July, fuck off!”

– Tylko tyle? Tylko tyle masz jej do powiedzenia przed śmiercią? – Grzegorz (Greg) na powrót zgiął kartkę na cztery i włożył ją do koperty, po którą chwilę wcześniej ostrożnie sięgał. Wystawała z kieszeni puchowej kurtki leżącej na ziemi. Autor listu stał może dwa metry dalej, na krawędzi wysokiego klifu. Jeden krok i rozpoczęłyby spadanie. Cały się trząsał. Wysoki, chudy, łysiejący. Z oznakami pijaństwa na twarzy, ochrypłym głosem wieloletniego palacza i silnym akcentem z Liverpoolu.

– *She’s a bitch!* Nienawidzę jej!

Był zimny grudniowy poranek. Potwornie wiało. Do straży zatelefonował mieszkający nieopodal staruszek. Siedział w fotelu na oszklonej werandzie i przez wielką lunetę obserwował kolorowy kontenerowiec wolno płynący w kierunku Irlandii oraz tańczące na wietrze mewy. Góra – dół, góra – dół, niezdarne ptasie baletnice na tle szaroczarnych chmur. Jedna z nich postanowiła odłączyć się od zespołu i skręciła w stronę brzegu. Luneta z wolna podążała za samotnie szybującym ptakiem, nagle jednak się zatrzymała.

– Ściągać kurtkę w taką pogodę? W taki ziąb?

Dziwne – pomyślał dziadek. Dziwne, tak stać w samej polówce, z gołą głową, tak się chwiać w przód i w tył.

Greg z ekipą byli na miejscu siedem minut później.

– Przekonaliśmy faceta, żeby dopisał parę słów do pożegnalnego listu do July. „*Fuck off*” wydało nam się dość lakoniczne. Chwilę pomyślał i zapytał, czy mam długopis. Miałem. Kiedy wyciągnął rękę, złapałem go i mocno szarpnąłem.

Grzesiek opowiada mi tę historię podczas treningu, jakiś czas po zdarzeniu. Jest sobotnie popołudnie, wietrzne, ale bez deszczu. Tak się zagadamy, że przebiegniemy ponad osiemnaście kilometrów.

Biegamy często, gdy tylko pozwala na to pogoda i gdy Grzesiek ma wolne w Tesco i straży przybrzeżnej. Parkuje samochód przed domem Sian albo przyjeżdża po mnie i jedziemy w miejsca, do których trudno dojechać autobusem lub dojść. Grzesiek zna wyspę jak własną kieszeń – dowożąc ludziom zakupy, poznał odludzia, zakątki, ustronia, wąskie, niepozorne dróżki, które prowadzą do ukrytych plaż i domów przy plażach. Tu mieszka minister, tu trenerka fitness, tu stara wdowa kociara. Całkiem nieźle zna też wody wokół wyspy i jaskinie, w których nurkują na ćwiczeniach

z coast guardu.

– To było przed samym Bożym Narodzeniem. Wariat, taki jej chciał prezent sprawić. Biedna July – żartuje Greg i dodaje, że grudzień jest dla potencjalnych samobójców wyjątkowy. Podobnie beznadziejna pogoda panuje i w listopadzie, i w styczniu, ale desperackich prób najczęściej jest właśnie w grudniu. No i podczas zawodów TT, czyli latem, kiedy pogoda bywa naprawdę niezła. Na wyspę zjeżdżają wtedy tysiące turystów, dziesiątki tysięcy. W ciągu dnia oglądają wyścigi motocyklowe, a wieczorami się upijają. Impreza trwa dziesięć dni bez przerwy.

– Co durniejsi wymyślają sobie na przykład po pijaku, że przepłyną z jednego końca promenady na drugi albo że skoczą sobie z urwiska i dopłyną do brzegu. Zaczynają się topić po dziesięciu metrach.

Najwięcej interwencji zapewniają jednak nierozważni właściciele psów ze słabością do aportu. Pies biegnie za patykiem, nie zdąży wyhamować, spada. Zatrzymuje się kilka metrów niżej na półce skalnej albo w szczelinie, czasami dopiero w wodzie. Potrzebne są liny, latarki, raki, pianki kąpielowe. Potrzebna jest sprawność i odwaga. Oraz dyspozycyjność, bo telefon może zadzwonić i nad ranem.



Tak jak w zeszły weekend, dlatego Grzesiek w ostatniej chwili musiał odwołać nasz trening. Za to dzisiaj nadrabiamy – biegniemy z Port St. Mary do Castletown i z powrotem, cały czas wzdłuż brzegu – przez pola zakończone stromymi urwiskami, przez miękkie, zapadające się łąki pełne króliczych nor.

Grzesiek opowiada, jak znalazł się na wyspie (zupełny przypadek), jak postanowił, że zostaje (żeby nazbierać pieniędzy na kolejną wysokogórską wyprawę – tym razem Mount Blanc), jak poznał Julkę, jak się zaręczyli, jak sprowadził sobie z Polski kamper, jak spędzają w nim z Julką kolejne sylwestry (parkują na Sound

i od wieczora grają w planszówki – raz pokłócili się o nieprzepisowe ruchy i poszli spać jeszcze przed północą), jak pojechali na wakacje na Bali, jak się zapisał do klubu biegowego („Manx Fell Runners” – szaleńcy, którzy przez cały rok, słońce, deszcz, biegają po najwyższych wyspiarskich górach i najgłębszych wąwozach), jak dopiero po trzech latach zrozumiał, że nie chce wracać do Polski. Że nie ma po co.

Mówi, że od niedawna, może od roku, gdy ludzie pytają, skąd jest, odpowiada, że z Castletown, nie z Sosnowca, nie z Polski. Po siedmiu latach czuje, że ma prawo, że to żadne oszukaństwo.

Niektórzy się dziwią – na ich twarze wstępuje grymas, marszczą czoła na znak zapytania. Nie takiej odpowiedzi się spodziewali, gdy chwilę wcześniej wychwycili obcy akcent. Ale Greg nie dotłumacza, a oni zazwyczaj nie dopytują.

Co roku 11 listopada, w Dniu Pamięci, straż przybrzeżna bierze udział w uroczystej paradzie. Razem z policją, ze strażą pożarną, z ratownikami z Lifeboat. Wszyscy na galowo, w odświętnych mundurach, przy dźwiękach orkiestry maszerują promenadą w Douglas. Grzesiek ma na sobie białą koszulę, czarny krawat, na biało-czarnej czapce triskelion wyszyty złotymi nićmi.

To było w czasach, gdy święty Patryk wyprawił się z Irlandii na wyspę Man. Kiedy zbliżał się do brzegu, wielki czarodziej rządzący królestwem od setek lat, Manannan Mac Lir, czując przez skórę, że nadchodzi prawdziwe niebezpieczeństwo, za pomocą magii rozpostarł przed nim mgłę. Tak gęstą, że nie dało się przez nią dostrzec ani słońca, ani wody, ani ładu. Dezorientowała i przestraszała – żeglarze od zawsze bali się mgieł, szczególnie tych nagłych, których chwilę wcześniej nic nie zapowiadało, które nie wiadomo skąd przychodzą. Mogą skrywać mielizny albo groźne skały. Święty Patryk nie zląkł się jednak i odważnie wpłynął w mgłę. Czuł, że w pobliżu czai się wielki potwór, który chce go połknąć. Różne zwierzęta próbowały poprowadzić świętego Patryka we właściwym kierunku, do maleńkiej wysepki leżącej tuż przy porcie w Peel (która od tego czasu będzie nosiła jego imię). Przybysza witały między innymi kruk i becząca koza. Koniec końców świętemu Patrykowi udało się pokonać mgłę i bezpiecznie zacumować łódkę. Na grzbiecie swojego konia przeskoczył z wysepki na stały ląd i pognał na wzgórze. Po drodze rozprawił się z potworem: rzucił nań klątwę i zamienił go w skałę.

Gdy wszechobecna mgła zaczęła się podnosić, okazało się, że wzgórze otacza armia uzbrojonych wojowników czekających na rozkaz, by zgładzić lub przepędzić przybysza. Promienie słońca odbijały się od ich zbroi i ostro zakończonych włóczni. Święty Patryk i tym razem jednak się nie przestraszył. Wiedział, że złowrodzy bojownicy to ułuda, że nie istnieją naprawdę, a są jedynie wytworem czarów Manannana. Nikomu nie mogliby zrobić najmniejszej krzywdy. Biskup rozkazał magicznym tworom, by się rozpierchły.

Mac Lir uznał swoją porażkę. Przemienił siebie i swoich rycerzy w zwinne trójnogi, które z prędkością błyskawicy staczały się z góry w kierunku morza. Nawet wiatr nie był w stanie ich wyprzedzić. Równie szybko przepawali się przez wzburzone fale. Zatrzymali się dopiero kilkanaście mil morskich dalej, na niewielkiej zaczarowanej wysepce leżącej na południowy zachód od Calf of Man. Manannan zatopił wyspę, która od tamtej pory spoczywa na dnie morza. Sam też poszedł pod wodę i nigdy więcej go nie widziano.



Polki ubierają się coraz lepiej, niektóre z nich to prawdziwe elegantki – mówi Rosa Roberts po powrocie z wiosennych wakacji w Polsce (rok 1957). – Chętnie noszą modne w tym sezonie kolory: niebieski, żółty i czerwony, powoli odchodzą też od zwykłych cielistych rajstop na rzecz bardziej fantastycznych. W kwestii mody Polska szybko nadgania zaległości – szczególnie ludzie młodzi. U starszych mężczyzn, niestety, nadal dominują ciężkie buty za kostkę, przypominające gumowce, u starszych kobiet szarości i wiejskie chusty wokół głowy wiązane pod brodą.

– A jak tym razem przebiegła sama podróż? – pyta reporter „Isle of Man Examiner”.

– Wybornie. Z Southampton płynęliśmy polskim transatlantykiem „Batory”. To prawdziwie luksusowy statek. Za towarzysza podróży miałam, między innymi, byłego polskiego ambasadora w Stanach Zjednoczonych, który wracał do Polski po skończonej służbie – niezwykle interesujący dżentelmen. Mieliśmy szczęście, że udało nam się wpłynąć do Gdyni, bo Bałtyk w wielu miejscach pozostawał zamrznięty. W porcie czekał na mnie mój zięć Borys. Podróż do Koźła jego samochodem

zabrała nam blisko piętnaście godzin. Polskie szosy są w dość opłakanym stanie, w gorszym nawet niż dziurawa droga między Castletown a Port St. Mary.

Przez większą część pobytu Rosa przebywała w Koźlu. Jedynym wyjątkiem była sympatyczna wycieczka do pięknego Krakowa, i to zaledwie w chwilę po tym, jak do miasta na koncerty chopinowskie przyjechała Elżbieta Bawarska, królowa Belgów.



– To w Krakowie zjadłam pierwszego wołowego tataru w życiu. W restauracji podali nam go jako przystawkę. Wspaniała rzecz, choć muszę

przyznać, że początkowo dość się wzdragałam. Wystarałam się o przepis, którym chętnie podzielę się z czytelnikami gazety. Należy pamiętać, że mięso musi być możliwie najświeższe. Jemy na surowo, z surowym jajkiem.

Teraz zjemy lunch – mówi Monika. – Pomidorową z makaronem. Tylko nie myśl, że my wyłącznie po polsku gotujemy – zastrzega i tłumaczy, że na wyspie wyhodowali w sobie miłość do muli – załapałbym się, gdybym ich odwiedził w niedzielę, a nie w tygodniu. W Polsce, nawet gdyby o mulach pomyśleli, nie byłoby ich stać. Skalopów też by raczej nie spróbowali, a lubią i kupują świeżutki bardzo często. Czasami prosto z małżowni – jeśli akurat są w Port St. Mary. Choć bywają rzadko. Kiedyś z Tomkiem i Manuelą więcej jeździli po wyspie – z jednym dzieckiem jest łatwiej się zorganizować. Przy trzech dziewczynach nawet krótki wyjazd to wyprawa.

Monikę znalazłem w internecie. Prowadzi stronę z poradami dla rodziców – głównie polskich rodziców z wyspy. Na przykład co robić, gdy dziecku miesza się polski z angielskim. Jak reagować? Ma kilkaset odsłon miesięcznie i liczne, w większości pozytywne komentarze. Miejscowe matki Polki często zaglądają na stronę, wiele z nich zna też Monikę i chętnie posyła do niej dzieci na zajęcia.

W rogu salonu stoi żywa choinka, ubrana w papierowe ozdoby i bombki, przy kredensie

i krawędzi kominka falują girlandy z jodły.

Średnia córka Wiwiana wnosi do salonu pełne talerze z pomidorową – wolno, próbując opanować trzęsące się ręce.

– Powolutku, spokojnie – instruuje ją Monika. – Brawo, kochanie, ani kropelki nie wylałaś! Dziękujemy! Czy mogłabyś nam jeszcze przynieść sól i pieprz? Wspaniale! Będziemy ci niewymownie wdzięczni.

– Niewy jak? – Wiwiana powtarza z trudem.

Monika celowo używa trudnych słów. Podczas naszego spotkania zwraca się do córek, mówiąc, że latawiec, którego szukają, prawdopodobnie znajduje się w trzeciej szufladce od góry w tej jasnobrązowej komodzie naprzeciwko lustra w przedpokoju; albo żeby gdy wychodzą na zewnątrz, koniecznie włożyły nauszniki, cieplejsze kurtki i gumowce, bo po deszczu jest straszne błoto, i żeby porządnie zatrzasnęły za sobą kuchenne drzwi. Nie zwyczajne rodzicielskie komendy, tylko ładne, rozbudowane zdania, z prośbą, z dziękuję, z bezbłędną fleksją, z imionami w śmiesznym, nadętym wołaczu.

– Wyplenię im z głów ten ponglish, zanim się w nich zakorzeni, choć to walka trudniejsza, niż sądziłam.

Bo weźmy Manuelę. Monika myślała, że z nią

akurat językowych problemów mieć nie będzie. Skoro urodzona w Polsce, skoro w Polsce przeżyła sześć pierwszych lat, skoro chodziła do polskiej zerówki, z polskimi dziećmi. Naokoło miała tylko polski. A teraz, jako czternastolatka – proszę. Zaraz mi pokaże, co Manuela potrafi powiedzieć. Monika notuje sobie wyrażenia córki i używa ich później jako narzędzi dydaktycznych.

Mamo, mamo, a pamiętasz, jak kiedyś mieszkaliśmy w Polsce, w niedzielę rano byśmy wstali wcześniej, byśmy jedli na śniadanie naleśniki, byśmy pojechali do babci.

Monika wszystko pamięta aż za dobrze, również te niedzielne naleśniki – na wodzie i jednym jajku, z najtańszym dżemem z Biedronki. Manuela biedne dzieciństwo w Polsce zamieniła sobie na przyjemną nostalgię. Monika tak nie potrafi. Jest w niej żal i pamięć o upodleniu. Oprócz naleśników dobrze pamięta biedajogurty za sześćdziesiąt groszy, zamiast kolorowych danonków za złoty dwadzieścia, o które prosiła córka; pamięta, jak budziła się w nocy i myślała, skąd wezmą z mężem na ubezpieczenie małej w przedszkolu, skąd na naprawę samochodu, skąd na ratę w banku, skąd na internet, który założyli kilka miesięcy wcześniej

i którego nie byli w stanie opłacić. A już najlepiej to pamięta ten płaszcz na zimę. Piękny, z dobrej wełny, z wysokim kołnierzem, z dużymi guzikami, po kolana. Płaszcz marzeń zamiast znoszonej puchowej kurtki. Kosztował siedemset dziewięćdziesiąt złotych.

– Boże! Siedemset dziewięćdziesiąt złotych, podczas gdy ja zarabiałam dziewięćset czterdzieści. Stałam w tym sklepie, gapiłam się na cenę i mało się nie poryczałam. Nawet go nie przymierzyłam. Było mi tak strasznie przykro. Czuję się, jakby mi ktoś strzelił w pysk.

Mąż Tomek po studiach przyrodniczych pracował jako administrator sieci komputerowych, ona po pedagogice, nauczycielka klas początkowych – z artykułami w prasie naukowej, z wszystkimi możliwymi nagrodami i pochwałami, z rozpoczętym doktoratem. Młodzi, wykształceni, pracownicy, nierozrzutni. Gdzie popełnili błąd – gdzie i kiedy? Wydawało im się, że zrobili wszystko, co trzeba, by żyć na normalnym poziomie, nie luksusowo, bo luksusy nigdy im się nie śniły, ale właśnie normalnie.

– Myślałam, że mam jakąś skazę, że jestem gorsza od innych, którzy sobie radzą, potrafią związać koniec z końcem. Chyba muszę być życiową sierotą, taka jestem niegospodarna,

głupia, niezaradna. Prawie w to uwierzyłam.

Mamo, chciałabym zostać dyrektorem.

– Dyrektorem czego?

– Filmów. Dyrektorem, co robi filmy.

Tomek wrzucił w internet ogłoszenie, że najmie się jako złota rączka – do prac domowych i w ogrodzie. Angielski w stopniu komunikatywnym. Może zacząć od zaraz. Plan zakładał, że on sam wyjeżdża na rok i w funtach zarabia na spłatę długów. Jednego dnia dzwoni telefon – pewien Irlandczyk, mieszkający na wyspie Man. Właśnie kogoś takiego szuka, do domu i wielkiego ogrodu. Tomek był idealnym kandydatem, w dodatku katolik, a polski papież umarł zaledwie chwilę wcześniej. Pracę ma choćby od jutra, zapewniony transport z Lublina i opłacone mieszkanie na promenadzie w Douglas. Jeszcze tylko sprawdzić na mapie, gdzie ta wyspa, a później już pakowanie, pożegnanie i wyjazd.

– Nie wytrzymałam – mówi Monika lekko zawstydzona. – Nie przypuszczałam, że bez Tomka będzie mi aż tak źle. Przez cały tydzień płakałam. Przez tydzień, a w perspektywie miałam rok! Uznałam, że rodzina musi być razem – bo inaczej po co nam te wszystkie funty.

Wymówienie składała z ciężkim sercem, bo praca w szkole to jej *dream job*. Rozumiała, że rezygnując i wyjeżdżając z Polski, ryzykuje ostateczne rozstanie z zawodem. Zakładała, że za granicą na bycie nauczycielką nie będzie miała szans – sprzątaczką, kucharką, kasjerką, owszem, ale nie nauczycielką.

Jak było w szkole?

– *Fajnie. Uczyliśmy się szycia.*

– *O.*

– *Najpierw zrobiłam templates, wtedy je wycięłam, a potem znalazłam fabryki.*

Manuela poszła do szkoły zaraz po przyjeździe na wyspę. Początki były trudne ze względu na język, ale po pół roku mówiła już płynnie, bez słyszalnej różnicy w porównaniu z miejscowymi dziećmi. Monice nauka angielskiego zajęła nieco dłużej. Dobry rok. Poszła na kurs do college’u, nie rozstawiała się ze słownikiem, próbowała oglądać telewizję i czytać miejscowe gazety. Jak przychodziło pismo ze szkoły, sama tłumaczyła, słowo po słowie, i odpisywała, jak szła z małą do lekarza, to robiła notatki i prosiła o wytłumaczenie – jeszcze raz, jeszcze prościej, a jak przeliterować to słówko? *Good or bad? Bad? Why?*

Ujęło ją, że lekarz ma cierpliwość do tych jej dociekań, że ma dla niej chwilę czasu, że jest miły, po prostu miły. W Polsce na takich nie trafiała.

– To było moje największe zdziwienie po przyjeździe: uprzejmy lekarz, który nie dominuje cię swoim białym fartuchem i ego większym niż cały gabinet.

Miły lekarz, miły sąsiad, miła pani na poczcie i kasjerka w banku. Miłe na ich twarzach uśmiechy.

– Tak zwyczajnie zapytać, jak się mam? Czy u mnie wszystko OK? Że dzień jest piękny albo że dziś mocno wieje. Boże! Dlaczego oni ze mną rozmawiają? Przecież się nie znamy, przecież jedynie mijamy się na spacerze. Gdzie ja jestem? – myślałam.

Monika śmieje się w głos, dziwiąc się własnym zdziwieniom sprzed ośmiu lat. Dzisiaj sama zagaja do listonosza, do sąsiadów za płotem, do kelnerek, do sklepowych, do rodziców innych dzieci, gdy widzą się w szkole. *Youhuuuu, lovely day*, albo że zanoszą się na deszcz, miłego popołudnia, *see you soon, hello, hello, good morning*.

Kochanie, oddałaś pracę domową?

– *Tak, zostawiłam ją pani na desce.*

Tomek nadal pracuje u Irlandczyka. Podcina drzewka w ogrodzie, plewi, przesadza, kosi trawę. Gdy jest potrzeba, odmalowuje ściany lub ogrodzenie, naprawia drzwi i ciekące krany. Ma służbowego wana, którym jeździ po domowe zakupy, starsze dziewczynki zawozi do szkół, a najmłodszą Xymenę do przedszkola.

Monika zaczynała od sprzątanania. Dała ogłoszenie w gazecie, na które jako pierwsza odpowiedziała starsza pani Merry. Dziś się przyjaźnią, ale początek był ze zgrzytem.

– Zapytałam ją jednego dnia, jak przeczytać nazwę ulicy. Było napisane I-we-de-ne a-we-nju. I ona tak na mnie spojrzała, i mówi: Ajvidin awenju. Ja mówię OK, a ona zdziwiona pyta: to ty nie umiesz czytać, nie znasz liter? Nie uczyli cię w szkole, jak się czyta wyrazy na „i”? Zatkanło mnie. Poczułam się mała, głupia, nic niewarta, a to przecież Merry nie skończyła nawet szkoły średniej. Wracam do niej tydzień później i pytam: Merry, a jak przeczytasz idiotę: ajdiot czy idiot? Oczywiście, że idiot. OK, mówię. Czyli czasami „i” czytamy jako „aj”, a czasami jako „i”, tak? *Yes, exactly.*

Merry nie poznała się na żarcie. Do dzisiaj nie wie też, że nieświadomie zdopingowała swoją panią sprzątającą do językowej harówki. Monika

kładła dziewczynki spać, a sama zasiadała do biurka. Rozkładała zeszyty i słowniki, i wkuwała: idiomy, wyjątki, kiedy jaki przyimek, słowotwórstwo, wszystkie czasy, stronę bierną. Do bólu, do skutku.

Najsilniejszym bodźcem do nauki przez pierwsze lata pozostawał grymas na twarzach ludzi, z którymi Monika próbowała rozmawiać. Niby cała konwersacja przebiega gładko, gadamy sobie, gadamy, aż tu nagle popełnia człowiek jakiś kiks, mały, nieważny błąd, źle odmienia czasownik, mówi *bitch* zamiast *beach*, przeciąga e i zamiast promu wychodzi mu owca, o sekundę za długo szuka w głowie odpowiedniego wyrazu, który zakończy zdanie i odda jego sens. Koniec. Po tobie.

– Ten nagły, chwilowy grymas to kombinacja: zmarszczone czoło, pytające spojrzenie, lekko przymrużone oczy, lekkie skrzywienie głowy. Niby nic, a masz wrażenie, jakby twój rozmówca mówił: no wysłówżeź się wreszcie, kobieto, ile mam czekać. Cała zaraz drętwiałam. Paraliżował mnie wstyd, poczucie gorszości i beznadziei. Miałam wrażenie, jakby wszystkie moje wysiłki szły na marne.

Wśród polskich znajomych i znajomych znajomych szybko rozniosła się wieść, że Monika po angielsku śmiga jak mało kto. Więc dzwoniли,

przychodzili, prosili, a to, żeby pismo napisać do właścicielki mieszkania, a to do szkoły jakieś podanie, a to wypełnić druk po zasiłek, po *work permit*. Z niektórymi Monika chodziła do urzędów albo do lekarza, do szpitala. Słuchała, dopytywała, później tłumaczyła i odpowiadała.

– Kiedyś tych niemówiących po angielsku było znacznie więcej, ale sporo z nich powyjeżdżało z powrotem do Polski. Oni nawet nie podejmowali próby nauki języka. Wiedzieli, że trochę tu posiedzą, trochę odłożą i wrócą. Wkuwanie słówek im się nie kalkulowało. Co innego ci, którzy zostali do dziś. Ci starsi, późna czterdziestka, pięćdziesiątka, jakoś sobie radzą, gorzej lub lepiej, ale o swoje sprawy umieją zadbać, załatwić, co trzeba. Ci młodszy, w wieku moim i Tomka, trzydzieści, czterdzieści, nie mają z językiem żadnych problemów. Są *superfluent*. Co innego ich dzieci, ich i nasze, które mają problem, i to poważny – z polskim...

Pojechaliśmy dziś ze szkoły do wild park w Ramsey. Na autobusie siedziałam razem z Katie. Mają tam różne zwierzęta: mały, elephants, żyrafy, donkeys, snakes.

Świątkowie mieszkają na obrzeżach Douglas.

Zajmują przestronny bungalow z trzema sypialniami i przytulnym salonem. Z kuchni mają widok na las. W niedziele, jeśli jest ładna pogoda, chodzą tam na spacer. Popołudniami, bo najpierw obowiązkowo msza. Kościół, rzecz jasna, katolicki. Niemal w całości wypełniony Polakami. Częściej niż *good morning* słyhać dzień dobry i niech będzie pochwalony. Przychodzą całe rodziny, razem z babciami, które przyjechały na wyspę, by opiekować się wnukami. Dla nich liturgia po angielsku, wszystkie te modlitwy, hymny i psalmy, to prawdziwe wyzwanie. Zamiast *Ojciec nasz*, „*Our Father who art in heaven*”.

– Nasze dziewczynki nie mają z modleniem się po angielsku żadnych problemów, my z Tomkiem owszem. Ciągłe pamiętamy, jak co jest po polsku, i sobie to podczas mszy powtarzamy, choć niektóre modlitwy i pieśni już opanowaliśmy.

Monice podoba się, że ksiądz ani słowem nie napomknie o polityce, że nawet się do niej w kazaniu nie zbliża. Fajne jest też to, że wobec kościelnego *sacrum* obowiązuje zupełnie inne niż w Polsce *decorum*.

– Dzieci turlają się podczas mszy po dywanie, gaworzą, bawią się klockami. Dzięki temu kościół kojarzy się maluchom z przyjemnym miejscem, do którego chętnie wracają. Nasze najmłodsze

codziennie pytają, kiedy będzie niedziela, kiedy idziemy do *church*.

Kościelna swoboda nie wszystkim jednak odpowiada. Jest grupa, która zawsze wychodzi po mszy zde gustowana. Brakuje im ciszy, spokoju i powagi. Bo powagi nigdy za dużo. To samo z tymi sztucznymi uśmiechami na twarzy, z tymi wiecznymi *hello, how are you?* Nie znamy się, do cholery, więc mnie nie pytaj i się do mnie nie uśmiechaj, ty głupi Angolu, ty ciemna Angolko. Przyjechaliby do Polski, toby zobaczyli prawdziwe kościoły, wielkie, gotyckie, poważne. By zobaczyli, co to jest prawdziwy chleb, by tego tostowego ścierwa nigdy więcej do ust nie wzięli. Ani tego pogryźć, ani połknąć, do dziąseł się klei i palcami wybieraj.

Z takimi Polakami rodzina Świątków chce mieć jak najmniej do czynienia.

– To my się mamy dostosować i tyle. To my tu jesteśmy przyjezdni i musimy przestrzegać ich reguł i zwyczajów. Czterolatki mają iść do szkoły? Proszę bardzo, najwidoczniej żadna krzywda im się nie dzieje. Mamy chować jajka na Wielkanoc po krzakach? *No problem!* Nie ma koszyczków i święconki? Przecież ich za to nie powystrzelam. Nie ma wigilii? *Well, what can you do!* A i do tostowego chleba idzie przywyknąć.

Xymena po jedzeniu zupy robi się senna. Siada na dywanie przy krześle Moniki i oplata ręce wokół jej kolan.

- *Mummy, I love you.*
- A powiedz to po polsku, serduszko.
- Kocham cię.
- Brawo, ja ciebie też kocham.

Po lunchu pijemy kawę i jemy ciastka. Później Monika prowadzi mnie do pokoju, który wygląda jak szkolna klasa. Jest biurko z krzesłami, jest regał pełen książek i zeszytów. Na ścianach wiszą malowane przez dzieci obrazki. Jest też mała czarna tablica i kolorowe kredy, dużo edukacyjnych zabawek.

Od ponad trzech lat Monika znów uczy. Założyła stronę w internecie, uruchomiła działalność gospodarczą i została korepetytorką.

– Miałam kilkoro dorosłych Polaków, którzy potrzebowali podszkolić swój angielski, i kilka osób stąd, które chciały spróbować polskiego. Był jeden menedżer z McDonalda – zatrudniał prawie wyłącznie polskich pracowników i chciał wiedzieć, o czym między sobą rozmawiają. Byli też rodzice jednego miejscowego chłopaka, który zaręczył się z Polką. Planowali podróż do Krakowa na ślub i wesele i uznali, że byłoby z ich strony miło, gdyby

nauczyli się choć paru zdań.

Zdecydowana większość jednak to polskie dzieci, które przychodzą po naukę polskiego. Monika przy każdej okazji przekonuje rodziców, że będzie to z ich strony inwestycja, której nigdy nie pożałują.

– Bo założmy, że rodzina wraca do Polski. Trochę się tu dorobili, naskładali na mieszkanie czy dom i zwijają manatki. Ich dziecko ma lat, założmy, piętnaście. Po polsku może i rozumie, powiedzieć też coś powie, ale będzie błąd na błędzie. Że nie wspomnę nawet o pisaniu. Przychodzi do mnie dziewczynka i proszę ją, by napisała „szczęśliwy”. Nie wie, od czego zacząć, to zadanie ją przerasta. Jak takie dzieci mają sobie nagle poradzić w polskim gimnazjum na lekcjach chemii, historii, matematyki czy polskiego? Owszem, z angielskiego będą miały szóstkę, a z reszty przedmiotów pały.

Nikt nie wie, ile konkretnie Polaków i Polek mieszka obecnie na wyspie. Dane z ostatniego spisu mówią o sześciuset osobach, ale to z pewnością o wiele mniej niż połowa. Nie wszyscy wiedzieli, że trwa liczenie i że trzeba wypełnić formularz. Niektórzy wiedzieli i celowo nie wypełnili. Dane z ministerstwa pracy (liczba wydanych work permitów) też nie będą adekwatne, bo może się okazać, że mąż pracuje

w kilku miejscach dorywczo i ma cztery osobne pozwolenia, a żona nie ma żadnego, bo siedzi w domu i opiekuje się dwójką dzieci. Będzie więc jeden Jan Kowalski, za którym stoją dodatkowo trzy „niewidzialne” osoby. Na pewno jest nas mniej niż w szczytowym okresie, w latach 2006–2008. Wtedy mówiło się o czterech tysiącach.

– Na moje oko – mówi Monika – jest nas ze dwa tysiące. Około tysiąc to dzieci w wieku szkolnym. Do mnie przychodzi jedynie garstka, dotąd przewinęło się może pięćdziesięciuro.

Monice marzy się wyjście poza dom. Chciałaby wynająć jakąś porządną salę i otworzyć szkołkę niedzielną. Ale to już poważne przedsięwzięcie i kosztowne. Może polski rząd chciałby pomóc, może ministerstwo edukacji narodowej albo MSZ? Monika zamierza sporządzić konkretny projekt i wysłać w tej sprawie do Warszawy kilka pism.

– Polska będzie miała kiedyś z tych dzieci pożytek, dlatego dziś mogłaby w nie nieco zainwestować. Tak jak od dawna inwestują miejscowe władze.

Monika pyta, czy poznałem Agę Garczyńską, którą rząd wyspy zatrudnia do pracy w szkołach z polskimi uczniami.

Poznałem. Agnieszka jest z Poznania. Na wyspie Man od dziesięciu lat. Przyjechała z mężem

Pawłem i dwuletnim synem Kacprem, bo w Polsce biednieli z miesiąca na miesiąc. Agnieszka musiała rzucić studia na kulturoznawstwie, squoty, imprezy, feministyczne i wegetariańskie demonstracje, by zapewnić rodzinie stabilizację. Nie wiedziała, że trafi na wyspę, gdzie spokój i zamożność zabiły kontrkulturę, gdzie nie ma żadnego undergroundu, gdzie wszystko jest takie uładzone. Wszyscy są syci i zadowoleni, a jeśli nie są, to nie dlatego, że nie mogą, tylko dlatego, że się nie starają. Ona starała się od samego początku, myjąc zarzygane kible w hotelach w Douglas. Nie miała wyjścia. Dostosowanie trwało długo i mocno bolało. Teraz, po dekadzie asymilacji, Agnieszka nadal tęskni za tym, czego to miejsce nie zapewnia, ale szanuje za to wszystko, co daje. Z kolei silnego antysystemowego wkurwa nadal, niezawodnie, zapewnia jej Polska, za pośrednictwem internetu i newsowych portali.

Kiedy spotkamy się na kawie, powie mi, że nie jest w stanie ogarnąć, jak można chcieć zaostrzyć w Polsce ustawę antyaborcyjną! Czy ci ludzie nie mają rozumu, nie widzą podziemia? Jak można nie zalegalizować związków partnerskich? Co to za potworny kraj, ta Polska? Zakompleksiony, konserwatywny do granic. Dziś nie umiałaby już wrócić, byłoby jej za duszno. Ludziom może i żyje

się trochę lepiej, ale nadal są tak samo zawzięci, nietolerancyjni. Agnieszka wielu takich widzi też wokół siebie – polscy imigranci gettowi. Nie nauczą się taki z taką języka, nie wyjdą ze skorupy, nie otworzą nawet na milimetr. Będą żyć w izolacji, w wiecznej tymczasowości, w trudnym zawieszeniu – nigdzie u siebie.

Agnieszka od czterech lat pracuje na pełen etat dla wyspiarskiego rządu. Ona i kilka innych Polek. Ich zadanie to pomoc polskim uczniom, którzy z powodu trudności językowych nie radzą sobie na lekcjach. Trzeba im wytłumaczyć polecenie, którego nie rozumieją, pomóc w pracy domowej, podciągnąć z angielskiego. Agnieszka pracuje dla kilku szkół jednocześnie. W jednej ma pięcioro uczniów, w drugiej troje, w jeszcze innej opiekuje się ponad trzydzieściorciem.

– U maluchów adaptacja trwa średnio około roku. Wtedy najwięcej z nimi pracujemy, bo choć języka uczą się szybko, to jest to dla nich całkiem wyczerpujący proces. W każdej szkole jest specjalny pokój, do którego dzieci zawsze mogą przyjść i powiedzieć mi, z czym mają problem. Czasami żalą się na rodziców, że nie pomagają im w zadaniach domowych, że nie umieją czegoś po angielsku wytłumaczyć. Wstydzą się za mamę czy tatę, którzy mówią tylko po polsku. Dla rodziców

to jest bardzo bolesne – dlatego im również staram się pomagać. Chodzę z nimi na wywiadówki i tłumaczę, co mówią nauczyciele, w czym dziecko zrobiło postępy, a nad czym nadal trzeba popracować.

O wiele trudniej jest z młodzieżą w szkole średniej. Chłopaki i dziewczyny po czternaście, piętnaście lat, świeżo po przeprowadzce z Polski, z angielskim na poziomie ledwo podstawowym, z częstym żalem do rodziców i tęsknotą za polskimi przyjaciółmi. W nowej szkole doświadczają dodatkowego stresu i strachu. Praca z nimi jest ciężka, ale Agnieszka nie zamieniłaby jej na nic innego.

A na głowie ma jeszcze przecież dwóch własnych urwisów. Kacper ma dziś trzynaście lat, Jaś siedem. To że Jaś ładnie mówi, czyta i pisze po polsku – Agnieszka i Paweł zawdzięczają Monice, do której na lekcje mały brzdąc chodził przeszło dwa lata.

W swojej szkółce niedzielnej Monika chciałaby zatrudnić do pomocy kilka osób, między innymi właśnie Agnieszkę. Chciałaby też uczyć za pomocą własnego podręcznika, który już dawno temu sama opracowała. Ma poza tym gotowe projekty kilkunastu książeczek edukacyjnych i setki gotowych ćwiczeń, których skuteczność sprawdza

na dzieciakach podczas korepetycji. Gdyby była w Polsce, mogłaby na tym oprzeć doktorat.

Hop-tu-Naa – święto obchodzone na wyspie Man 31 października, związane z Nowym Rokiem w tradycji staroceltyckiej; towarzyszą mu obrzędy podobne do tych kojarzonych z Halloween, przy czym dynie zastępuje brukiew.



Siedzimy przy jedenastce – to jedyny stolik w całym Station, którego nie da się zobaczyć, zaglądając z ulicy przez okna. Sue i Andy ukrywają się w ten sposób przed Cappuccino Lady, która ma w zwyczaju zjawiać się dobre pół godziny przed otwarciem pubu. Staruszka owdowiała blisko dwadzieścia lat temu, mieszka sama, nudzi się, ale jest zdrowa i dziarska, więc od rana ją nosi. Jest niesympatyczna i bez przerwy narzeka. Znam ją z dawnych czasów. Zawsze zamawiała cappuccino i ciasto marchewkowe, zawsze miała na to wyliczone pieniądze i zawsze udawała zdziwienie ceną. Nie bardzo ją z Gohą lubiliśmy. Kiedy widzieliśmy, że zbliża się do baru, oboje dawaliśmy dyla do magazynu, żeby tylko nie musieć jej obsługiwać. Tłumiliśmy śmiech, gdy jedno próbowało wypchnąć drugie na widok. Które przegrywało, stawało przy kasie i z udawaną życzliwością pytało, co podać.

Sue i Andy czasami wpuszczają ją wcześniej niż innych klientów, ale dzisiaj akurat nie zamierzają. Andy właśnie wyniósł nam z kuchni *full English breakfast*. Jemy i wspominamy.

- Będziesz pisał o nas? – nie dowierza Sue.
- Między innymi.

– Yhm, hm – chrząka Andy z wznoszącą intonacją. To jego ulubiony sposób uczestnictwa w rozmowie. Całkiem nieźle za to gotuje.

– A co konkretnie?

– Na przykład, że byliście najgorszymi szefami *ever* i że nienawidzicie Polaków.

– Ekhm, hm? – Andy nie rozumie żartu. Sue wybucha głośnym śmiechem. Wracamy do jedzenia.

Kiedy wokół Station ustawiono rusztowania i rozpoczął się generalny remont budynku, ludzie pukali się w głowy. Zbyt dobrze pamiętali, jak wyglądał ten pub przed zamknięciem i co się w nim wyrabiało. Najgorsi tam przesiadywali, jak wielki, bezzębny Angus, stary Finbar, poławiacz krabów Wayne, jego kolega z łódki, Johnny, z synami i wiele innych lokalnych szumowin. Czasami wpadały też Shirley i Tracy. Piło się tam bez przerwy, od rana do rana. Goście głośno śpiewali, żalili się na niskie wypłaty, że jedni na tej wyspie mają wszystko, a inni – oni – nic. Wnosili własne jedzenie, urządzali burdy, spali zwieszani na stolikach, a krew, kapiąca z wolna z ich rozwalonych warg, nosów i brwi, wsiąkała w stare i brudne dywany, nasączone chwilę wcześniej rozlanym piwem. Wieczny smród

z niemytych toalet. Kiedyś ktoś ponoć rozpałił w środku ognisko i wybuchł mały pożar. Tłuczono okna i lustra w łazienkach, sprzedawano narkotyki. Policja bała się tam zachodzić. Aż jednego dnia zaszła, rozpędziła klientów i zajęła cały alkohol. Właściciele Station opuścili wyspę, a stali bywalcy przenieśli się do Falcona – dwadzieścia metrów dalej, na promenadzie, i mieli teraz przynajmniej widok na morze.

Station stało zamknięte i popadało w ruinę.

– To się nie uda! Otworzą i zamkną – wieszczono. Ludzie gadali, że nie, że nie ma szans, że tak naprawdę to w ich mieście kolejny pub jest niepotrzebny. W Port Erin są niecałe cztery tysiące mieszkańców i aż pięć pubów (plus trzy takeawaye, pizzeria, trzy kawiarnie i pięć restauracji, w tym trzy hotelowe). W każdym z nich można się rano napić kawy, przeczytać w spokoju gazetę, wypisać świąteczne kartki, spotkać z koleżanką; w południe można zjeść lunch; po pracy wpaść na kieliszek wina i chwilę relaksu przed powrotem do domu. Między osiemną a dwudziątą można wrócić na kolację. Barmani wiedzą, kto pije latte na chudym mleku, kto na sojowym, kto wódkę bez lodu, kto gin bez cytryny, a kto na pewno zamówi guinnessa, komu urodziło się dziecko, kto z kim kogo zdradza, kto

się żeni, kto rozwodzi.

Nowe Station miałyby sporą konkurencję i złą sławę do pokonania. *Good luck.*

Ktoś widział, jak wnoszą stylowe krzesła i wielkie skórzane sofy – błyszczące od nowości i drogie. Ktoś zakradł się od tyłu i zajrzał do nowych łazienek – też na bogato.

– Ja tam chodzić na pewno nie będę – zarzekała się Shirley. – Mówią, że pint ma kosztować trzy funty! Trzy *fucking* funty?! A wódka i *orange* cztery pięćdziesiąt. *It's a joke!* – Kręciła głową, wypuszczając chmurę papierosowego dymu podczas przerwy w kantynie.

– Ja też nie zamierzam! – dodawała Tracy.

Kobiety w małżowni miały już serdecznie dość zimy, która była tamtego roku wyjątkowo długa i niezdolna. Padało niemal codziennie i wiało tak mocno, że zwarte kawałki żółtawej morskiej piany, zbierającej się za falochronem na tyłach przetwórci, wzlatywały w powietrze, a później spiesznie turlały się po drogach, pokonując nawet kilkaset metrów, by wreszcie przegrać z przeszkodą w postaci maski samochodu lub ściany domu. Raz nawet spadł śnieg – centymetr, nie więcej. Autobusy nie wyjechały tego dnia na drogi, zamknięto szkoły, radio trąbiło, że kierowcy powinni zachować ostrożność. Cośmy się wtedy,

Polacy, uśmieiali, to nasze.

Shirley i Tracy liczyły, że wiosną znów zaczną zarabiać przyzwoite pieniądze. Oddadzą długi, zapłacą zaległy czynsz za lichej komunalny domek i zaległe raty za nowy telewizor. Jak dobrze pójdzie, wystarczy też na częstsze wypadki do pubów. Bo ostatnio to człowiek z ledwością wychodził na swoje – przez te małe skalopy. „*Baby scalops*” – mówiły na nie, albo „*fucking shit*”. Były wściekłe, bo dobrze wiedziały, że połów zbyt młodych, niewyrośniętych skalopów jest nielegalny. Że jak im się w tym roku nie da dojrzeć, jak się je chamsko wyłowić, to przyszły sezon też będzie do bani. Równia pochyła.

– Muszą mieć czas, żeby urosnąć! Do cholery! – narzekały przy kolejnym papierosie. A wszystko przez tych leniwych rybaków. Im jest wszystko jedno: złowią więcej młodych albo mniej starych, wyrośniętych – nieważne. Ważne, żeby było pięćdziesiąt worków. Wtedy im się opłaca. Nie chce się, dziadom, wypuszczać dwie mile dalej albo zmienić kierunek i pływać na północ, w stronę Szkocji, gdzie morze, być może, nie jest aż tak przetrzebione.

Były kłótnie z Brunem, wyzwiska, trzaskanie drzwiami, kończenie pracy w południe. A jak się kończy pracę w południe, i to na wielkim wkurwie,

przy tak beznadziejnej pogodzie, to nie pomaga ani ugotowanie obiadu, ani ogarnięcie domu, ani nawet kolejny odcinek *Emmerdale* czy *Coronation Street*. W takie dni Shirley nie wie, co ze sobą robić – choć koniec końców zazwyczaj robi to samo. Nie stać jej chwilowo, by iść do pubu (już czwarta tygodniówka z rzędu będzie gorzej niż marna), więc wsiada w autobus i jedzie do Shoprite’u w Port Erin. Kupuje dwie zgrzewki piwa w promocji i po pół godzinie wraca. Dzwoni po Tracy, która podobnych zaproszeń nigdy nie odrzuca. Po pracy dołączają do nich ich synowie, czasami wpada też Robert, kiedy już się uwinie ze sprzątaniami małżowni. Jack, najmłodszy syn Tracy, jest pomocnikiem szypra na „Bounty” – wpada tylko na chwilę, czasami nawet nie zdąży wypić pierwszego piwa i wychodzi, bo nie zamierza się po raz setny tłumaczyć za swojego szefa i wysłuchiwać, że jakoś rybacy w Peel potrafią złowić porządny towar, a ci tutaj – szkoda gadać – „*fucking shit*”. Impreza się rozkręca. Bywa, że jeden czy drugi sąsiad usłyszą w ogródku głośną muzykę, przełożą nogę przez płot i zapukają do tylnych drzwi. Doniosą piwa i można siedzieć do nocy.

Gdyby to było lato, nie zima, zamiast w living roomie u Shirley cała ekipa siedziałyby

w pobliskim Albercie albo w Shore, albo w jeszcze innym pubie w Port St. Mary czy w Port Erin.

Rano jest kac, na którym co prawda gorzej się pracuje, ale za to jest jakaś odmiana, inne myśli człowiekowi do bolącej głowy przychodzą, jest co wspominać, z czego pośmiać się w kantine przy gorącej herbacie z mlekiem.

Sue – pulchna blondynka, tuż po czterdziestce, z krótkimi włosami i śmiejącymi się oczami, w czarnej bluzce z dużym dekoltem, z dużym biustem i z zębami pięknymi jak u gwiazdy filmowej. Andy – starszy od żony o kilka lat, z siwiejącymi włosami i okrągłą twarzą. Oboje z Leeds, pierwszy raz na wyspie. Nie znali historii pubu, który mieli prowadzić dla wielkiego browaru, nie znali miasteczka ani nikogo z jego mieszkańców. Oboje mają silny, zabawny akcent Yorkshire.

Na początek zatrudnili dwoje Polaków – Gołę i mnie, Węgierkę ożenioną z Manxem oraz dziewczynę z Irlandii Północnej. Jedynym rodowitym wyspiarzem wśród nas był piegowaty Jamie z rudym irokezem. Żadne z nas nie miało pojęcia o pracy za barem. Na szczęście podłogę pokrywała specjalna, czarna wykładzina, której właściwość polegała na tym, że zabezpieczała

szklanki przed tłuczeniem. Można było z całą mocą cisnąć kieliszkiem o podłogę, a i tak by wytrzymał. W kuchni pomagała Barbara – starsza Angielka, która pół życia spędziła w RPA. Jej dorosłe dzieci zostały w Kapsztadzie, więc Babu, zwana również Babs, będzie matkowała nam, imigranckim sierotom, będzie nas dokarmiała, troszczyła się, w deszcz nie wypuści na zewnątrz bez parasola.

Robotnicy zdążyli wynieść się już z kuchni i kończyli remont w toaletach. Na podłogach kładli kafelki albo rozścielali kolorowe, kwietne dywany. W piwnicy ludzie z browaru ustawiali beczki z piwem i skrzynki z innymi alkoholami. Sue zamówiła wielkie lustro w drewnianych ramach do powieszenia nad kominkami i zajęła się kwiatami w doniczkach na zewnętrznych parapetach. Czarno-białe zdjęcia na ścianach przedstawiały sceny z życia dawnych Manxów – rybacy wracający z połowów; kobiety w Port St. Mary, siedzące na nabrzeżu i patroszące śledzie; rodziny z dziećmi na plaży w Port Erin w upalny dzień wyjątkowo łaskawego lata. Przywieziono telewizor i stylizowane na stare krzesła i fotele. Popołudniami mieliśmy szkolenia ze sposobów nalewania piwa, z wymiany beczek, z podstawowych drinków, z robienia kawy w wielkiej maszynie, z obsługi zmywarki i kasy

fiskalnej, z serwowania jedzenia.

Z angielskiego musieliśmy z Gohą podszkolić się sami. Oficjalne paplanie podczas *job interview* to jedno, a swobodna rozmowa z klientami w pubie, nawet jeśli o pogodzie, składzie zupy pomidorowej czy cenie ginu z tonikiem, to już *completely different story*. Oboje od przyjazdu na wyspę dokonaliśmy językowego *tremendous improvement*, czuliśmy jednak, że *not big enough*. Łaziliśmy po pubach, by nasłuchiwać, a po powrocie do domu powtarzaliśmy przed lustrem:

– *Are you being served?*

– *Yes, I'm being done, thank you.*

– Nie, masz powiedzieć, że nie – strofowałem Gohę. – Jeszcze raz. *Hello there, are you being served?*

– *Hi, no, I am not.*

– *What can I get you?*

– *What is the soup of the day?*

– Masz napisane na tablicy, nie widzisz?

– Może widzę, może nie widzę. *Answer me!*

– *The soup of the day is homemade tomato with...*

– *Homemade my ass!* Piszą na tablicy, że *homemade*, ale będzie gotowa, z plastikowego wora, widziałam, jak je zamrażali.

– *With organic basil and creme fraiche. It's our chef's special recipe. And it goes well with our organic*

steaks served with egg, chips and salad.

– *Sounds delicious.*

– *Would you like your steak rare, medium rare, or well done?*

– *Myślę, że napiłabym się jedynie browara.*

– *Tylko nie mów, że chcesz guinnessa, bo nie pamiętam, jak się go nalewa.*

– *A pint of guinness, please. No, actually, a pint and a half. For me and my lovely husband.*

– *Nie rób mi tego. Don't you dare!*

– *A pint and a half of guinness, please.*

– *Three thirty three, please.* – Tego nienawidziłem najbardziej. Żeby wypowiedzieć tę sumę poprawnie, nadal potrzebuję skupienia i głębokiego oddechu.

Three thirty three, please. Zawsze wychodziło akurat tyle, gdy nudny, stary mąż i nudna, stara żona zamawiali piwo – dla niego pint za dwa dwadzieścia, dla niej połówka tego samego za funta trzynaście. Wdech i do dzieła: *three thirty three, please.* Patrzyli na mnie ze zmarszczonym nagle czołem, płacili i odchodzili do stolika przy oknie, żeby posiedzieć chwilę w milczeniu.

Mieliśmy też z Gohą problemy z tymi wszystkimi prośbę i dziękuję, z upychaniem ich, gdzie się da. *Please and thank you.* W Polsce na jedną transakcję kupna – sprzedaży przypada może jedno dziękuję,

a i to przy sporym wysiłku, bo wcale nie jest powiedziane, że trzeba, należy. Na wyspie i generalnie w angielskim średnia jest dużo wyższa – co najmniej dwa *please* i dwa *thank you*, ale może być też dużo więcej. Inaczej człowiek jest cham. *Please and thank you* – nawet jak browara zamawia największy żul. Zazwyczaj pada też: czy mógłbym. Nie rozumieliśmy z Gohą – oczywiście, że mógłby. Skoro płaci, to może, oczywiście, że może. Po co się tak głupio pytać? Zawracanie głowy. Ale nie. Ma być i już. Bywało nawet, że Sue strofowała klientów, którzy nie pytali, czy mogą poprosić, tylko rzucali w powietrze dwa pinty tego lub tamtego.

– Myślę, że chodziło ci o „*please, could I have*”, prawda? – pytała, sięgając po szklanekę, jakby się chciała upewnić, że dana osoba jednak manieri posiada i tylko zupełnie wyjątkowo akurat dziś o nich zapomniała. Przywołany do porządku klient czerwienił się i przepraszał.

Sue i Andy wszystkim nam płacili minimalną stawkę – pięć i pół funta na godzinę. Plus napiwki. Każdemu pracownikowi na zmianie przysługiwał też ciepły posiłek, a na koniec dnia wybrany drink. Goha pracowała na *full time*, ja dorywczo, dwa wieczory w tygodniu.

Otwarcie Station odbyło się wczesną wiosną.

W gazetach od tygodni pojawiały się zapowiedzi i zdjęcia z prac wykończeniowych. Był też krótki wywiad z menedżerami – z przesłaniem, że choć przyjezdni, to bardzo sympatyczni.

Całe Port Erin przyszło zobaczyć, co zrobiono ze starego pubu. Ludzi przyciągnęła też okolicznościowa promocja – „tylko dzisiaj, z okazji otwarcia, wszystko za pół ceny”. Był ścisk do samego zamknięcia. Klienci przyglądali się wszystkiemu z niedowierzaniem, dyskutowali o wystroju, o luksusowych łazienkach, wspominali, co kiedyś było tu, w tym miejscu, a co tam, za ścianą. Rozsiadali się na wygodnych skórzanych sofach i obitych skórą krzesłach. Zapoznawali się z Sue i Andym, gratulowali, ale jednocześnie przestrzegali – musicie być tańsi niż reszta, bo ludzie nie będą przychodzić. Dajcie sobie spokój z lokalnym piwem, bo jest gorsze niż siki, nikt tego nie pije. Tylko straciecie. Najlepiej, gdybyście wstawili stół do bilardu i szafę grającą i żebyście puszczali mecze w poniedziałkowe wieczory. Nie przesadzajcie też z jedzeniem – niech będzie proste i tanie.

– A kogo tam macie za barem? Polacy? – jakiś facet próbował zakolegować się z Andym. – Dlaczego nie nasi? Naszym nie mogliście dać pracy? Coraz więcej tych Polaków. W Douglas

człowiek idzie ulicą i nie rozumie, co ludzie mówią, wszyscy po polsku, chyba że to Rosjanie. Ponoć są też Słowacy i Czesi. Nie idzie odróżnić.

Alan – rybak i lokalny pijaczyna po rozwodzie. Żona go rzuciła i ponoć nie może się pozbierać. Dużo gada, ale jest niegroźny. Shirley akurat podeszła do baru, żeby zamówić kolejne piwo. Była już lekko wcięta. Pytała, czy w poniedziałek pojawię się w małżowni, czy może przeniosłem się już do tych luksusów na dobre. Wściekła się, kiedy usłyszała, co wygaduje Alan. Odstawiła szklanekę i puknęła go w ramię:

– *Oj!!! You!* Masz problem z moimi przyjaciółmi z Polski? Wiesz, dlaczego tu pracują? Bo nie są skończonymi leniami, jak ty i cała twoja załoga. Ci ludzie ciężko harują, a wam się we łbach przewracało. Mam ci przypomnieć, co było zimą? Twoja łódka stała w porcie od września do czerwca, bo nie chciało ci się ruszyć dupy i złowić dla nas trochę skalopów. *You useless fucking prick!* Powinieneś oddać swoją łajbę Polakom i jeszcze im dopłacić, żeby im się chciało na niej pływać. Nauczyliby was, na czym polega praca. *You fucking cunt!*

Alan już się gotował do kłótni, już przetykał ślinę, przecież on sobie, *for fuck's sake*, nie pozwoli, żeby jakaś... ale Andy szepnął mu coś do ucha i nie

czekając na jego reakcję, wyprowadził na zewnątrz. Obyło się bez afery, bez porozlewanych drinków i rozciętych łuków brwiowych. Za każdym razem, gdy później Alan przychodził do Station, przeproszał nas i był nad wyraz miły. Oboje z Gohą nie trzymaliśmy urazy. Inni lokalsi byli w porządku. Podobało im się, że mogą sobie z Polakami pogadać przy piwie. Choć nudzili zazwyczaj niemiłosiernie.

– Pamiętamy Wałęsę. To był nasz bohater. Ale prezydentem chyba nie był najlepszym. I pamiętamy wojnę – zawiedliśmy was. My i Francuzi. Co za wstyd! A jak jest w Polsce? Macie tam lato w ogóle czy raczej cały czas zimno?

No i że pracowici. Że pracowici, trzeba wspomnieć obowiązkowo. Co do tej życiowej i obiektywnej prawdy pełna zgoda. Każdy zna jakiegoś Polaka, który jest bardzo pracowity, Polkę, która ciągnie na dwa etaty. *Hard working people. Very hard working.* Jakby poza pracą nic nie usprawiedliwiała, nie legitymizowało naszego pobytu na wyspie. Polska masa pracująca – zapierdalająca w pubach, kawiarniach, hotelach, małżowniach, rzeźniach, piekarniach, na kasach i w magazynach. Co byśmy bez tej masy zrobili, my, którzy mamy za dobrze, którym nie bardzo chce się już pracować?

Później, gdy się już z wszystkimi lepiej poznaliśmy, było zupełnie normalnie. Ludzie wpadali na wino, piwo albo kawę i rozmawialiśmy sobie o tym, kto wyleciał z *Big Brothera*, o najnowszych serialach, o przecenie butów w sklepie na promenadzie, o tym, czy Brown faktycznie zastąpi Blaira, i o tym, że w gruncie rzeczy to ich to w ogóle nie zajmuje – przecież Wyspa jest osobnym krajem. Tak, osobnym, niezależnym krajem. Anglii nic do nich! Dlaczego mieliby się więc ekscytować kryzysem rządu w Londynie? *Why should we?*

Teraz mało kto wyobraża sobie Port Erin bez Station – bez Sue, Andy’ego i bez środowych, wieczornych quizów.

„Vodka queens” (ekspedientki z baru kanapkowego przy stacji benzynowej) stroją się jak w karnawale – zakładają wysokie obcasy i krótkie sukienki. *Full make up*. Siedzą obok siebie przy jednym stoliku, przy drugim ich mężowie z drużyny „Guinness rządzi” (rybacy i mechanicy). Sofy przy oknie zawsze zajmują „Veni, Vidi, Whisky”, a przy kominku lądują dwie młode pary – „Poczwórny Gin z Tonikiem”. Każda osoba z drużyny płaci za udział w quizie po funcie. Zwycięzcy zgarniają wszystko i mają na ostatnią kolejkę tuż przed zamknięciem.

Andy niewyraźnie mówi do mikrofonu:

– Pytanie numer cztery: ile Oscarów dostał *Titanic*?

– Pytanie numer pięć: najdłuższa rzeka świata.

– Wymień pięć największych spośród byłych kolonii brytyjskich.

– Stolica Chile.

– Która drużyna zdobyła puchar Anglii w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku?

W przerwach między rundami chodzi się na zewnątrz na papierosa i zamawia kolejne drinki. Jest skupienie, nachylenie nad kartką z pytaniami, są szepty i po kryjomu wysyłane SMS-y. W tle przyciszona muzyka. Jacyś zakochani na drugim końcu sali, niezajęci quizem, trzymają się za ręce i wymieniają głębokie spojrzenia. Sue kręci się wokoło, niby zbiera puste szklanki, niby przeciera stoliki, a przez zęby, po cichu cedzi:

– Nil. Nil.

Ktoś usłyszy i krzyknie, że hej, nie wolno.

– Co, co? Ja nic nie mówiłam.

– Ona nic nie mówiła.

– Mówiła, mówiła, słyszałem. Lepiej chodź tu do nas, bo my też jednego nie wiemy.

I tak cały wieczór. Żarty i śmiechy z tych, co przegrali. Nikt się nie upija, bo w czwartek do pracy.

Za to w piątek już tak. I w sobotę. Na oucie jest całe Port Erin i połowa Port St. Mary. „Vodka queens” i „Guinness rządzi” siadają razem przy największym stole. Odstawieni, odpicowani. Trochę narzekają, trochę plotkują, przekrzykując głośną muzykę. Obczajają, kto jest, kogo nie ma, kto ma co na sobie i z kim przyszedł. Dużo ludzi. Piwo, wino, wódka, gin, whisky. Niektórzy jeszcze coś jedzą, kończą faszerowane ziemniaki albo średnio wysmażone steki. O dwudziestej kuchnia się zamyka i można już tylko pić. Drzwi pracują nieustannie, jedni wchodzi, inni wychodzą. Ludzie się witają, pozdrawiają, ucinają ze sobą krótkie pogawędki – prawie wszyscy przecież się znają, są sąsiadami, a o tych, których nie znają, słyszeli to i owo. Brakuje krzesel, ludzie tłoczą się przy barze, trzeba się przeciskać, by dojść do toalety. Ktoś rzuca, że w Bayu, przy dolnej promenadzie, mają dzisiaj koncert – młode chłopaki, dwie gitary i perkusja. Parę osób się przenosi, ale kto miał być w Bayu, już tam jest (rugbiści, ich trenerzy, biznesmeni, młode małżeństwa z klasy średniej wyższej). Ktoś przychodzi z Falcona (młodzież i największe pijusy) i donosi, że ten z tym pobili się o pieniądze, że była krew i policja. Dzwoni Brian, menedżer z Haven (piłkarze z lokalnej drużyny, ich dziewczyny i fani bilarda), żeby uważać, bo kręci

się ta głupia dziewczucha Becky – *the troublemaker*, a do końca roku jest przecież we wszystkich pubach na wyspie zbanowana – za wandalizm oraz słowną obrazę właściciela pubu i policjanta – zdjęcie numer czternaście w Pub Watch. Nagle wparowuje do środka dziesięć niby-pielegniarek w obcisłych fartuszkach, któraś ma urodziny i koleżanki zorganizowały jej przebieraną pijacką imprezę. Piersi wylewają im się z za ciasnych koronkowych staniczków, duże tyłki koślawią krótkie spódnice, trzęsą się udziska pod burdelrajstopami. Już ledwo chodzą, nietrzeźwe, zamasyście. Chwieją się na tych niedorzecznie wysokich, cieniutkich obcasach. Andy interweniuje.

– Sorry, dziewczyny, ale wam już chyba wystarczy. U nas się nie napijecie.

– OK, OK, doktorze – odpowiadają rozczarowane i wycofują się potulnie. Pójdą do Falcona, gdzie nikt nie będzie im stwarzał problemów.

Z Cherry Orchard (stare dziadki i turyści) przychodzi barman z wiaderkiem, chce pożyczyć trochę lodu, bo ich maszyna właśnie padła.

Uwijamy się z Gohą jak w ukropie (*very, very hard working*). Kończymy zmianę przed pierwszą, wypijając z Sue i Andym podwójny rum z colą. Już wcześniej sobie podpijaliśmy, po kryjomu, mimo że

w czasie pracy – teoretycznie – mamy zakaz. Musieliśmy się lekko wstawić, bez tego żadne z nas by nie usnęło. Jeśli sobotni wieczór jest naprawdę „busy”, wracamy do naszego mieszkania wymęczeni, ale bez szans na spokojny sen. Choć wokół cisza, w uszach bez przerwy dźwięczy muzyka. Przez całą noc przyjmujemy kolejne zamówienia i wbijamy je na kasę, wydajemy resztę, nalewamy kolejne browary, kroimy cytryny i limonki, uzupełniamy lodówki, zbieramy puste szklanki ze stolików, tłumaczymy, że skończył się „ginger ale”, że muszę zbiec do piwnicy i zmienić beczkę – *I'll be right back*.

Rano Goha przenosi się z kołdrą do mojego pokoju. Ja parzę kawę i do jedenastej leżymy na sofie, oglądając w telewizji powtórki brytyjskich seriali. W głowach nadal mamy bauns. Zostaliśmy w Port Erin już tylko we dwoje i przenieśliśmy się do mniejszego mieszkania na górnej promenadzie – na poddaszu, ze skosami, niezbyt wygodnego, za to z centralnym widokiem na morze, z widokiem, na którego horyzoncie czasami wyłaniały się skały Irlandii. Przy wielkim wykuszowym oknie postawiliśmy drewniany stół i trzy pożyczone ze Station krzesła. Musieliśmy udawać, że jesteśmy parą, by agencja zgodziła się wynająć nam mieszkanie – według wyspiarskich standardów

lokum o tak niewielkich rozmiarach (około pięćdziesiąt metrów kwadratowych) nadaje się albo dla jednej osoby, albo dla pary. I nie ma dyskusji.

Niedziele oboje z Gohą mamy wolne. W południe, gdy w telewizji skończą się powtórki, jemy śniadanie – jajecznicę ze szczypiorkiem, a później, jeśli jest ładna pogoda, idziemy na długi spacer.

Jeśli jest wiosna, idziemy na szaber – na dzikie żonkile. Zakwitają w końcu marca i żółcą się przez dobre trzy tygodnie. Rosną na poboczach niemal wszystkich dróg, na pastwiskach i łąkach. Tworzą pachnące wyspy o różnej powierzchni, małe i średnie, a czasami kobierce wielkie na pół hektara.

Jeśli to koniec lata – idziemy na jeżyny. Dojrzewają na wyspie we wrześniu. Płodne krzaki rodzą wielokrotnie. Przez kilka tygodni. Mnóstwo jeżyn. Najlepsze owoce są kwaśnawe i soczyste – prawdziwie słodkie bywają tylko te, które niezerwane, zdążą przejrzeć. W czasie ulewnego deszczu będą spadać na nabrzmiałą od wody ziemię, pośród wysokich traw – pożywią się nimi małe myszy. Jeżyny rosną wszędzie: między polami, między pastwiskami, przy wąskich ścieżkach, na wpadających w końcu do zimnego

morza brunatnych zboczach. Południe wyspy to jeżynowe królestwo. Rosną nawet przy drogach, przy płotach między domami, na tyłach ogrodów. Podczas zrywania jeżynowy sok barwi paznokcie, kolce szarpią skórę palców i dłoni, haratają buty i spodnie. Trzeba uważać. Mnóstwo jeżyn. Mnóstwo.

Goha odeszła ze Station jako pierwsza. Po dwóch latach. Opuszczała wyspę, jechała do Edynburga, do narzeczonego, który obecnie jest jej mężem. Sue traktowała ją jak własną córkę, dlatego z żalu upijała się przez trzy kolejne weekendy. Imprezę pożegnalną zrobiliśmy w pubie – wstęp mieli jedynie zaproszeni goście, najbliżsi znajomi Gohy i ulubieni klienci. Można było przynieść własny alkohol, były też przekąski i prezenty. Sue i Goha na zmianę płakały i śmiały się, popijając szampana.

Wyjazd Gohy przyspieszył też decyzję o moim powrocie do Polski, do Warszawy. Czułem, że to właściwy krok i nie żałowałem go ani przez chwilę. Bo też miałem pewność, że będę na wyspę wracał. Nie chciałem żadnych pożegnań i prezentów – ale Sue się uparła. Shirley i Tracy też by mi nie wybaczyły, gdybym się z nimi nie upił na do widzenia. Na odjazdne dostałem między innymi kubek z manxowskim triskelionem, brelok z małym

kotem bez ogona i ścienny kalendarz ze zdjęciami najpiękniejszych miejsc na wyspie. Żeby nie zapomniał. Allwyn upiekła nawet tort, który zjedliśmy podczas przerwy w kantine.

Z powrotem na wyspie byłem już po pół roku, na Wielkanoc, a później wróciłem na całe kolejne lato.

To było wtedy, gdy święty Patryk przybył na wyspę Man i przepędził z niej Manannana Mac Lira. Syn boga mórz, dobry władca i czarodziej, razem ze swoimi wojownikami schronił się na zaklętej wyspie, leżącej jakieś piętnaście, może szesnaście mil morskich na południowy zachód od Calf of Man. Manannan – żeby gniew chrześcijańskiego Boga go nie dosięgnął – postanowił zatopić skrawek lądu, który odtąd stał się jego domem i królestwem. Rządził nim sprawiedliwie.

Niewielka, zielona i płodna wyspa, która wcześniej dumnie wystawała ponad powierzchnię wody, spłynęła na dno Morza Irlandzkiego. Jednak co siedem lat, gdy pierwszy maja przypada w niedzielę, tuż przed świtem wyspa ponownie się wynurza – widać ją wyraźnie, jeśli jest się odpowiednio blisko. Widać otaczający ją pierścień morskiej piany, jej zielone, zadrzewione wzgórza, widać złotowłose syreny z połyskującą na gołych piersiach biżuterią, słyszeć śpiew endemicznych ptaków, czuć mieszające się ze sobą zapachy kwiatów, które na kwitnienie mają jedynie chwilę, bo zanim słońce wzniesie się ponad najniższy z wyłoniętych nagle szczytów, wyspa ponownie

rozpocznie powolny, cichy spływ w głąb zimnego, ciemnego morza. Przez krótkie godziny wynurzenia Manannan siedzi na wysokim urwisku, na tronie utkanym z długiej, miękkiej trawy rosnącej na północnym krańcu wyspy. Siedzi i przygląda się ze smutkiem utraconemu domowi.



Polskie parki narodowe są wspaniałe, szczególnie wiosną. – Rosa Roberts, znana krawcowa z Douglas, wrażeniami z podróży dzieliła się wczoraj, podczas spotkania z członkami koła kościelnego w Santon. Opowieści z dalekiego kraju wysłuchał również reporter naszej gazety („Isle of Man Daily Times”).

– Parki są potężne i niemal dzikie, gęsto porośnięte starymi, wysokimi drzewami i dosyć przerażające, jeśli chodzić po nich w pojedynkę. Do spacerów należy mieć specjalne obuwie, a najlepiej także drewnianą laskę, która ułatwia chodzenie. Trzeba też być wyczulonym na dzikie zwierzęta, bo z łatwością można się natknąć na niedźwiedzia albo wilka czy jelenia.

Panie zgromadzone w kościele kiwają głowami na znak zdumienia i lekkiego przestרחu. Podnoszą też brwi, słysząc, że leżący na terenie najwyższych polskich gór Tatrzański Park Narodowy zajmuje powierzchnię równą niemal połowie wyspy Man.

– W parkach należy zachować ciszę i pod żadnym pozorem nie wolno zrywać pięknych, dziko rosnących kwiatów. Wszystko jest pod ochroną, o czym przypominają liczne tabliczki. Za

złamanie zakazu grozi kara grzywny.

Mrs Roberts bawiła w Polsce dwa miesiące. Ponad połowę tego czasu spędziła w domu swojej córki Kathleen w Opolu – dokąd cała rodzina przeniosła się niedawno z powodu pracy, jaką Borys Glazer dostał w tamtejszym szpitalu. Jest chirurgiem i dyrektorem placówki. Opole to piękne miasto, o czym można się przekonać, oglądając album z fotografiami, który Rosa przywiozła ze sobą. Jest to prezent z serdeczną dedykacją dla władz i mieszkańców Douglas – podpisany przez członków Miejskiej Rady Narodowej Opola, przekazany w imię polsko-manxowskiej przyjaźni. Przewodniczący Rady i zięć pani Roberts to dobrzy przyjaciele.

Na dwa tygodnie Glazerowie i Mrs Roberts wybrali się do Zakopanego i Wisły, górskich kurortów niedaleko granicy czechosłowackiej. Mieszkali w uroczym pensjonacie, razem z dwoma setkami innych gości – tuż przy wejściu na teren Tatrzańskiego Parku Narodowego. Niezapomniane wrażenie zrobiły na pani Roberts skoki narciarskie, które miała przyjemność podziwiać, a o których nigdy wcześniej nawet nie słyszała. Wysokie góry pokryte były gęstym śniegiem, podobnie jak drzewa w parku narodowym. Mimo wczesnej wiosny jeziora pozostawały skute lodem.

– Polska bardzo się zmieniła, odkąd widziałam ją po raz pierwszy równie dziesięć lat temu. Ślady po wojnie nadal są zauważalne, choć odbudowa zniszczeń postępuje niezwykle sprawnie – cały kraj wygląda jak jeden wielki plac budowy. Po ulicach większych miast jeździ coraz więcej samochodów, niektóre w całkiem żywych kolorach. Wydaje się też, że większość ludzi ma już w domach czarno-białe telewizory. Ci, którzy jeszcze nie mają, przychodzą po rozrywkę do najbliższych sąsiadów – jak Krysia, przyjaciółka mojej córki Kathleen.

Mrs Roberts wróciła na wyspę w zeszłym tygodniu (marzec 1959). Skorzystała z jednego z pierwszych komercyjnych połączeń lotniczych na trasie Warszawa–Londyn, a następnie przesiadła się w pociąg do Liverpoolu i na prom.

– Loty w obie strony były niezwykle komfortowe i trwały niecałe cztery godziny. Serwowano lekkie przekąski oraz zimne napoje.

WESOŁYCH ŚWIĄT – po polsku, bezbłędnie napisała Dorothy na kartce dołączonej do listu.

Dear Dionis,

to że jestem stara, nie oznacza, że z automatu jestem też pruderyjna i świętoszkowata. Przez ostatnie tygodnie dużo myślałam o Stanisławie i po raz kolejny musiałam sobie uświadomić, że od naszego rozstania upłynęło siedemdziesiąt lat. Siedemdziesiąt lat to wystarczająco długo, by w pamięci pojawiły się dziury. Co nieco jednak jeszcze pamiętam.

Stanisław był wysoki – mierzył jakieś pięć stóp i dziesięć cali (ok. metr osiemdziesiąt). Był przystojny, ale nie przesadnie przystojny – nie był piękny, jak niektórzy mężczyźni w dzisiejszych czasach. Miał krótko przystrzyżone, ciemnobrązowe włosy i piękne oczy: niebiesko-zielone. To w tych oczach zakochałam się od pierwszej sekundy. Zawsze gładko ogolony i w mundurze, trzymał się prosto, jak przystało na żołnierza.

O sprawach wojska nigdy ze mną nie rozmawiał, nie tłumaczył, jakim cudem służy w brytyjskich siłach powietrznych, a nie w polskim lotnictwie. Ja nie pytałam, a może pytałam, nie pamiętam. Był ciekaw mojej rodziny i życia na wyspie. Opowiadałam mu

o moich dwóch młodszych siostrach, o moim ojcu Stanleyu, o tym, jakie obowiązki mam w Hillberry. Żałował, że nie może zobaczyć naszego ośła, który jadł nam z ręki i potrafił bardzo zabawnie ryczeć.

Czas dłużył się w nieskończoność, a ja żyłam od soboty do soboty. W Palais de Danse, gdzie wieczorami spotykaliśmy się w każdy weekend, na piętrze były łóża, podobne do tych, jakie spotyka się w lepszych teatrach. Na każdą łóżę przypadał mały, elegancki stolik na jednej nóżce i dwa niewygodne krzesła do kompletu. Można było sobie przynieść zamówione w barze drinki i sączyć je, podziwiając widok poniżej – wystrojone tańczące pary. Wspominałam, że Stanisław nie był najlepszym tancerzem, więc często zaszywaliśmy się w jednej z łóż, gdzie muzyka docierała lekko stłumiona, gdzie było ciszej i nieco intymniej. Pytasz, czy trzymaliśmy się za ręce i całowaliśmy – of course we did! Stanisław całował wspaniale – tak uważałam, choć nie miałam w tej dziedzinie wielkiego doświadczenia i nie mogłam go z nikim porównać. Co do pozostałych kwestii, no wiesz – będziesz musiał użyć swojej wyobraźni. Nie byliśmy niewinni.

Na zakończenie wieczoru orkiestra zawsze grała naszą ulubioną piosenkę A Nightingale sang in Berkeley Square. Może ją słyszałeś? Ja mam ją na płycie, ale nie lubię do niej wracać. Za bardzo się

boję, że zacznie mi się kojarzyć z terażniejszością.

Bardzo za nim tęskniłam, kiedy wyjechał. Byłam młoda, naiwna i bardzo nieszczęśliwa. Także dosyć egzaltowana – czułam, że moje życie straciło sens. Wierzyłam, że Stanisław wróci na wyspę, że wróci do mnie. Gdy skończyła się wojna, czekałam, całymi tygodniami czekałam na jakiś sygnał, codziennie wyglądałam listonosza. Martwiłam się, że do mnie nie pisze, że nie próbuje się skontaktować. Nie pojmowałam, że albo było to niemożliwe, albo z różnych powodów mógł tego nie chcieć.

Teraz myślę, że Stanisław lepiej niż ja rozumiał, że budowanie czegokolwiek na tak kruchych podstawach byłoby bardzo ryzykowne. Lubię wierzyć, że przeżył wojnę, że żył jeszcze długo i szczęśliwie, że ponownie się zakochał i ożenił oraz że nie zapomniał tych naszych kilku wspólnych miesięcy, które ja zapamiętałam jako najpiękniejsze.

Koniec wynurzeń.

Trzymam kciuki, żeby Twoje poszukiwania okazały się owocne. Poinformuj mnie, proszę, gdy tylko czegoś się dowiesz.

Dorothy

PS Brian Stowell prowadzi w niedzielne popołudnia program w radiu. Zaprasza gości i przez godzinę rozmawiają o bieżących wydarzeniach – oczywiście w manx. Zeszłej niedzieli wspominał o Tobie. Mało

nie pospadałyśmy z Susan z foteli. Mówił, że zamierzacie się spotkać, że przygotowujesz książkę, że opowie ci o wyspie, o tutejszym języku i o Paulu Lebedzińskim. Nawet puścił jeden z jego wierszy – wiele lat temu nagrany na kasetę w którymś z pubów na północy, zapewne w Ramsey. Pierwszy raz od bardzo dawna słyszałam tubalny głos Paula – mówił szybko i nie zawsze wyraźnie, musiałyśmy się z Susan przysunąć do radia i mocno wstuchiwać. Następnego dnia poszłyśmy do biblioteki i znalazłyśmy ten wiersz – lata temu wydrukowała go jedna z gazet.



Do Patrioty

Zmierzch już zapada; świecą gwiazdy,
Panie, daj mi zobaczyć,
Jak światło pada na uśmiech tej,
Co znaczy dla mnie wszystko.
Za mało nas, zaledwie garstka
Na brzegach Ellan Vannin,
Ach, napisz znów, szlachetna dłoni,
Będę cię kochał mocniej,
Kiedy brunatnych żywopłotów,
Od Castletown,
Po Jurby rozległe równiny,
Nieziemski zapach wiatr przywieje,
Pomyślę znów o tobie.
Piękna córko wyspy w kajdanach,
Tak, ja jestem jej synem,
Tracić umiemy w pięknym stylu,
Nadzieję mamy jedną,
Wiare, że kiedyś celtycki świt
Nad naszym morzem wstanie
I na świat przyjdą nowe dzieci
Mańczycy wolni, dumni,
Co władać będą pewną ręką
Naszą szlachetną wyspą,
Wypędzą z domu okupanta,
By chaos siał u siebie,
Nasz będzie księżyc, nasze łąki,

Przydrożna naparstnica,
Wąwóz w cieniu i cicha pieśń,
Co wreszcie zabrzmie głośno,
I, córko wyspy, zawsze piękna,
Kiedy będziemy starzy,
Będę pamiętał, że tu trwałaś,
Nie dałaś wyspy sprzedać.

Nollick Ghennal as Blein Vie Noa (Wesołych świąt i szczęśliwego nowego roku) odwzajemniam się Dorothy kartką z życzeniami w manx. Od razu odpisuję też na list.

Hi Dorothy,
to niesamowite, że po siedemdziesięciu latach nadal pamiętasz tak wiele szczegółów – wzrost Stanisława, kolor oczu, tytuł waszej ulubionej piosenki.

Znalazłem ją w internecie i odsłuchałem wielokrotnie. Jest bardzo romantyczna. Jako pierwsza o słowiku na londyńskim placu Berkeley śpiewała Judy Campbell, już w 1940 roku, później robili to także Nat King Cole i Frank Sinatra.

Stanisław to w Polsce bardzo popularne imię, choć dziś może uchodzić za nieco staromodne. Stanisław to ten, który osiąga sławę, chwałę.

Udało mi się wytropić trzech Stanisławów,

którzy podczas wojny przebywali na wyspie Man. Nazwisko żadnego z nich, niestety, nie przypomina tego, które nosił Twój Stanisław. Wszyscy trzej również stacjonowali w Jurby lub Andreas, ale we wcześniejszej fazie wojny. Stanisław Łapka, Stanisław Andrzejewski i Stanisław Grodzicki służyli w dywizjonach 302 i 307, które skierowano na wyspę w celach treningowych (polscy lotnicy znaleźli się w siłach brytyjskich na skutek umowy między władzami w Londynie a polskim rządem po tym, jak Niemcy i Związek Radziecki podzieliły między siebie terytorium Polski). Po kilku tygodniach na wyspie oba dywizjony zostały przeniesione do baz operacyjnych na terenie Anglii.

Było jeszcze trzech kolejnych Stanisławów – Osmala, Pietniunas i Podobiński (ten ostatni ze słynnego Dywizjonu 303). Pochowano ich na małym cmentarzu w Jurby przy kościele Świętego Patryka, przy samym morzu. Mają nagrobki z jasnego piaskowca. Obok nich leżą czterej kolejni polscy lotnicy.

Sierżant Władysław Henryk Beller, lat 25

Major Jan Gawlikowski, lat 42

Kapral Zbigniew Pawłowski, lat 22

Sierżant Henryk Szope, lat 21

Dla pilotów z Polski wyspa Man nie okazała się

łaskawa. Żaden z nich nie zginął w walce, ginęli podczas treningów. Przegrywali z nagłą mgłą i chmurami, które naprowadzały ich na zbocza Waszych gór, niezbyt wysokich co prawda, ale zdradliwych, bo usypiających czujność. Rozbijali się i lądowali na Waszej wiecznie zielonej ziemi, na wrzosowiskach, na kwiatnych mokradłach, albo spadali do zimnego morza i tonęli.

Kapral Stanisław Osmala 01.10.1940 roku leciał poćwiczyć strzelanie. W samolocie był też drugi pilot – obaj przechodzili kurs w szkole strzelania i bombardowania w Jurby. Nie zdążyli rozpędzić maszyny ani wznieść jej zbyt wysoko, gdy runęli na ziemię, nieopodal lotniska.

Major Stanisław Pietniunas 23.02.1941 roku odbywał lot treningowy z jednym uczniem z RAF-u. Z nieustalonych przyczyn ich samolot rozbił się tuż obok północnego przylądka Ayre.

Porucznik Stanisław Podobiński wczesnym popołudniem 14.12.1942 roku wystartował z Ballyhalbert niedaleko Belfastu. Miał odbyć rutynowy lot ćwiczebny – nad północny kraniec wyspy Man i z powrotem do północnoirlandzkiej bazy. Pół godziny po starcie w samolocie Podobińskiego przestało działać radio, mimo to bez problemów udało mu się dolecieć nad zachodni brzeg wyspy. Prawdziwe kłopoty zaczęły się kilka

minut później. W okolicach Sneafell, Waszej najwyższej góry, panowały bardzo niekorzystne warunki – Podobiński kilkakrotnie próbował schodzić poniżej poziomu gęstych chmur, które skutecznie utrudniały widoczność i dezorientowały. Przy którejś z kolejnych prób spitfire polskiego pilota zderzył się ze ścianą jednego z pobliskich wzgórz i spadł na grząskie bagna. Wrak samolotu i leżące obok niego ciało znaleziono dopiero pięć dni później, gdy pogoda się poprawiła i umożliwiła przeprowadzenie akcji poszukiwawczej. Pogrzeb na cmentarzu w Jurby odbył się pierwszego stycznia 1943 roku. W Muzeum Lotnictwa i Wojskowości w Castletown porucznik Podobiński ma swoją małą gablotę – jest w niej tekst opisujący ze szczegółami całą historię, jest jego zdjęcie z kolegami z dywizjonu, są też szczątki samolotu. Jeśli chcielibyście z Susan zwiedzić muzeum, zadzwońcie z wyprzedzeniem i umówcie się z dyrektorem Ivorem Ramsdenem.

Dyrektor obiecał, że przepatrzy dla nas stare dokumenty, które ostały się po wojnie. A jak twierdzi, jest tego sporo. Będzie szukał Stanisławów w rejestrach, które uzupełniali szkoleniowcy oraz młodzi piloci trenujący w jednej z trzech szkół RAF-u na wyspie. Jego zdaniem Stanisław, wnosząc po stopniu, jakiego się dosłużył

(kapitan), mógł trenować obserwatorów albo być instruktorem nawigacji.

Słowiński, Sławiński, Słonimski, Słomiński – musimy być wyczuleni na wszystkich Stanisławów S., jakich uda nam się znaleźć, na wypadek, jeśli omyłkowo przekreśliłaś którąś z polskich liter w nazwisku.

Trzymajmy kciuki,
Dionis

Paul Lebedziński najlepszy był z angielskiego. Inne przedmioty szły mu gorzej, a już najgorzej wszelkie sporty. Był niższy i słabszy, wolniejszy w bieganiu od rówieśników w szkole w Ramsey i często zbierał od nich cięgi. Śmiali się z niego, okularnika, samotnika o dziwnym nazwisku i nastroszonych włosach, młodego poety, który pierwszy wiersz napisał w wieku dwunastu lat. Wydrukowała go miejscowa gazeta. Był to ciekawy, pełen nostalgii i zaangażowany politycznie, choć lekko niewprawny lament na wyburzenie zabudowań w starej części miasta, którą przeznaczono do rewitalizacji. Mały Paul spędził tam wczesne dzieciństwo, mieszkał w domu babci. Rodzice byli już po rozwodzie i oboje prowadzili osobne zakłady fryzjerskie w centrum miasta. Matka Kathleen, z domu Dempsey, miejscowa, o irlandzkich korzeniach. Ojciec Polak, Aleksander Lebedziński, w czasie wojny plutonowy radiotelegrafista w Dywizjonie 301, w siłach RAF-u, odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari. Poznali się na weekendowych tańcach w oficerskich barakach w Jurby. Oboje ponoć przystojni, dobrze tańczący. Wojenna fascynacja, euforia, a może nawet miłość,

która zmarniała w czasach pokoju. Kathleen zdążyła nauczyć Alexa, jak się ścina, czesze i farbuje włosy, które nożyczki do czego, które wałki jak. W 1951 roku urodziła mu jeszcze syna. I koniec.

Ich salony fryzjerskie w niewielkim Ramsey dzieliło kilkadziesiąt metrów. Po rozwodzie czasami rozmawiali ze sobą, ale nie przyjaźnili się. Oboje dużo pracowali, więc Paulę zajmowała się mieszkająca po sąsiedzku babcia.

Lokatorów z South Ramsey wysiedlono do domów i mieszkań socjalnych w innej części miasta. Według władz chodziło o bezpieczeństwo mieszkańców, któremu zagrażały częste podtopienia i zły stan starych, zaniedbanych budynków. Ale według Paula, jego babci i wielu innych osób prawdziwe powody były inne.

– Nie, Paul mówił wyłącznie po angielsku. Po polsku znał kilka słów, może dzień dobry. Po manxowsku umiał ciut więcej – może kilka nazw własnych, zwroty grzecznościowe: *gura mie ayd* (dziękuję), *ta graih aym ort* (kocham cię), *laa-ruggyree sonney dhyt* (wszystkiego najlepszego z okazji urodzin).

Siwe włosy, siwa broda, pomarszczony i lekko przygarbiony, z twarzą uśmiechniętą, opaloną –

Brian Stowell swobodnie przechodzi z angielskiego na manx, z języka śpiewnego, potoczystego, który płynie z wolna i faluje, w ostry, zacinający się, kanciasty. Zna manx tak dobrze, jak to tylko możliwe. Kiedy przyszedłem pół godziny wcześniej, Brian kończył prace w dużym, przydomowym ogrodzie – minionej nocy wiatr wytłukł szyby w szklarni i połamał krzaki pomidorów. Pomogłem mu wynieść kawałki szkła do specjalnego śmietnika, zanim usiedliśmy w jego gabinecie pełnym książek, papierów i bałaganu.

– Kiedy Paul chodził do szkoły, uczono już wyłącznie po angielsku, i to od dawna. Manxowskiego na pewno nie znali ani jego nauczyciele, ani ich rodzice. Dziadkowie nauczycieli – być może, jeśli załapali się do Stowarzyszenia.

W roku 1899 na wyspie powstało Stowarzyszenie Języka Manx. Grupa zamożnych intelektualistów, artystów, wyspiarskich nacjonalistów i polityków, podnieconych ideą celtyckiego odrodzenia w regionie, postanowiła przeprowadzić resuscytację miejscowego języka, który od lat sukcesywnie słabł, wybywał z domów, pubów, targowisk i szkół. Przegrywał nierówną walkę z coraz powszechniej zakorzeniającym się angielskim. Powodów było wiele – między innymi

przekazanie nadzoru nad miejscową edukacją władzom w Londynie. W 1872 roku na ich rozkaz manx całkowicie zniknął z miejscowych szkół. Za mówienie barbarzyńską mową uczniom groziły reprimendy, razy różgą i czapka z oślimi uszami; za sekretne nauczanie – zwolnienie z pracy.

Manx pozostał domeną rybaków i rzemieślników z odległych, odizolowanych wiosek. To do nich po ratunek chodzili członkowie Stowarzyszenia, choć ludziom z tak różnych światów czasami trudno się było porozumieć.

Takiego problemu nie miała Sophia Morrison, pochodząca z Peel sekretarz organizacji i uznana antropolożka, która przez lata zbierała po ludziach dawne legendy i przekazywane ustnie podania, między innymi o powstaniu wyspy Man, o tym, jak miejscowy kot stracił ogon, o tym, jak śledź został królem morza, jak na wyspę przybył święty Patryk, i tak dalej. Książka z bajkami, którą Morrison wydała w 1911 roku, to lokalny bestseller, wielokrotnie wznawiana. Jest obecna w prawie każdym domu (Sian ma jej dwa wydania – starsze, jeszcze z lat siedemdziesiątych i ostatnie, sprzed zaledwie kilku lat; zna większość bajek na pamięć, bo czytała je chłopcom, gdy byli mali).

Mniej więcej w tym samym czasie wyspa przyłączyła się do nowo powstałego

Stowarzyszenia Panceltyckiego, do panceltyckiej rodziny, razem ze Szkocją (Albą), Walią, Kornwalią, Irlandią i Bretanią – choć raczej na prawach kuzyna, a nie rodzonego brata. Bo owszem – wspólny język i historia, ale jednocześnie specyficzne właściwości. Wyspa Man cieszy się sporym – niespotykanym gdzie indziej – zakresem samorządności, a polityczne relacje z Londynem opiera na negocjacjach i kompromisach, nie zaś na irredencie, krwawych wojnach i powstaniach.

– Stowarzyszenie wykonało kawał dobrej roboty, ale zainteresowanie językiem nie rosło adekwatnie do nakładu pracy – mówi Brian. Jego żona przed chwilą podała nam herbatę i ciastka z czekoladą. – Znajomość manx uznawano za oznakę wsteczności, a posługujących się nim za smutnych wieśniaków. Na ulicy za mówienie w manx można było oberwać kamieniem, a w pubie kuflem od piwa. Tymczasem native speakerzy powoli wymierali.

Brian poznał kilku jako młody chłopak. Przyłączył się do dwóch starszych studentów i razem z nimi co weekend chodził po wiejskich domach, nagrywając rozmowy z rolnikami i rybakami na wielki szpulowy magnetofon. Gadali o życiu, o pracy na polu, o tym, jakie kiedyś

stosowano pługi, a jakie obecnie, jakie sieci, jakie ryby zaczęto łowić po tym, gdy z morza niemal zniknął śledź. Stare wdowy śpiewały im manxowskie zbereżne pieśni.

– Czasami trudno było zrozumieć, co te szczerbate dziadki i babcie gadają, ale słuchaliśmy wytrwale – po sześć godzin w sobotę i sześć w niedzielę. Nie musiałem chodzić na żaden kurs, nauczyłem się języka w pół roku.

Najciekawszym rozmówcą okazał się Ned Maddrell, stary rybak z Cregneash, urodzony w 1877 roku. Kiedy Brian go nagrywał, Ned dobiegał osiemdziesiątki i był głuchy jak pień, mimo to opowiadał piękne morskie historie i przywoływał zapomniane obrzędy – jak ten o listkach lub kwiatach werbeny, które zaszywano w ciuszkach niemowląt, by zapobiec porwaniu ich przez wróżki. Maddrell zmarł w 1974 roku, na trzy lata przed setnymi urodzinami. Był ostatnim native spikerem języka manx.

Po skończeniu szkoły Brian wyjechał do Liverpoolu. Na tamtejszej politechnice studiował fizykę. Później zrobił doktorat i pracował jako wykładowca. Na wyspę wracał przy każdej możliwej okazji, choćby na weekend. Właśnie podczas jednego z takich pobytów poznał Paula. Słyszał o nim już wcześniej – że młody, zdolny

poeta, materiał na prawdziwego barda, gromadzi w pubach sporą widownię, gra na harmonii i recytuje swoje wiersze.

Zdolny poeta, zanim zawładnął lokalnymi pubami, zabierał swoich przyrodnych braci Robbiego i Markusa na długie włóczęgi. Łaził z nimi po lasach, wydmach, wąwozach rozsianych po całym płaskowyżu na północy wyspy. Paul był najstarszy, tłumaczył świat, że o tu widać brzegi Szkocji, a z tamtej, wschodniej strony to angielska Kumbria i szczyt Scafell Pike w Krainie Jezior.

– Raz staliśmy na moście, a Paul wypatrzył, że na dnie płytkiej rzeki Sulby leży rama od roweru. Wyciągnął ją i cały szczęśliwy przytargał do domu. Mieszkaliśmy wtedy wszyscy razem – trzech bracia, nasza matka i nasz ojciec, jej drugi mąż Robert Kinnin.

Markus ma dziś pięćdziesiąt lat, jest mechanikiem samochodowym i nadal mieszka w Ramsey.

– Paul był bardzo mądry, rozsądny i życzliwy. Miał do nas cierpliwość. Wiesz, czasami na człowieka można powiedzieć „*dickhead*”, prawda? Na wielu ludzi. Niemal u każdego od czasu do czasu odzywa się ten pierwiastek. Otóż Paul nie miał go w sobie nawet w ilościach śladowych. Nikt nigdy

nie powiedziałyby o nim, że jest wrednym fiutem.

Markus jest jedynym żyjącym krewnym Paula i rozporządza prawami do jego wierszy. Przez dwadzieścia lat nie mógł się zebrać, żeby coś z nimi zrobić. Teraz wszystkie papiery, rękopisy i listy zamierza przekazać Manx Museum, co otworzy ścieżkę do publikacji twórczości, która nigdy wcześniej nie zmaterializowała się w druku.

Paulowi zajęło dwa tygodnie, żeby porządnie oczyścić znaną w rzece ramę, przytroczyć do niej koła, łańcuch i całą resztę.

– Miał ten rower przez wiele lat. Uwielbiał rowery. Za to nigdy nie nauczył się prowadzić samochodu.

Nigdy też nie poszedł na studia. Rodzina nie mogła sobie na to pozwolić, a on sam nie miał szczególnych chęci. Szkoły kojarzyły mu się jak najgorzej. Na życie będzie zarabiał prostymi zajęciami. Najpierw był pomysły, że przejmie salon po matce lub ojcu, więc zrobił kurs fryzjerski w Douglas. W zawodzie wytrzymał jednak zaledwie chwilę – włosy śmiertelnie go nudziły, chemiczne smrody farb i płukanek dusiły. Drugi zawód – budowniczy. Trzeci – tapicer używanych foteli i kanap. Później Paul prowadził lumpeks, kiosk z lodami i pralnię chemiczną. Jako formierz odlewnik praktykował krótko, choć i tak dłużej niż

jako garncarz i pracownik supermarketu. Jednej zimy wytrzymał zaledwie dzień, pracując dla lasów państwowych przy wycince drzew. W końcu otworzył własną działalność i został ogrodnikiem.

– Miał bardzo ograniczone potrzeby. Zadowalał się absolutnym minimum.

Gdy Paul miał dwadzieścia jeden lat, poznał starego strzecharza z Sulby – jednego z ostatnich na wyspie. Razem z nim wyprawiał się na północne wydmy, gdzie młócili sierpem długie na metr i ostre źdźbła zielonej piaskownicy zwyczajnej. Odpowiednio obrobiona trawa łądowała później na dachach najstarszych manxowskich chat – w Cregneash, Niarbyl, Port Erin czy Ramsey. Dziś mało kto wie, jak porządnie zreperować strzechę.

Strzecharze na południu

Późnym latem, Gabriel Crowe i ja pracowaliśmy,
póki mrok nie zaciągnął
welurowej kurtyny,
Żeby związać, rozdzielić i zwinnie skręcić snopki
zanim opadające liście,
Posłańcy jesieni, nadlecą, by skrócić dni skąpane
w czułym ciepłe i jeszcze
czulszym wietrze,
Kiedy to doświadczony Gabriel jedzie na

południe, a drzewa wzdłuż drogi
umykają,
Ze mną, tym młodszym, przy boku, a pachnąca
mietlica wypełnia pakę,
Jedzie do południowych krain, kłaść strzechę
w sędziwych gospodarstwach,
Stare poszycie idzie precz, drabina wspiera się
o kalenicę,
Dłonie Gabriela splatają zielone wiązki, niby
układając cichą pieśń,
A ja, skromny pomocnik, wożę stare poszycie na
pole
Gdzie, gdy ono płonie, moje serce rośnie, oczy
otwierają się szerzej,
Zmrok upiększa zielone wzgórza – coraz
ciemniejsze w zachodzącym
słońcu,
Karmazynowe światło wciąż skrzy się na
lazurowym oceanie,
Pora wracać do domu, syrena mgielna żegna nas
z oddali,
Prawdziwy strażnik – od chudych cypli po
spowite mgłą kamienne wieże,
Jeszcze trzy pogodne dni – zielone poszycie
związane i przycięte,
Stary Gabriel wróci do domu i zaczeka, aż płatki
śniegu rozsadzą ziemię,

Wróci ciepło, a my, przyjacielu, znów położymy
strzechy w sędziwych
gospodarstwach.

– Pewnego dnia mnie zabraknie, synu, więc
Patrz, i ucz się dziś tej pradawnej sztuki;
W moich oczach nic się nie może równać,
Prócz tej, którą w młodości przyszło mi stracić,
Z poszyciem dachu schnącym w słońcu,
Gdy jesień zmienia zieleń w złoto;
Synu, w moim wieku, u schyłku życia,
Tylko jedną mam pociechę,
Że w twoich dłoniach to rzemiosło
Żyć będzie, choćby mnie nie było.
Pora wracać do domu,
Syrena mgielna żegna nas z oddali,
Na chudych cyplach, kamienna wieża
Trwa spowita mgłą – prawdziwy strażnik.
Jeszcze trzy pogodne dni – zielone poszycie
Gotowe – powiązane i przycięte,
Stary Gabriel powróci do domu, by czekać
Aż płatki śniegu rozsądzą ziemię,
Wróci ciepło, a my, przyjacielu,
Polożymy strzechy w sędziwych
gospodarstwach.

Nostalgia za życiem spokojnym
i nieskomplikowanym, za wyspą, na której sąsiedzi

żyli obok siebie od pokoleń, gdzie niemal wszyscy byli prawie tak samo biedni – ta nostalgia napędzała niektóre wiersze Paula. Paliwem dla innych było wkurwienie na teraźniejszość, szybko zmieniającą się na skutek decyzji podejmowanych przez lokalne władze – z żądzy pieniądza, a bez szacunku dla tradycji. Paul dołączył do wyspiarskich nacjonalistów, którzy coraz śміiej organizowali się jako polityczna i społeczna opozycja występująca przeciwko zamiarom zamienienia wyspy w raj podatkowy, wygodną przystań dla różnej maści spekulantów, podatkowych czarodziei bez moralności.

Po drugiej wojnie światowej brytyjscy turyści szybko wrócili na wyspę i wracali jeszcze przez kilka dobrych sezonów, co napędzało miejscową gospodarkę. Jakoś w połowie lat pięćdziesiątych jednak trend wyhamował. Każdego lata wakacyjowiczów było mniej o pięćdziesiąt tysięcy, o sto tysięcy. Szybko się okazało, że nieliczne zakłady przemysłowe i kurczący się sektor turystyczny to za mało, by rozwijać gospodarkę. Tysiące ludzi wyjeżdżało za pracę. Potrzebne było lekarstwo, które uzdrowi sytuację na lata.

Skoro laburzyści rządzący w Londynie sukcesywnie podnoszą podatki i uciskają

najzamożniejszych obywateli, moglibyśmy zaprosić bogaczy do nas – kombinowali wyspiarscy politycy. Przeprowadziliby się tu całymi rodzinami i w przeciwieństwie do turystów spędzaliby u nas nie dwa tygodnie, tylko cały rok. Kupowaliby w naszych sklepach, nasze ziemniaki i nasze ryby, zatrudnialiby naszych pracowników, naszych budowlańców i ogrodników, do naszego budżetu płaciliby podatek dochodowy (21,25 procenta w porównaniu do 98 procent w Wielkiej Brytanii). Zniesiemy im surtax, czyli super podatek wyrównawczy dla najbogatszych. Uświadomimy im też, że jeśli przeniosą się do nas, nie zapłacą ani funta w ramach podatku od dochodów kapitałowych, podatku od spadku czy transferu kapitału. Czy gdziekolwiek będzie im lepiej? Oto nasza „New Residents Policy”! Przybywajcie!

Jako pierwsi z zaproszenia skorzystali ci, których „*wind of change*” akurat wywiewał z brytyjskich kolonii. Kolonialni urzędnicy, administratorzy, lekarze, prawnicy, biznesmeni – zwijali manatki i majątki. Opuszczali słoneczną Nigerię, Ugandę, Kenię i pozostałe kraje Afryki, a później także Karaiby i Azję, gdzie nareszcie ogłaszano niepodległość. Do Anglii wracali jednak niechętnie, obawiając się, że ich z trudem ciułane kolonialne fortuny nie wytrzymają podatkowych

obciążeń. Wyspa Man była dla nich idealna.



Nowi przybysze otwierali konta w bankach w Douglas i po tanioci kupowali domy od

miejscowych (starzejący się rodzice Dorothy Greenwood sprzedali Hillberry z całym gospodarstwem lekarzowi, który wrócił z Kenii. Dostali sześćdziesiąt tysięcy funtów – dziś tylko sam dom wart jest półtora miliona). Wielu z nich początkowo zachowywało się tak, jakby świat nic a nic się nie zmienił, jakby oni sami przenieśli się z jednej kolonii do innej. Uważali się za lepszych, mądrzejszych, bogatszych. Miejscowych często określali mianem ludności rdzennej. Manxowie reagowali śmiechem i nazywali przyjezdnych „Whenajs”, od frazy, którą ci często powtarzali: „*when I was in...* (kiedy byłem w... Bombaju, w Bulawayo, w Nairobi).

W tym samym czasie co „Whenajs” na wyspie zaczęli pojawiać się też zamożni Anglicy, Szkoci i Irlandczycy. Początkowo przenosiło się zaledwie po kilkaset osób rocznie, jednak w ciągu dekady uzbierało się ponad dziewięć tysięcy przybyszów. Przyjeżdżali z wielkim kapitałem i bezczelnością, która pozwalała im przejmować najpiękniejsze nadmorskie tereny.

Nowi rejestrowali na wyspie swoje zagraniczne firmy, ale też zakładali nowe biznesy – supermarkety, ekskluzywne hotele, banki, przedsiębiorstwa budowlane. Za finansową elitą podążali spece od podatków i doradcy finansowi,

księgowi i prawnicy – wszyscy biegli w inwestycjach, ale też niestroniący od przekrętów i naciągania nawet luźnych przepisów (jednym z nich był Robin, mąż Sian – dyplomowany księgowy, który szybko awansował i został dyrektorem filii jednego z zagranicznych banków na wyspie).

Bogacze budowali wielkie posiadłości, głównie na północy wyspy – w okolicach Maughold czy Ramsey, w ich ręce dostała się też dzielnica South Ramsey, gdzie wcześniej mieszkała babcia Paula i on sam jako młody chłopak. Postawiono tam bloki mieszkalne, jedyne na wyspie, prawie tak brzydkie jak w Polsce.

Niektórym Manxom luksusy przyjezdnych początkowo mocno imponowały. Myśleli, że załapią się choć na okruchy tortu. Szybko się jednak rozczarowali. Boom w budownictwie i śmiałość bogatych deweloperów wywindowały ceny nieruchomości do poziomów nieosiągalnych dla miejscowych średniaków; właściciele pensjonatów i hoteli narzekali, że biznesmeni z importu monopolizują branżę przez otwieranie bogatszych i nowocześniejszych kurortów i że zawłaszczają klientów, oferując dumpingowe ceny; rolnikom nie podobało się, że coraz więcej pól idzie pod zabudowę; coraz tłoczniej było w szpitalach

i szkołach.

Pierwsi buntownicy założyli w roku 1961 nacjonalistyczną partię polityczną – Mec Vannin (Synowie Man). Postulowali rezygnację ze statusu dependencji Korony brytyjskiej na rzecz pełnej niepodległości i wprowadzenie obostrzeń imigracyjnych – bogaci Brytyjczycy nie mogliby już tak swobodnie osiedlać się na wyspie. Uważali, że należy rozwijać rolnictwo i iść w kierunku rolniczej samowystarczalności. Mec Vannin nie była skuteczna politycznie, nie umiała wprowadzać do Tynwaldu swoich kandydatów, ale jej hasła były nośne, słyszalne, przekonujące i padały na podatny grunt.

Stary, zapuszczony pub w Peel. Małe okienka, skrzypiąca podłoga z surowych desek, okrągłe stoły, krzesła ze skórzanym obiciem – wytartym bądź całkiem już dziurawym. Półmrok i kłęby dymu z papierosów. Komuś rozlało się piwo – czuć goryczką. Paul siedzi na wysokim barowym stołku – tyłem do baru, przodem do ludzi. Ma dwadzieścia jeden lat, ale wygląda na więcej. Włosy sięgają mu do ramion – gęste, nastroszone, długa broda w podobnym nieładzie. Dyndają mu grube nogi. Upija ze świeżo napełnionego kufła, mlaszcze, wyciera wąsiska, a później ręce w spodnie. Brian

Stowell, siedzący obok, szykuje akordeon, poprawia paski na ramionach. Do dzieła. Ludzie klaszczą na zachętę

– „*Dirty Dan was a hell of a man*” – Paul zaczyna kolejny wiersz, do którego Brian cicho przygrywa.

Ludzie słuchają w ciszy. Co kilka wersów wybuchają śmiechem lub reagują westchnieniem. Paul robi jedynie króciutkie pauzy, nie daje się wyśmiać do końca, nie czeka, aż pomruki całkiem ucichną – wie, że w tej chwili Dirty Dan jest ważniejszy niż on sam i cała publiczność.

Ważniejszy nawet niż ta piękna brunetka z długą grzywką szczelnie przykrywającą czoło i wielkimi, ciemnymi oczami, w czarnej obcisłej bluzce i krótkiej spódnicy w kratę. Paul ją dostrzega, gdy po skończonym utworze kobieta bije brawo razem z innymi, z całych sił, uśmiecha się przy tym szeroko i gwizdże. Trzy wiersze i trzy piwa później podejdzie do jej stolika i się przedstawi, co mimo pewnej nietrzeźwości musiało go sporo kosztować, bo z natury był bardzo nieśmiały.

Patricia Bridson, dla przyjaciół Pat. Przeciwiństwo Paula: śmiała, odważna, konkretna. Dwadzieścia cztery lata, nauczycielka w szkole w St John's.

„To musiał być rok 1972, na chwilę przed Fo

Haloo. Dobrze pamiętam, jak Paul recytował *Dirty Dana* – napisze mi Pat w jednym z mejli.

Paul zakochał się od razu, na zabój i możliwe, że na zawsze. Pat wolała przyjaźń, zresztą była wtedy związana z kimś innym.

– Paul nigdy wprost nie powiedział, że mnie kocha, nie starał się o mnie otwarcie, pewnie brakowało mu odwagi. Był nieśmiały, może nawet wstydlivy. Ale ja tę miłość wyczytywałam z jego gestów, kiedy całował mnie w policzek na przywitanie, kiedy trzymał mnie za rękę. A już najbardziej z wierszy, które mi dedykował, których rękopisy zatrzymałam do dziś.

Paulowi musiała imponować odwaga i bezkompromisowość Pat, choć czasami pewnie też się o nią bał. Była aktywną działaczką nacjonalistyczną – każdą akcję mogła przypłacić sądem i więzieniem.

Jak wtedy, gdy latem 1973 roku razem z kilkorgiem znajomych zabrali się za dom znanej bogaczki Mimi – wdowy po markizie Queensberry. Mimi przeniosła się na wyspę z całym majątkiem i wybudowała wielką posiadłość na północ od Peel. Przez jej posesję przebiegała dróżka prowadząca na jedną z piękniejszych plaż w okolicy. Markiza pragnęła ją mieć tylko dla siebie – nie chciała, by pospółstwo przewalało się przez jej czyściutką,

luksusową rezydencję. Postanowiła, że ścieżkę zamknie, a cały teren ogrozi. Nie zważając na oficjalny zakaz, wynajęła robotników do postawienia płotu.

Ludzie z Fo Halloo wielokrotnie „zdobili” ściany jej domu barwnym graffiti:

„Renegaci podatkwowi wynocha z wyspy”,

„English pigs go home”.

Markiza zgłaszała zażalenia, ale policja pozostawała bezradna – Fo Halloo działało w prawdziwym podziemiu, nikt nie puszczał pary z ust, a wydaje się, że i wśród policjantów byli skryci sympatycy organizacji. Koniec końców Mimi sprzedała dom, spakowała walizki i opuściła wyspę.

Graffiti pojawiało się również na ścianach domów wielu innych przyjezdnych bogaczy, a także na mostach, murach, na drogach: przeciwko oszustom i spekulantom, którzy uważali, że ich funty kupią im wszystko, co tylko zechcą.

Jednego razu policja prawie przyłapała Pat i jej dwóch towarzyszy. Funkcjonariusze zatrzymali podejrzanych o wandalizm, ale spóźnili się o kilka minut – nie widzieli, kto konkretnie bazgrał po ścianach. W związku z tym w sądzie trudno było im cokolwiek udowodnić. Cała trójka dostała jedynie karę grzywny, po dziesięć funtów oraz nakaz

pokrycia kosztów postępowania. Być może wywinęliby się zupełnie, gdyby nie dwa egzemplarze biuletynu „Fo Halloo”, które znaleziono przy Pat.

Manxowskie „Fo Halloo”, czyli underground, podziemie. Kto wymyślił nazwę, kim byli wszyscy członkowie, z jakich środowisk się wywodzili, gdzie pracowali za dnia, gdzie się spotykali, skąd brali środki na działalność – do dziś nie wiadomo. To znaczy – oni wiedzą, ale nie powiedzą.

Poza Pat, która o swoim udziale mówi otwarcie:

– Byliśmy radykalni, bo uważaliśmy, że dzieją się rzeczy naprawdę niebezpieczne. Chcieliśmy bronić poczucia wspólnoty, bo nasze władze były w tym względzie nieudolne. Rządzili nami skorumpowani politycy, którzy myśleli jedynie o tym, jak dla prywatnych interesów wykorzystać zamożnych gości.

W biuletynie „Fo Halloo”, który ukazywał się między 1973 a 1976 rokiem, najczęściej obrywało się politykom ze świecznika. W tonie szyderczym redaktorzy gazetki opisywali ich szemrane powiązania z bogatymi przedsiębiorcami, którzy bez problemów dostawali zgody na budowę kolejnych ekskluzywnych hoteli, pól golfowych, przystani dla jachtów czy luksusowych domów.

Gazetkę drukowano na spirytusowych

powielaczach – pojawiała się niespodziewanie, w różnych odstępach czasu. Można ją było znaleźć o świcie w budkach telefonicznych, na progach domów, na niskich sklepowych parapetach. Była czytana i podawana dalej, szeroko komentowana. Informowała, zaskakiwała, czasami bawiła. Była też czymś więcej – w rozumieniu autorów była instrumentem w walce dobra ze złem, w klasowym konflikcie między pracującym ludem wyspy, biednymi Celtami, a bogatymi posiadaczami z krwio pijnej Anglii.

Do dziś nie ustalono konkretnie, skąd „Fo Halloo” brało swoje informacje. Zazwyczaj były to solidne, sprawdzone fakty, o których inne media milczały. A poza faktami – pytania, których lokalne gazety nie chciały zadawać, albo przypuszczenia, których Manx Radio wołało nie formułować. Liczni informatorzy musieli pochodzić z kręgów związanych z władzą.

Brian Stowell ma wszystkie numery biuletynu. Upchane na półkach razem z kryminałem, który napisał w manx, z podręcznikami do nauki języka, które opracował, i wszystkimi książkami, które na manx przetłumaczył (między innymi *Alicję w krainie czarów – Ealish ayns Cheer ny Yindyssyn*). Niekiedy do nich zagląda, bo dawne czasy wspomina z czułością. Pamięta na przykład pyszny

skandal, jaki aktywiści Fo Halloo wywołali w Tynwald Day 1974 roku. Przed kaplicą i w okolicach Tynwald Hill tysiące osób wysłuchiwały proklamacji przyjętych w minionym roku ustaw. Nagle na nieodległym wzgórzu pojawił się wielki płonący krzyż. Ludzie podnosili głowy i poszturchiwali się nawzajem: patrz, patrz! *Fire!* Na miejsce wysłano grupę policjantów, ale gdy ci wdrapali się na szczyt, cali spoceni i zdyszani, krzyż dogasał, a w okolicy nie było żywej duszy.

– Płonący krzyż kojarzony jest z Ku-Klux-Klanem, ale Fo Halloo wykorzystało jego wcześniejsze symboliczne znaczenie. W dawnej Szkocji miejscowi ostrzegali w ten sposób swoich współobywateli o zbliżającym się niebezpieczeństwie, a najeźdźców o zagrożeniu, jakie ich czeka.

Brian pamięta też, jak jednego ranka zamki w drzwiach do wszystkich banków na Athol Street w Douglas zostały zaklejone super glue. Pamięta świetne karykatury polityków, które pojawiały się w biuletynie, i wisielczy humor, jaki w nim dominował.

– Malowali graffiti na domach, jednemu pośłowi rozrzucili w ogrodzie dziesiątki belek słomy. W gruncie rzeczy jednak działacze Fo Halloo, w przeciwieństwie do celtyckich sąsiadów, byli

dalecy od stosowania przemocy. Na wyspie nie było wybuchów bomb, nie było zabójstw na tle politycznym ani innych akcji terrorystycznych, które przez lata podgrzewały atmosferę i radykalizowały nastroje na przykład w Irlandii. Ludźmi z Fo Halloo kierowała głównie nostalgia.

W gabinecie, który zajmuje widny pokój na parterze sporego, przytulnego domu, Brian ma też gdzieś kasetę z wierszami Paula. Zaraz poszuka. Uspokajam go – mam już kopię, którą otrzymałem w Manx Museum.

– Czasami nagrywaliśmy jego występy w pubach, bo baliśmy się, że wiersze przepadną bez śladu. Nie liczyliśmy, że Paul ma jakieś porządne archiwum albo przynajmniej szufladę, gdzie trzymałby rękopisy. To nie było w jego stylu. Jego dom w Ramsey bardziej przypominał graciarnię, sprzęty wałały się między nogami. Był typem bałaganiarza. Więc nagrywaliśmy czasami te występy, a później ktoś złożył je w całość.

Na kasecie znajdują się dwadzieścia cztery wiersze. Jedne recytowane, inne śpiewane, do których przygrywał Brian albo inni przyjaciele.

Pat nigdy nie miała ambicji politycznych. Jej zdaniem polityka korumpuje nawet najlepszych. Ona sama wolała działać na zewnątrz systemu

i stamtąd wpływać na jego zmianę. Dlatego szybko zrezygnowała z bycia sekretarzem Mec Vannin. Pisała do „Fo Hallo”, a później współredagowała również inny radykalno-nacjonalistyczny biuletyn „Irree Magh”. Założyła też pierwszą na wyspie organizację feministyczną EVE (Równość przeciwko Wyzyskowi). Organizowała zajęcia z nauki manx, wykłady na temat bieżącej polityki i historii wyspy. Przypominała o jej celtyckich korzeniach, namawiając ludzi do nauki celtyckich tańców i pieśni. W roku 1984 przeniósła się do Dublina, wyszła za mąż i urodziła syna.

Paul często ją odwiedzał. Pokazywał jej najnowsze wiersze, zostawiał w prezencie te napisane dla niej. Pat pamięta, że wielokrotnie odradzała mu angażowanie się w czynną politykę. Nie posłuchał jej. Trzy razy nieskutecznie startował do House of Keys. Więcej szczęścia miał w wyborach lokalnych, został radnym w Ramsey. Z zasiadania w radzie miejskiej zrezygnował na znak protestu, gdy większością głosów zapadła decyzja o dofinansowaniu z lokalnego budżetu hucznych obchodów tysiąclecia Tynwaldu. Paulowi nie podobało się to, że pieniądze pójdą na fajerwerki, podczas gdy są potrzebne na inne, o wiele ważniejsze cele.

Był rok 1979. Członkowie Tynwaldu okrzyknęli

go rokiem milenijnym. Uznali, bez powoływania się na wiarygodne źródła historyczne, że Tynwald działa nieprzerwanie już od tysiąca lat i że należy tę okrągłą rocznicę odpowiednio uczcić.

Kulminacja obchodów miała miejsce piątego lipca, w Tynwald Day. Na wyspę przyплыnęła sama królowa Elżbieta II, która przewodziła tego dnia ceremonii w St John's. W ślad za nią do Douglas przybyły tysiące turystów. Kto chciał, mógł się przespacerować milenijnym szlakiem – wyznaczonym specjalnie na tę okoliczność, ciągnącym się przez czterdzieści kilometrów od Ramsey na północy, przez góry w centrum, do Castletown na południu. Można było podziwiać replikę długiej łodzi wikingów „Odin's Raven”, którą zamówiono w Norwegii i która przyплыnęła na wyspę z Trondheim. Można było zwiedzić nowo otwarte arboretum, zakupić monety oraz whisky ze specjalnych limitowanych edycji. Nad wszystkimi wydarzeniami w ramach milenijnych uroczystości unosił się duch wikingów. Władze chciały podkreślić, że to za panowania wikingów (lata 853–1266) kształtował się duch wyspy, że to dzięki nim i ich dziedzictwu wyspa ma taki, a nie inny charakter. Królowej Elżbiecie takie rozumienie historii i taki symbolizm zupełnie nie przeszkadzały – swego czasu wikingowie kontrolowali przecież

niemal cały obszar dzisiejszej Wielkiej Brytanii. Nie było tu punktu spornego. Co innego, gdyby przypomnieć wpływy Celtów. Królowa mogłaby się pogniewać. Przez celtyckie tradycje wiedzie prosta droga do niepodległościowych żądań Szkocji, Walii, a wcześniej także Irlandii. Zbyt grząski grunt. Zostańmy przy wikingach.

Mało kto chciał więc słuchać tłumaczeń niezadowolonych nacjonalistów, gdy próbowali oni przekonywać, że rządy skandynawskich wojowników trwały zaledwie chwilę, jeśli porównać je do okresu panowania Celtów.

Celtowie żyli na wyspie przez prawie tysiąc trzysta lat, ślady po nich nawet dziś znajdujemy na każdym kroku: kamienne forty i wały obronne na szczytach South Barrule i Cronk Sumark, dziesiątki mniejszych fortów rozsianych po całej wyspie, ślady okrągłych domów farmerskich, żarna do mielenia zboża, kotły do gotowania, przyrządy do szycia, szklana i metalowa biżuteria, dwieście kamiennych, bogato zdobionych krzyży nagrobnych zgromadzonych w Manx Museum i setki kolejnych na starych cmentarzach; celtyckie legendy i mity; język manx i to, co przeniknęło z niego do angielskiego: nazwa wyspy – celtyckie „mon” oznaczało górę – Isle of Man była więc wyspą gór lub górzystą wyspą; Douglas – celtyckie

„doo” i „glais” – czarny strumień; celtyckie „balla”, czyli pole, i dzisiejsze nazwy miejscowości na wyspie: między innymi Ballabeg, Ballamona, Ballasalla, Ballaugh, Ballagawne, Ballacrink, Ballamodha, Ballagarey.

W latach osiemdziesiątych Brian wciąż mieszkał i pracował w Liverpoolu. Nadal często wracał na wyspę, ale bywało też, że spotykał się z dawnymi znajomymi w pubach nad rzeką Mersey. Przyjaciele wpadali z krótkimi wizytami. Czasami przyjeżdżał również Paul. Już wtedy jednak działy się z nim rzeczy niepokojące. Jednego razu zjawił się w Liverpoolu na zaproszenie miejscowej grupy poetyckiej. Wieczorem wyrecytował kilka starych i nowych wierszy, poopowiadał o wyjątkowości wyspy, porządnie się napił i nad ranem wrócił do hotelu. Następnego dnia dogadał się z Brianem, który mieszkał niedaleko, żeby ten wpadł z harmonijką, to sobie zrobią małą sesję, jak za dawnych czasów. Brian zjawił się w recepcji o określonej porze i dzwonił do Paula dobre pół godziny. Ten ani nie odebrał, ani nie oddzwonił – choć na pewno był na miejscu i nie spał, bo zaledwie chwilę wcześniej widziano go, jak biegł korytarzem do swojego pokoju. Miewał takie ataki. Bał się podróżowania i bał się ludzi. Ten strach potrafił okiełznać jedynie alkoholem. Nie

wychodził z domu, zanim nie wypił kilku piw.



Brian nie wie, czy to była choroba, czy dałoby się to w ogóle zdiagnozować. Paul na pewno nigdy z tym do żadnego lekarza nie poszedł. Może ostra, nieleczona depresja. Może coś innego. Może – tak, Brian wie, że to brzmi banalnie – złamane serce.

– Pat?

– Całe życie ją kochał i pozostał jej wierny.

W tych samych latach osiemdziesiątych na wyspie nadal trwało finansowe eldorado. Zagraniczne banki oraz firmy – głównie ubezpieczeniowe i spedycyjne – chętnie przenosiły biura do Douglas, Castletown i Ramsey, zachęcane ulgami

podatkowymi. To samo robili liczni biznesmeni, którzy przylatywali na wyspę prywatnymi samolotami i deponowali w miejscowych bankach walizki pełne pieniędzy – nikt ich nie pytał, skąd pochodzą środki, czy są legalne, czy stanowią zysk, od którego powinien być odprowadzony podatek. Podpis, *handshake*, do widzenia.

Wyspa Man przez długie lata postrzegana była jako klasyczny *tax haven*. Z czarnej listy rajów podatkowych zniknęła dopiero niedawno, między innymi dzięki podpisaniu kilkunastu umów dwustronnych o wymianie informacji podatkowych i unikaniu podwójnego opodatkowania (także z Polską). Rząd wyspy, OECD oraz Międzynarodowy Fundusz Walutowy z dumą używają teraz nieco karkołomnej nazwy: „centrum finansowe z niskimi podatkami”.

Niskie podatki zapewniały wyspie nadwyżkę budżetową, z której w latach dziewięćdziesiątych, ni stąd, ni zowąd, postanowiono finansować językowe przebudzenie.

– Pierwsze pozytywne sygnały świadczące o tym, że zainteresowanie językiem rośnie, mieliśmy już w latach osiemdziesiątych – mówi Brian i wyciąga z szuflady biurka plakat filmu *Yn Gareyder* (Ogrodnik). – Razem z grupą zapaleńców nakręciliśmy serię dokumentów w manx o ważnych

ludziach i zjawiskach. Bohaterem *Yn Gareyder* był Paul. Ja byłem narratorem. Pojawiały się pierwsze czasopisma w manx i tłumaczenia. Po długiej i trudnej kampanii władze zgodziły się, żeby na znakach drogowych obok angielskich nazw umieszczać ich odpowiedniki w manx, a Isle of Man Bank zaczął akceptować чеки wypisywane nie tylko po angielsku. Dorośli mogli się zapisywać na wieczorowe kursy językowe, a niedługo później zaczęto na poważnie mówić o wprowadzeniu manx do szkół.

Początkowo brakowało nauczycieli, podręczników i pomocy naukowych, a mimo to zainteresowanie „ginącym językiem” ciągle rosło. Rząd postanowił utworzyć stanowisko do spraw języka. Brian propozycję przyjął bez wahania.

– Był rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy, powoli zbliżałem się do emerytury, chętnie opuszczałem Liverpool. Nie spodziewałem się jednak, co mnie czeka. W dziewięćdziesiątym drugim roku przeprowadziliśmy we wszystkich szkołach ankiety. Pytaliśmy dzieci, czy chciałyby się uczyć nowego języka. Spodziewaliśmy się, że zgłosi się garstka, i to z garstką byliśmy wtedy w stanie współpracować. Tymczasem chęć nauki manx wyraziło czterdzieści procent pytanych! Myśleliśmy, że do obliczeń wkradł się jakiś błąd.

Czterdzieści procent to był wynik z kosmosu. Zaczęliśmy rozmawiać z rodzicami i okazało się, że nie mają nic przeciwko temu, by ich dzieci zamiast francuskiego czy niemieckiego wybierały manx. Nie mieliśmy możliwości, żeby od razu wszystkim zapewnić naukę, więc słailiśmy listy, przepraszając, że rozbudzamy nadzieję, i prosząc o cierpliwość, że za rok, najdalej za dwa manx trafi także do tej szkoły, do tej i do tamtej. W dziewięćdziesiątym trzecim roku mogliśmy zapewnić naukę ponad tysiąc trzystu uczniom. Później uruchomiliśmy kursy letnie, na które zjeżdżali do Douglas ludzie z całego świata. Z czasem pojawił się pomysł szkoły, w której uczono by wszystkich przedmiotów w manx – uruchomiono ją w końcu w St John's – dziś uczęszcza do niej siedemdziesięcioro dzieci.

Językowy boom był zaskoczeniem dla wszystkich. Nigdzie indziej zainteresowanie miejscową mową nie odradzało się w ten sposób. W Walii i Irlandii zaciekle walczono o język, podobnie w Kornwalii, gdzie dzieci zmuszano do jego nauki. Na wyspie Man zwyczajnie czekano na odpowiedni moment, a gdy nadszedł, postanowiono wykorzystać okazję.

Zdaniem Briana najważniejsze były trzy powody. Po pierwsze – nikt nigdy nikogo nie przymuszał do nauki manx – wręcz przeciwnie,

przez lata zniechęcano tych, którzy próbowali. Wśród starych Manxów znajomość ich własnego języka wywoływała poczucie wstydu, była dowodem na umysłowe wsteczństwo. To oni najodważniej i najgłośniej krzyczeli, że manx nie jest prawdziwym językiem, że nie warto sobie nim zawracać głowy. Wpajali swoim dzieciom wrogość, a czasami nawet nienawiść wobec języka. Dopiero gdy członkowie tego pokolenia zaczęli umierać, wstyd powoli się wykorzeniał. To był drugi powód. Trzeci to rządowe pieniądze. Każdego roku pokaźne sumy przeznaczone są na pensje dla nauczycieli, na podręczniki, na badania nad językiem i tradycjami, nad tańcami, pieśniami, zabytkami.

Także wśród elity politycznej musiała się dokonać zmiana pokoleniowa. Jeszcze dwadzieścia lat temu większość polityków na wyspie była przeciwna nauce manx, dziś nawet jeśli ktoś uważa, że to strata czasu, za żadne skarby nie odważy się powiedzieć tego głośno.

Dawna „New Residents Policy” paradoksalnie również przyczyniła się do językowego odrodzenia. Dzięki napływowi nowych mieszkańców spoza wyspy, w początkach lat dziewięćdziesiątych Manxowie – po raz pierwszy w historii – zaczęli stanowić mniejszość na swoim terytorium.

– Jako mniejszość w naturalny sposób zwróciliśmy się ku naszym tradycjom – mówi Brian. – Zaczęliśmy bardziej dbać o to, by je zachować i rozwijać. Szukaliśmy sposobów na pozytywne wyróżnienie się.

Dlatego, kiedy w roku 2009 UNESCO omyłkowo wpisała manx na listę języków wymarłych, na wyspie zapanowało oburzenie, a ówczesny premier wysłał w tej sprawie notę protestacyjną.

Markus Kinnin nie bardzo chciał mówić o śmierci przyrodniego brata. Choć minęło już tyle lat. Ich matka bardzo to przeżyła. OK, powie, jeśli wyłączę dyktafon.

Pat wie niewiele. Nie mieszkała wtedy na wyspie. Coś słyszała, ale nie chciała dociękać. Gdy dowiedziała się, że umarł, zamierzała przyjechać na pogrzeb, ale matka Paula sobie tego nie życzyła. Obwiniła ją za to, że jej syn poszedł w alkohol. Pat napisała w celtyckim „Carn” piękny nekrolog. Zaczęła tak: „30 kwietnia 1995 w wieku 44 lat niespodziewanie zmarł Paul Lebedziński – wspaniały, dobry człowiek”. Zakończyła tak: „Dla mnie osobiście śmierć Paula kończy długą i bardzo bliską przyjaźń”. W zastępstwie Pat na pogrzeb poszła jej siostra.

Brian nie ma oporów, żeby mówić o śmierci

Paula. Ale szczegółów również nie zna. Sprawę dokładnie zatuszowano. Wie tyle: Paul pił już wtedy bardzo dużo. I miał problemy z policją. Dzwonił do Briana i innych przyjaciół i żalił się, że policjanci go prześladują. A on przecież ani nic nie ukradł, ani nikomu nie zrobił krzywdy. Czy takim znowu przestępstwem jest, że wraca pijany do domu? Oni mnie wykończą – mówił. I wykończyli. Aresztowali go jednej nocy za zakłócanie porządku publicznego. Wsadzili do suki i przewieźli krętą, górską trasą – z Ramsey do Douglas. *Up and down, up and down*. Kiedy dojechali na miejsce i otworzyli drzwi, Paul leżał zakrwawiony z pękniętą czaszką. Taką mu urządzili przejażdżkę – pijanemu, bez pasów bezpieczeństwa, bez trzymanki. Zawieźli go do szpitala, gdzie chwilę później zmarł.

– Było śledztwo, które oczywiście niczego nie wyjaśniło. Lekarz sądowy stwierdził, że pęknięta czaszka nie miała ze śmiercią nic wspólnego, że Paul umarł z przyczyn naturalnych. A moim zdaniem to było morderstwo. Zwykle morderstwo. W najlepszym wypadku nieumyślne spowodowanie śmierci, za które nikt nie odpowiedział.

Polaków bardzo nasza wyspa interesuje – mówi Rosa Roberts. – Zapewniał mnie o tym sam przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Opolu, pan Karol Musioł. Tak on, jak i jego rodacy chętnie dowiedzieliby się więcej o naszej historii i kulturze.

Mrs Roberts kilka dni temu (maj 1961 roku) wróciła z kolejnego pobytu w Polsce i przy pierwszej możliwej okazji udała się do urzędu miasta w Douglas, by złożyć szczegółową relację. Bo tym razem nie była to zwyczajna podróż do rodziny, lecz misja prawie dyplomatyczna. W podziękowaniu za album z fotografiami Opolą, подарowany mieszkańcom wyspy dwa lata wcześniej, burmistrz Douglas Alderman Quirk poprosił panią Roberts o przekazanie władzom polskiego miasta pozdrowień oraz herbu wyspy Man (na tarczy herbowej widać triskelion; trzymaczami są kruk z prawej strony i sokół z lewej; dewiza napisana po łacinie w tłumaczeniu brzmi: „gdziekolwiek mnie rzucisz, ustoję”).

– Przewodniczącego Musioła poznałam już kilka lat wcześniej. Jest szanowanym politykiem i twórcą popularnego festiwalu piosenki, a także serdecznym przyjacielem mojego zięcia, Borysa

Glazera, znanego chirurga. Gdy zjawiłam się w Opolu, pan Musioł podjął mnie z honorami – porozmawialiśmy przy herbacie i pysznym serniku. Prosił, by zawieźć do Douglas serdeczne pozdrowienia, a herb naszej wyspy – przy mnie – zawiesił na ścianie w swoim gabinecie. To najlepszy dowód na szczerą przyjaźń między naszymi krajami. W prezencie od pana Musioła dostałam taką oto uroczą lalkę w stroju ludowym oraz elegancki notatnik oprawiony w ciemną skórę.

Niestety, przez większą część pobytu w Polsce pani Roberts nie czuła się najlepiej. Nie jest już najmłodsza i ma swoje dolegliwości, które odezwały się po kilkudziesięciogodzinnej podróży. Na szczęście, dzięki interwencji zięcia, który zarządza opolskim szpitalem, ale jest też miejskim radnym, nasza krawcowa mogła w spokoju nabierać sił w górskim uzdrowisku w Dusznikach-Zdroju. Mrs Roberts dzieliła pokój z dentystką i nauczycielką biologii (pierwsza po zawale, druga z wrzodami żołądka). Kobiety świetnie się dogadywały i nawet zaprzyjaźniły, choć żadna z Polek nie mówiła po angielsku – w całym sanatorium naszym językiem częściowo władali jeden lekarz i jeden pacjent. Długie spacerunki po pięknej okolicy, solankowe kąpiele i woda

mineralna o niespotykanym posmaku, spożywana w dużych ilościach, pomogły pani Roberts wrócić do zdrowia.

Oh God, oh God! Nie uwierzysz, co się stało! – krzyczy Sian, gdy po powrocie z Douglas wchodzi do kuchni. – Mam kupca na dom! Sąsiad. Mieszka parę numerów niżej. Rano przyszedł z agentem. Już wtedy widziałam, że mu się podoba. Po południu wrócił sam. Dwie godziny chodził i oglądał. Minęliście się. *Oh God!* Jest zachwycony.

Kupiec nazywa się Robie i prowadzi jedyną w Port St. Mary siłownię. Jest też współwłaścicielem jednej z rybackich łodzi – „Sarah Lena”. Niedawno drugi raz się ożenił. Nowa żona jest w ciąży – stąd pewnie decyzja o zamianie domu na większy. Gdy Sian nalewa do kieliszków zimnego szampana, dopytuję, czy Robiego nie przestraszyły konieczne remonty.

– *Not at all!* Już sobie wszystko zaplanował. Kiedy chodził i zaglądał w każdy kąt, sprawdzał grubość ścian i jakość okien, ja siedziałam w kuchni i modliłam się, żeby nie zrezygnował. Myślałam sobie – *no chance*. Naprawdę się modliłam, pierwszy raz od sama nie wiem kiedy. Strasznie to z mojej strony głupie. Wypytywał mnie o ogrzewanie, o dach, o piwnicę, był dobrze przygotowany. Mówiłam mu całą prawdę, choć słowa grzęzły mi w gardle.

Łazienkę na piętrze i sypialnię Sian Robie zamierza połączyć i przerobić na dużą kuchnię z jadalnią. Siedząc przy obiedzie, będzie się miało widok na morze. Salon zostanie tam, gdzie jest. Wielkich zmian w nim nie będzie, poza wydłużeniem okien – po remoncie mają iść od samej podłogi po sam sufit. Z kolei kuchnia na parterze, w której teraz siedzimy, zamieni się w sypialnię dla gości.

– Co do reszty, wydaje mi się, że jeszcze nie zdecydował, ale miałam wrażenie, że im więcej znajdował rzeczy do wymiany lub naprawy, tym był szczęśliwszy. Napijmy się. *Cheers!* Powiedział, że zdania już nie zmieni i nawet nie bardzo się targował. *Cheers!*

Sian jest wniebowzięta. Znów snuje plany przejścia na wcześniejszą emeryturę i wakacji na greckich wyspach. Może wybierze się z Barbarą. Jutro rano z nią porozmawia, zapyta, czy miałyby ochotę. Z dobrymi nowinami dzwoni też do synów i brata mieszkającego w Walii. Po drugim kieliszku szampana jest już dość wcięta. Pokazuje mi w internecie ogłoszenia domów na sprzedaż, które w ostatnim czasie przeglądała – mniejsze, wygodniejsze, ładnie utrzymane, w odpowiedniej cenie. Jeden *cottage* w Port St. Mary szczególnie jej się podoba. Tuż przed wjazdem do Port Erin. Ma

spory ogród z roslą palmą i miejscem na warzywa. Z sypialni widać morze. Już się umówiła, żeby go obejrzeć. Jeśli obie transakcje dojdą do skutku, na koncie Sian zostanie całkiem spora sumka.

– Co ja zrobię z tymi książkami, z tym wszystkim? *Oh, God!* Część rzeczy będę musiała wyrzucić, a ja nie umiem wyrzucać. Pewnie zauważyłeś. W łazience na półce stoją puste flakony po perfumach sprzed lat. Nawet z nimi nie umiem się rozstać.

Obiecuję pomóc. Mogę się zabrać za wyrzucanie szpargałów choćby jutro. Będę bezlitosny.

Kończymy butelkę. Sian dzwoni jeszcze do przyjaciółek ze szpitala, ja idę spać. Zostały mi na wyspie trzy noce. Trzy ostatnie w domu Sian.

Kiedy zbiegam nazajutrz na śniadanie, obie, Sian i Barbara, już siedzą przy herbacie. Rozgadane, roześmiane, wspominają dawne wyprawy na Korfu i na Kretę. Tym razem może wybiorą się na Cyklady. Barbara deklaruje, że pomoże przy przeprowadzce, Sian nawet nie musi jej płacić. A co będzie później, w nowym domu? No Sian bardzo by chciała, żeby Barbara nadal jej pomagała.

– Uff, co za ulga, bałam się, że już nie będziesz mnie potrzebować.

Choć pogoda znów nie dopisuje, okutany w ciepłą kurtkę, czapkę, szalik idę na pożegnalny spacer. Ulubioną trasą Zofii. Polną ścieżką przez łąki i pastwiska, wzdłuż wysokich klifów. W powracającej, niemrawej mżawce miksują się z wolna przyjemne zapachy – kurzu, zielonobrunatnej trawy, świeżo odkrytej ziemi na zaoranych polach, wodorostów, wody.

Z kilkunastu ławek na Sound wybieram tę, o której myślę, że Zofia również mogła się na nią zdecydować. Najdalszą, na samym krańcu ziemi, najbliższej zbocza. Możliwe, że mam ten sam spektakularny widok z jednej wyspy na drugą, z małej na bardzo bardzo małą – z Isle of Man na Calf of Man.

Oba lądy oddziela wąska, zdradliwa cieśnina. Rządzą nią prądy niebezpieczne dla statków, motorówek czy skuterów, dla samego człowieka też, gdyby chciał ją przepłynąć wpław. W połowie drogi między jedną wyspą a drugą z wody wyrasta kilka skał – często wylegają się na nich foki. Nie widzę żadnej, akurat musiały odpłynąć. Na bardzo, bardzo małej wyspie nie ma w tej chwili nikogo – to znaczy żadnych ludzi. Osoba, która przepracowała tam ostatni sezon, spakowała manatki z nastaniem zimy. Ktoś nowy zjawi się dopiero na wiosnę.

Tak sobie siedząc, o czym Zofia myślała? Tak się w tę ciemną wodę wpatrując, w te fale, w maleńkie, niedostępne, kamieniste plaże. O czym – z rękami w kieszeniach, noga na nogę...

Czy wiedziała, że jest chora? Że umiera? Czy ciało wysyłało sygnały? Czy były wyraźne i zrozumiałe? Jeśli były, może się zastanawiała: powiedzieć, nie powiedzieć. Może dlatego kupowała te wszystkie ubrania. Żeby zdążyć. Możliwe jednak, że niczego nie przeczuwała, żadnej choroby. Przecież by powiedziała. Ciuchy? Bo nareszcie mogła je mieć, pierwszy raz od dawna.

A może Zofii było w tym konkretnym miejscu po prostu dobrze. Tak zwyczajnie i tylko przez chwilę. Jak i mnie teraz.

Daleko za wyspą, na horyzoncie znów mijają się bez szmeru potężne kontenerowce.

Lipiec, 2014 r.

*Dear Dionis,
podejrzewam, że ucieszy Cię fakt, iż nareszcie odnalazłam Stanisława!*

Miałeś rację, mówiąc, że zapewne przekreśliłam jego nazwisko. Trafiłam jedynie z pierwszą i ostatnią literą. Mój Stanisław nazywał się Sadowski i pochodził ze wsi Zmiennica, niedaleko Brzozowa (Podkarpacie).

Razem z Susan spędziłyśmy kilkadziesiąt godzin

w miejskiej bibliotece na przeszukiwaniu internetu i przeglądaniu tysięcy zdjęć polskich żołnierzy (głównie na stronie niebieskaeskadra.pl). Byłyśmy bliskie rezygnacji. Aż w końcu się udało. Nie mogłam w to uwierzyć.

Nie potrafię opisać tego, co czułam, gdy zobaczyłam fotografię Stanisława w mundurze: smutek, żal. Ulga. Tyle lat czekałam, żeby do mnie wrócił. Teraz wiem, że nie mógł. Trochę sobie popłakałam, ale nie żałuję, że poznałam prawdę. Warto było, choć gdy zjawiliś się u mnie po raz pierwszy i gdy ruszaliśmy z „akcją poszukiwawczą”, nie bardzo wierzyłam, że może nam się udać.

Stanisław zginął podczas lotu treningowego 16.03.1945 (cztery miesiące po tym, jak opuścił wyspę)... Jest pochowany na cmentarzu Newark, w hrabstwie Nottinghamshire.

Powiesiłam jego zdjęcie na ścianie w mojej sypialni.

Robiliśmy dziś z Susan malinowy gin. Będzie na święta. Zapraszamy.

Dorothy.



Podziękowania

Dziękuję ludziom, bez których wsparcia i/lub uwaga ta książka by nie powstała lub byłaby o wiele gorsza: Dorota Nowak, Andrzej Szewczyk, Mariusz Burchart, M.Sz., Anna Kuliberda, Goha Walton, Grzegorz Wykurz, Barbara Homętowska, Remigiusz Grzela, Paul Weatherall, Cathy Clucas, Sian Mackenzie, Dorothy Greenwood, Brian Stowell, Pat Bridson, Markus Kinnin.

Osobne podziękowania składam wszystkim moim rozmówcom, którzy mieli czas i ochotę, by opowiedzieć mi swoje historie.

Bibliografia

Podczas pracy nad tekstem korzystałem z następujących książek:

Belchem John, *A New History of the Isle of Man*, tom V: *The Modern Period 1830–1999*, Liverpool 2000.

Caine Hall, *The Little Manx Nation*, Douglas 2013.

Chappell Connery, *Island of Barbed Wire. The Remarkable Story of World War Two Internment on the Isle of Man*, London 1984.

Christie Agatha, *Dopóki starczy światła*, przeł. Mira Michałowska, Wrocław 2009.

Grzela Remigiusz, *Bagaż Franza K.*, Michałów–Grabina 2004.

Kermode David G., *Ministerial Government in the Isle of Man. The First Twenty Years 1986–2006*, Douglas 2008.

Kermode David G., *Offshore Island Politics. The Constitutional and Political Development of the Isle of Man in the Twentieth Century*, Liverpool 2001.

Kneale Trevor, *The Isle of Man*, Douglas 2001.

Morrison Sophia, *Manx fairy tales*, Douglas 2002.

Quirk John, *The Manx Giant. The Amazing Story of Arthur Caley*, Douglas 2009.

Rawcliffe Roger, *No Man Is an Island. 50 Years of*

Finance in the Isle of Man, Douglas 2009.
Walling John, *The Internment and Treatment of German Nationals during the 1st World War*, North East Lincolnshire 2005.
Winterbottom Derek, *Profile of the Isle of Man. A Concise History*, Ramsey 2007.

Legends manxowskie opracowałem na podstawie *Manx Fairy Tales* Sophii Morrison. Autorka była jedną z najśłynniejszych badaczek manxowskiego folkloru. W swojej książce umieściła opowieści, które na początku XX wieku usłyszała od starych wyspiarzy.